KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Nr 11/169 1961



« La Culture » • Revue mensuelle •

V. IWANIUK: **PODRÓŻ DO EUROPY**

PAWLE HOSTOWCU — WIELOGŁOS

WIERSZE ANONIMA SOWIECKIEGO

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad – Novembre 1961



INSTYTUT LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA NAGROBEK DLA ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO

Ofiarodawca z Luizjany	14,70 NF
Irena Dyrcz, Gloversville, USA	14,70 ,,
Jan Piórkowski, Passaic, N.Y., USA	24,50 ,,
Andrzej Chciuk, South Yarra, Australia	136,10 ,,
M.K. Pawlikowski, Berkeley, Cal., USA	24,50 ,,
Andrzej Madeyski, Montreal, Que., Kanada	98,00 ,,
Maria Germanicz, Szwajcaria	22,00 ,,
Tymon Terlecki, Londyn	21,00 ,,
Teresa Pleszczyńska, Santa Barbara, Cal. USA	24,50 ,,
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż	20,00 ,,
Szymon Konarski, Paryż	50,00 ,,
B. Kosiewicz, Anglia	7,00 ,,
Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. Canada	34,30 ,,
Stanisław Radel, Los Angeles, Calif., USA	49,00 ,,
M. Piotrowski, Paryż	10,00 ,,
Józef Jenne, Caracas, Venezuela	14,70 ,,
Julian Godlewski, Zurich, Szwajcaria	114,00 ,,
Maria i Aleksander Wasung, Genewa, Szwajcaria	17,30 ,,
H. B. Londyn	7,00 ,,

Prostujemy, że wpłata J. Czapskiego ogłoszona w poprzednim numerze odnosiła się do Marii i Józefa Czapskich.

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Zdzisław Wolski, Los Angeles, Calif. USA	12,25 NF
Jan Piórkowski, Passaic, N.J., USA po raz trzeci	19,60 ,,
Ryszard Fiks, Chicago, Ill., USA po raz piąty	15,00 ,,
Paweł Łysek, New York, USA	50,00 ,,
William E. Griffith, New York, USA	98,00 ,,

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Podróż do Europy

Londyn. Jest już po wizycie. Państwo W. byli bardzo mili. Właściwie, to jako gospodarze, przeszli gości. Okazuje się, że wystarczy w miarę mówić i w miarę milczeć. Tak jak państwo W.

Wiele dawno nie widzianych twarzy. Wszystkie starsze, pogrubione czasem. Niektóre przechodzą w abstrakt starego płótna. Gdybym te słowa pisał po wizycie w Rzymie, byłbym bardziej przerażony. Młodość nie zawsze kojarzy się z malarstwem, natomiast twarze stare natychmiast łączą się z międzynarodowymi trupiarniami muzeów i galerii, zaryglowanych półmrokiem i zapachem zbliżonym do pleśni.

Wiek nie ma litości dla emigrantów. Próbę walki z czasem podjęła pani Z. Podjęła, ale nie pojęła. Bardzo kiedyś miła i zalotna, stała jak kukła w czystym świetle lamp. Trzymała się prosto, aż za prosto jak na jej krzyżyki, jak kij a nie elastyczna wiklina ludzkiego ciała. Za to kieliszek w dłoni szalał od kolorów. Czyste szkło w spotkaniu z winem, porysowane niewidzialną siatką kryształowych zrostów, pełne osmotycznego światła żarówek, które wsiąkało w kryształ jak zapach w majową noc, padało na twarz pani Z. groteskowym cieniem. Wiem, że nigdy nie lubiła malarstwa, a mogła przecie otrzaskać się, jak inni, z galeriami. Może wtedy coś by zostało w niej. Jeżeli nie harmonia, to przynajmniej kolor. Nie plama. A wyglądała jak brudny zaciek, obnażona i blada. W tym wieku kobiety zaczynają już się przykrywać, najpierw dyskretnymi odcieniami, a potem już gwałtownie, jak papugi. I to wszystkie kobiety. Jakie to smutne, że starość u nich potrzebuje aż takiego zatrzęsienia takiego hałasu barw.

Mógłbym powiedzieć, że pani Z. była niedokryta, tak mało było na niej sukni. Pozbawiona rękawów, o dwu głębokich dekoltach, przypominała utylitarne męskie płaszcze noszone na obie strony; suknie te wywołują często nagły wy-

buch śmiechu, tak są zwodnicze w swoim kroju i nie liczące się z częściami ciała. Bezwładne długie ręce przeszkadzały mi w patrzeniu na twarz pani Z. Czasami jedna ręka ruchem pijawki wsysała się w kieliszek, wtedy pani Z. przypominała starą kobietę spragnioną alkoholu.

Inni zjawili się jak zza grobu, zupełnie wyobcowani z mojej pamięci, ale witaliśmy się jakby rozstanie nasze miało miejsce wczoraj. Serdecznie i grzecznie z grzywką wylewności, koleżeńskim szturchnięciem w bok i okrzykiem: Ach, Pan się wcale nie zmienił! Tak, oni umieją wspominać całą swoją osobą, bez reszty. Musiałem się cofnąć, by im dorównać, wrócić do punktu, o którym zupełnie zapomniałem.

W rozmowie są gwałtowni, jak dawniej, jak wszyscy Polacy. Rozmawiają całym ciałem, chwytają się za rękę, garną do bruderszaftów. I ta gorączka całowania się, dobierania do siebie, jakby dopiero teraz uświadomili sobie nagle, że od wielu lat toną, że Anglia jest po prostu żywiołem śmiertelnym, a nie ocaleniem.

Kiedy mówili, używali grubej szpuli nagranych emigracyjnych efektów: toasty, dowcipy, proroctwa a nawet ruchy.

Gospodarze ustawiali rozmowy, jak dekoracje w teatrze. Akt po akcie, sceny się zmieniały w dialogach, ale artyści byli jakby przybici do desek — zawieszeni w próżni. Rozdawali kieliszki i zakąski przypominając, że jest jeszcze przecież powszedni dzień, gdzie rządzi sytość i materialny dobrobyt.

W kuchni dzwoniły naczynia, w zlewach syczała woda, jakaś para bezustannie kręciła się w kółko, szukając nogami podłogi. Nie wszyscy pragnęli dyskusji, byli tacy, których ciała połączone wolały milczeć, pod nikłą melodię przenośnego patefonu. Nieporadny rytm piosenki portugalskiej miał siłę magnesu. Tego rodzaju piosenki, napisane już na antypodach Europy, mają egzotyczny posmak i potrafią czasem ukłóć prawdziwym polskim sentymentem. Nagle i boleśnie. Para wciskała się w siebie gwałtownie, choć nikt ich nie rozrywał. Z nieporadnych kroków można było odgadnąć, że taniec nie miał już dla nich żadnego znaczenia. Chcieli być z sobą, teraz, na oczach wszystkich i na to pozwalała tylko muzyka.

Pan Z. z twarzą siarczystego byczka, podobny był do okrągłego grzyba. Wykrzykiwał od czasu do czasu: Uwaga proszę Państwa i natychmiast z aparatu fotograficznego tryskał snop światła. Unoszono kieliszki, rozchylano malowniczo usta, gołąb smutku zamieniał się w uśmiechniętego pawia i tak przyjmowała to komórka fotochemiczna, w swoją czarną przepaść.

Wysoki mężczyzna, prawie chochoł, pochylał się ruchem wahadła nad postacią aktorki, rozrzuconą szeroko na drobnym norweskim sprzęcie i z zapałem mówił o potrzebie jej sztuki. Plasował od czasu do czasu ascetyczną dłoń na piersi, w okolicy serca, jakby chciał udowodnić prawdę swoich słów. Aktorka

miała twarz dobrą, wyrazistą, podobną do klasycznego wiersza. Reagowała uśmiechem jakby skandując rymy. Ale pod rzęsami, które jak skrzydła przysłaniały pola białek i rozgrzane źródła źrenice, chowała głębokie cienie ludzkiego wrażliwego strachu. Przyjmowała słowa, wiedząc że nic jej już nie wprowadzi na scenę. Krąg jej marzeń nagle zeszczuplał. Twarz jej nie potrzebowała towarzyskiej konwencji i jeszcze teraz można z niej było czytać prawdziwą szczerość, jak z dobrych tekstów.

Grono osób omawiało 'Wizytę starszej Pani'. Kobietom nie podobała się trumna, gdyż są one zaprzeczeniem śmierci. Ich upór i walka z kostuchą, wytworzyły rodzaj neutralnego przymierza. Nic o sobie nie chcą wiedzieć, aż do ostatniego momentu.

Omawiano sztukę, jakby to była damska suknia: rękawy oddzielnie, biust, potem poszczególne szwy i fałdy. I tak Durrenmatt wyszedł pocięty na kawałki i pozbawiony piękna.

Dotknięto jeszcze Sartre'a, ale wszyscy boją się jego filozofii, która bardzo często jest zasłoną dymną wokół płytkich dialogów. Sartre w 'Altonie', to retoryka zaczerpnięta z codziennych gazet: nudna dialektyka, sztucznie ustawionego problemu. Sartre krzyczy i dlatego budzi tyle ech, gdyby zaczął jednak mówić, stałby się niepozornym krasnoludkiem.

'Wizyta', to fascynujące skojarzenie przeciwnych elementów: biologicznych i moralnych. Człowieka podaje Durrenmatt w stanie niesłychanie czystym, choć skomplikowanym. Ludzkość jego bohaterów jest bardzo przyziemna i dlatego tak wielka, a język choć prosty, umie wydobyć na wierzch psychiczne zropienia i wrzody. Jedne dadzą się usunąć, inne zaleczyć.

W 'Wizycie', ropa wchłonęła cały zdrowy organizm, a bohaterska walka ostatniej komórki kończy się klęską. Jest to sztuka, która stale kojarzy się z wrzodem hitleryzmu. Widziałem ją dwa razy i dwa razy wywołała we mnie te same sprzeciwy.

Była rozmowa o ,,Kulturze'', a potem o polityce. Polityka, to już nic innego dziś, jak komunizm i Ameryka. Jak te radia, pralki elektryczne, lodówki i telewizje jątrzą ludzi i przesłaniają obraz prawdziwej Ameryki? Europa pod tym względem jest skarlała. Wierzy w Stany, ale gdyby mogła, to utopiłaby cały kontynent amerykański w kropli wody. A nic przecież nie robią, tylko pasożytują na dolarach, dawanych ślepo i hojną ręką. Gdyby Europa mogła, to zachowałaby się jak Starsza Pani w sztuce Durrenmatta. I to jest potencjalna choroba Europy.

A emigracja? Ktoś powiedział, że młody drzewostan rośnie. Ba, gdyby to był drzewostan! Wśród wyschniętych pni jest zaledwie kilka żyjących prątków: ,,Kultura'' i ,,Wiadomości'' — naturalnie. Tu i tam wegetują młode pędy, podlewane obcą ręką. I jeszcze fujarki taniego polskiego sentymentalizmu: teatr emigracyjny. Wystarczy raz tylko pójść do Ogniska, by cię odrzuciło aż za Ocean.

Mieroszewskiego chwalono za niezależność sądów. Nie wszyscy jednak o nim słyszeli. Wielu czyta pisma obcojęzyczne i politykę bierze z pierwszej ręki. Odkąd propaganda amerykańska wynajęła wszystkich białych Murzynów w Europie, nam nie pozostało nic już w dziedzinie polityki do powiedzenia. Czy Polska będzie, czy nie, nie zależy dziś od nas, ani od kanonów sprawiedliwości. O tym zdecyduje się na szczytach polityki międzynarodowej i jednoosobowa kontrola Mieroszewskiego zupełnie by nam wystarczyła. Tylko że wielu nie jest w stanie tego zrozumieć.

Nam pozostała produkcja kulturalna. Jeżeli odgrzebią nas za kilkadziesiąt wieków, jak Grecję lub Rzym, to lepiej by znaleziono niezrozumiałe poematy, niż ulotki polityczne lub sprawozdania z posiedzeń stronnictw przedwojennych. Bo na to się zanosi.

Nasi pisarze polityczni są zafascynowani tematem. Wielu z nich nie umie myśleć politycznie, ale to i tak nie leży w naturze Polaka, który politykę uważał zawsze za coś nadprzyrodzonego: *Deus ex Machina*. Mają oni 'ustawione' zagadnienia i wśród nich krążą: ideologiczny, filozoficzny, geopolityczny, ekonomiczny. Piszą karkołomne artykuły i żyją pod terrorem własnych proroctw. Ci, którzy do komunizmu ustosunkowali się zdecydowanie negatywnie, mają łatwiejszy żywot: komunizm komunizmem — mówią — i układają się do snu z jednym okiem otwartym.

Zdecydowani więc wrogowie komunizmu, widzą to zagadnienie w jednym tylko 'kolorze'. Należy wyłączyć z nich grupy intelektualistów, bardzo charakterystyczne dziś w strukturze społeczeństwa amerykańskiego: pisarzy, naukowców i wielką ilość funkcjonariuszy uniwersyteckich na wyższych szczeblach. Ci, jak twierdzi Barzun w 'The House of Intelect' oddani są spekulacjom teoretycznym i nie interesują się przeciętnym śmiertelnikiem. Dobry więc pisarz polityczny, to naprawdę inteligentna dziś planeta, wytwarzająca własną, często błędną 'energię'. Obserwując ich na przestrzeni ostatnich kilku lat widzimy obraz nieprawdopodobnych klęsk. Książki Koestlera i jemu podobnych, nic nie zdziałały. Przeciwnie, wielu zostało zafascynowanych brutalną stroną tematu. Pisarz polityczny, to do pewnego stopnia spóźniony nieuk. Jego wiadomości nie są w żadnym stopniu współrzędne z tym, co produkuje maszyna Kremla.

Gdyby proces 'dwu kultur', tak wnikliwie przedyskutowany przez C.P. Snow, rozwinął się zaraz po wojnie, gdyby kultura Humanistyczna oficjalnie zaprosiła na swój piedestał kulturę Techniczną, Zachód przeżyłby wstrząs w postaci rewolucji przemysłowej. Zmęczonemu Zachodowi należał się po wojnie szok kulturalny, a nie bierne szkodliwe czekanie i zabawa w zimną wojnę. Ale największym zwycięstwem Komunizmu, była biernota Rzymu.

Bez względu na pochodzenie i wiarogodność źródeł religii trzeba powiedzieć, że człowiek dzisiejszy jest owocem Kościoła. Kościół nie tylko zorganizował świat, ale wsiąkł w krew ludzką. Dziecko, dziś jeszcze, rodzi się w cieniu jego moralnych praw i przepisów i w tym, a nie w prawdziwości dogmatów jest siła Rzymu. Nie jest ważne, czy po śmierci pójdziemy do nieba, ale ważne jest, że o niebo walczymy na ziemi. Moja materialna powłoka usprawiedliwia sięganie po ideał abstrakcyjny, ale z chwilą gdy przejdę do abstrakcji, jestem pewny że niebo straci wtedy na wartości. Bo o ile dana nam będzie pamięć po śmierci, nawet tak zwodna jaką posiada człowiek, jestem przekonany, że marzeniem wszystkich duchów będzie powrót do form cielesnych.

Największą zasługą religii jest że zeszła ona w człowieka. Ani filozofia, ani nauka, mimo że obie sięgnęły o wiele dalej od religii, nie odegrały takiego znaczenia, jak drobna magia dziesięciu przykazań, zwracająca się wprost do każdego z nas. Przypuszczam, że Homer miał te same szanse podniesienia poezji do granic religii; miał je również Platon i Arystoteles, ale odeszli oni od człowieka, jak dzisiejsi intelektualiści. Dlatego czas ich prześcignął.

Russell twierdzi, że matematyk i filozof nie potrzebują wiary w Boga i przynależności do żadnej religii. Funkcja naukowa jest najwyższą funkcją w naszym życiu, a zagadkę bytu może wyjaśnić tylko matematyka. Czy może? Nauce możemy dać na usprawiedliwienie jej względnie krótki jeszcze żywot. Żywot religii jest o wiele dłuższy, jeżeli sięgniemy do prototypu chrześcijaństwa, to wiek jej idzie w tysiące lat. Dlatego łatwiej dziś jeszcze jest wierzyć w przejście przez Morze Czerwone, niż w podanie o założeniu Rzymu. W pierwszym jest dynamika moralna, w drugim statyczny fakt.

2.

I tu trzeba rzeczowo zauważyć, że przyszła nieoczekiwana rewolucja. Był nią bunt młodych, wkraczających w życie pisarzy, studentów, niespokojnych nałogowców i narkomanów — słowem młodzież, nie mieszcząca się w powojennym, amerykańskim społeczeństwie. Nie możemy powiedzieć by, na sposób europejski, społeczeństwo to zostało wyczerpane wojną. Wydaje mi się, że właśnie wojna była szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla Ameryki, gdzie właśnie po raz pierwszy, mogła wykazać ona jurność swojej młodzieży, nieprzebrane pokłady złota w bankach, trzeźwo myślące społeczeństwo i dość głęboką skazę infiltracji komunistycznej, w dziedzinach najbardziej strzeżonych i zdawałoby się pewnych.

Wojna więc, nie miała nic wspólnego z ruchami powojennymi, a niezadowolona młodzież, zgrupowana w *Beat Generation,* można powiedzieć — powtarzając werset Whitmana — ,,narodziła się sama z siebie''. Głośna apoteoza abnegacji, niezdrowe, grzeszne, a najczęściej dziecinne praktyki 'bitników' narodziło piekło nowoczesnego społeczeństwa, szczelnie obramowane prawem i przepisami. Wojna do tego nie przykładała ręki.

Przypuszczam, że w tym błądzeniu był zdrowy odruch powrotu do roussowskiej natury, odgrywający w młodym społeczeństwie amerykańskim niepospolitą rolę, gdyż jest to jeszcze naród w ruchu, poddany żywiołom przyrody, mający pod oknami starych uniwersytetów, świetne boiska sportowe, drużyny walczące zaciekle o pierwszeństwo w tabelach ligowych, swoich dorocznych świętych dyskobolów, pentatlonu lub dekatlonu.

W tej perspektywie, pojawienie się 'bitników' nie ma nic wspólnego z komunizmem, trudno nawet łączyć ten ruch z polityką, podciągnąłbym go raczej pod odmianę 'bejsbolu' intelektualnego, gdzie młodzież pragnie w szybkim tempie i w uproszczonym skrócie, przejść wszystkie stadia społeczno-kulturalne, dojrzeć na wzór europejski.

Powiedziałem, że młodzież ta nie mieściła się w życiu amerykańskim, ale jest w tym część tylko prawdy, gdyż należało powiedzieć: w dotychczasowym życiu amerykańskim, które jak każda młoda grupa, ma w stosunku do swego wieku, większe przywileje. Ruch 'bitników' odświeżył literaturę. Twierdzenie, że ją odmłodził jest nieścisłe. Cała literatura amerykańska jest młoda i jak wielu krytyków twierdzi — nowoczesna, powstająca na naszych oczach. Wprawdzie ojciec jej, Whitman, przekroczył już setkę, ale zdania jego stale tryskają młodością. I wielu współczesnych pisarzy pragnęłoby zdobyć sekret tej młodości.

Twórczość zbuntowanych, wzbogaciła poezję i prozę, dała patynie amerykańskiej kultury głębszy, a może nawet trwalszy cień i to w rezultacie będzie się liczyć bardziej od wypitej wódki, orgii i narkomanii. Bo te w przyszłości mogą okazać się zwykłą, młodzieńczą przesadą.

Na całość zaś trzeba spojrzeć przez okulaty przesytu materialnego, gdyż na tak zwanych 'ubogich' bitników czekało gdzieś zawsze konto bankowe, ciotka z małym domkiem wysyłająca telegraficznie dolary, czasem praca w garażu, a czasem na uniwersytecie.

Bitnicy, to zresztą mały tylko odcinek wielkich przemian w strukturze Ameryki. Mechanizacja, organizacja pracy, wyścigi cybernetyczne, naukowa organizacja monstrualnie dużych ośrodków produkcji, planowanie planowania i wreszcie organizowanie się intelektualistów i ośrodków intelektualnych — to wszystko każe nam myśleć, że społeczeństwo amerykańskie jest bardzo zdolne i może odnowić świat. Książka 'The House of Intelect' jest fascynującą lekturą, ale nie jedyną.

3.

Werona

Zawiodłem się trochę na wczorajszych zdaniach, nie wypadły wystarczająco kolorowo. Mają szarą rzęsę ślepoty, jaką niesie starość. Tak, jakbym miał zobaczyć trupa, gdzieś w przedsionku, gdzie zapach jest silniejszym zwiastunem, bo słońce w Weronie było nielitościwie białe i nielitościwie martwe.

Dworzec jest dość nowoczesną wiązanką kamieni, czy jakiejś tam masy, ale leży na uboczu i nie zagląda w zęby starowinie, której wdzięk wypływa ze śmiesznej już starości: zdziecinnienia. Nic dziwnego, że autobusy krążące po mieście, a nawet ten od dworca, wyglądają jak karawany. Normalnie, mam odruch wstrętu i karawany mnie rażą, ale tu wszystko jest odwrócone i ludzie dotykając grobowca Julii, śmieją się prawdziwym śmiechem. Nawet dyskretni turyści nie mogą powstrzymać swojej radosnej, wesołej miny.

Wielu z nich rży amerykańskim, zdrowym śmiechem. To są turyści, którzy przyjechali tu, by zadowolić siebie, a nie czegoś nauczyć się.

Przy mnie jest Jane i Allan, nowa Ameryka. Jane uciekła od męża w Stanach, a tu celowo zagubiła starowinę, by się bawić własną i cudzą młodością. A matka? Zajęta motelem na Florydzie, pozwoliła córce uciec z domu młodo, wydać się za mąż i wkrótce potem rozwieść. Teraz oprzytomniała. Za kilkaset dolarów wydanych na bilety, chce odnaleźć drogę do serca córki. Ta podróż, to jak klucz, o czym doskonale wie Jane, bo młodość jest bystrzejsza i zbyt zmaterializowana. Wzięła matkę na spytki, a ta wszystko wyśpiewała i teraz nie wiadomo, kto kogo bardziej potrzebuje.

Allan, to już najnowsze, pouniwersyteckie pokolenie, któremu Europa, a przynajmniej bardziej pikantne jej kąski, nie imponuje. Właśnie skończył medycynę i za kilka tygodni ma nastąpić obrzęd wręczania dyplomów. Typowa amerykańska uroczystość, gdzie rodzice święcą prawdziwy triumf. Nic dziwnego, że matka Allana-wetknęła synowi plik dolarów do kieszeni i pozwoliła wyjechać na dwa tygodnie do jego miejsc 'ukochanych' na francuskiej Riwierze, pod warunkiem, naturalnie, że za dwa tygodnie będzie na 'kampusie' uniwersyteckim, by odebrać swój dyplom, zwinięty w rulon i przewiązany wstążką. I mówi się, że w Ameryce nie ma tradycji.

Matka Jane uporczywie towarzyszy córce. Dla niej dziewiętnasty wiek dopiero się zaczął. Prawdopodobnie jakimś artykułem przeczytanym w ,,Lifie'', mówiącym że w Europie córkom z dobrze urodzonych domów towarzyszą zazwyczaj matki. Chodzi więc jak sztandar i wcale nie stara się ukryć truizmu towarzyskiego, co budzi w nas powszechną wesołość.

Ale tego dnia, kiedy pojechaliśmy oglądać grób Julii, matka przezornie pozwoliła się zgubić. Szekspir, to jest dziedzina w którą ludzie prości, ale inteligentni celowo nie chcą wkraczać, mimo że nie raz widzieli go w teatrze. Możliwe, że wierzą jeszcze w Europę dziewiętnastowieczną, podczas gdy Jane i Allan, wiedzą że Europa dziś, to tylko chciwe oczy i ręce. Europa Włochów, Francuzów, a nawet Szwajcarów, bardzo dziś leniwych, to zmechanizowany przemysł turystyczny, a raczej strategia dolarowa, wydoskonalona przez powojenny apetyt i niechęć do Ameryki.

Werona, oprócz martwej bieli, ma również żywe ceglaste wypieki. To pomarańczowe zlepy dachów, przesycone upałem. Kwadratowy w środku miasta plac, wygląda jak dolina bez wyjścia. Wkoło niego rusztowanie ścian podwiązane balkonami, trochę zieleni i bielizny. Bo wszędzie tu są sznury z suszącą się bielizną, wygląda tak, jakby nagle komisje sanitarne obudziły się z wielowiekowego letargu. Wkoło drobne, schowane w murze, kawiarnie ze stolikami ustawionymi w surrealistyczny groteskowy nieład. Kamienie mają wdzięk wypoliturowanego dłonią marmuru, żyją jak rzeźby. Idąc, chciałoby się je minąć.

Starość ma tu pierwszeństwo. Nawet wśród ludzi. Wszędzie góruje podeszły wiek. Dużo również dzieci i zupełny brak średniaków. Młodzież prawdopodobnie wyemigrowała do Stanów i Kanady, nawet Szwajcaria sprowadza Włochów. Gdyby nie turyści i ich śmiech, grób Julii przypominałby cmentarz i narzucał widmo śmierci. A tak nie jest, robi po prostu wrażenie turystycznej atrakcji. Został zupełnie odhumanizowany i nie ma nic wspólnego z tragedią szekspirowską. Wszystko tu jest z panoptikum: plac, łagodne czeluście uliczek, pałac z ubiegłych epok, odgrodzony od nas i od dnia dzisiejszego średniowieczną fosą, rzeka, płaski most i melancholijne wąsy cyprysów. Wszystko jeszcze mocne, ale dogasające, mówiące ale już bezzębne, z perspektywą rzuconą w tył, której cień zupełnie przysłonił horyzont jutra.

W ostatniej już chwili dojeżdżamy do tego samego dworca, o ładnej nowoczesnej sylwetce. Ale autobus jest stary i Włosi w nim spływają potem. Powietrze ciężkie, prawie że ścieka, grubą, wilgotną, gorącą masą.

Rano dworzec wyglądał ładniej, otoczony trawą i krótkimi drzewkami, było mu z tym do twarzy. Odczuwało się rzeźkość płynącą z chłodnych roślin nakropionych jeszcze rosą. Czyste, wyspane kwiaty otwierały swoje kolorowe sezamy.

Tak było rano. Teraz niemiłosierny upał jest wszędzie i Włosi wyglądają, jak słowiańscy Tatarzy. Przychodzi mi na myśl, że ci ludzie nie powinni się pocić, gdyż wtedy odrażają swoim wyglądem:

Kurz dotknął roślin i przestały się śmiać
Kurz dotknął ziemi i przestała świecić

Ludziom oczy zaszywa sen
Krople słów stają się ciężkie
Na nogach mamy sandały z ołowiu
Przed dworcem stoi Charon, nazywa się Pontiac.

◆

Matka Jane czeka na dworcu. Siedzi wtulona w drewniany kąt ławki, oparta o ścianę, która od tej strony ma listek miłosiernego chłodu. Śpiąc, wyczuwa naszą obecność i twarz jej drży, półprzebudzona. Ponad łukami brwi przechodzi jakaś miła myśl i stara kobieta uśmiecha się tak szczodrze, jakby ją naraz odeszły wszystkie ziemskie sprawy.

Jestem pewny, że rozmawiała z Charonem, któremu powierzyła wszystkie swoje, znoszone latami, troski.

◆

A gdyby tak Włosi byli Anglikami?

4.

Lozanna

Spotykanie ludzi nie jest zawsze szczęśliwym pomysłem. Wiedział o tym dobrze Szymanowski: ,,tam gdzie kończy się zwierzę, a zaczyna człowiek, wszystko jest możliwe''. Jego święte słowa.

Wyjeżdżając, postanowiłem unikać ludzi, zgubić się w Europie, bez przewodnika, bez rad, cudzej natarczywej, zbawiennej pomocy. Sam!

Lozannę, sama natura upodobała sobie. Jest to wprawdzie miasto młodsze, rentierów i bogaczy, chwilowo opustoszałe i napełnione handlowym krzykiem ale z dużym wdziękiem wplecione w przyrodę, której linie są ładne i zaskakujące.

Od jeziora aż po szczyty miasta, gdzie się jedzie kolejką lub wspina o własnych siłach, wyłaniają się ciekawe kondygnacje ulic, serpentyny i zakosy splatające się urwiskami, zygzakami lub otwartymi w niebo tunelami. Czasem spadają w sztuczne jary, wytapetowane elektrycznością.

Raz przechodzi się u fasady sążnistego domu, a raz obok jego gotyckiego dachu, zarzuconego dobrze zgrupowanymi gotyckimi wieżyczkami, zaglądając tuczonym Szwajcarom do ich schludnych sypialń, wypełnionych szwajcarskim folklorem lub międzynarodowym szablonem.

Lozanna ma dużo zdrowego powietrza i czysty oddech, czego nie można powiedzieć o Bernie, którego piękne, średnio-

wieczne mury są siedliskiem niewysychającej wilgoci. Ludzie drżą z zimna i zapadają na przedwczesne, reumatyczne skurcze. Ale Berno, gdy się nie patrzy w niebo, tylko w łuki starych podcieni, jest piękne i może mierzyć się z najbardziej rasową architekturą w Europie. I nikt chyba nie umie mówić o tym z taką czułością i wiedzą, jak Jerzy Stempowski. On zna nie tylko miasto i jego zabytki, daty i architektów, style i ich falsyfikaty — on zna na pamięć, wszystkie stropy w tym mieście. Napisał o tym książkę po francusku, za którą ojcowie miasta dali mu pierwszą nagrodę.

Kiedy patrzę na Berno, przypomina mi się Durrenmatt, Jego 'Wizyta starszej Pani', wystawiona na Broadway'u i w Paryżu. Stąd można, ocenić, jak płasko został on potraktowany w Paryżu i mocno w Nowym Yorku, jak Francja nie może zdobyć się na nagły, brutalny bunt i jak Amerykę rozsadza żywiołowość w sztuce, w życiu, w dorastaniu do pełnoletności. A najbardziej zdumiewa mnie nie to, że Ameryka jest wielka w gigantycznych projektach i przedsięwzięciach, ale to że jest wielka w DROBIAZGACH.

Kiedy się patrzy na Durrenmatta, Annę Frank, na scenę z Londynu w 'My Fair Lady' lub rycerzy Okrągłego Stołu, widzi się pietyzm i miłość do historycznego szczegółu, widzi się kulturę szczegółu i oddanie człowieka, który nad nim pracuje. Francja nie tylko o to nie dba ale wydaje się, że nawet nie wie o istnieniu takiej miłości.

Wenecja

Przyjechałem tu wieczorem, koleją. Zwykłym, szablonowym autobusem wodnym dostałem się przez Kanał Wielki do Placu świętego Marka. Plac ten znałem z wielu opisów i wcale się nie zmienił. Kanały były oświetlone i przypominały wnętrza naszych domów w wigilijny wieczór. Odświętne i sztuczne. Obok przechodziły gondole z gitarzystami i półleżące pary zakochanych dopełniały geografii. Byli to bez wątpienia turyści, którzy przyjechali tu tylko po to, by dopełnić wystudiowanego z przewodnika obrzędu. Drobne żarówki, zawieszone wzdłuż gondoli, tliły się jak ćmy, nie przeszkadzając zupełnie nocy. Z tyłu, na ogonie tego komunikacyjnego czupiradła, stali sternicy-wioślarze zwinnymi ruchami popychając boleśnie banalne pojazdy. Woda grubo krajana wiosłem i brudna oddychała mułem, którego zapach chwytały ludzkie płuca. Dusiłem się, jakbym był w krematorium, gdzie cywilizację zastąpiła egzotyka.

Czasem fontanna ognia łączyła się z fontanną piosenki, wielkie płaskie krypy kierowały się w stronę Lido, wywołując w nas odruch samoobrony i protestu. Tak jak byśmy byli na widowisku jarmarcznym, gdzie kolor i dźwięk wytrzebione z piękna rzucały się na nas banalną pstrokacizną. Lido świeciło, jak tanie hollywoodzkie kino podczas prapremiery.

Gołębie o tej porze śpią, kościoły są zamknięte, orkiestry na Placu grają zaprzeszłe melodie. Wino jest tanie, kawa doskonała, ale turyści amerykańscy piją coca-colę i dobierają potrawy, jakby to był sobotni ich piknik, w rodzinnym miasteczku, a nie daleka Wenecja. Ci co chodzą wzdłuż stolików, wyglądają jak objuczone muły, tyle jest na nich sprzętu turystycznego.

Idę spać. Przed zaśnięciem czytam: The Aspern Papers — *„It was certainly strange beyond all strangeness, and I shall not take up space with attempting to explain it, that whereas among all these other relations and in these other directions of research we had to deal with phantoms and dust, the mere echoes of echoes, the one living source of information that lingered on into our time had been unheeded by us"*.

Powoli, bez pośpiechu wspina się jamesowska fraza, omalże klasycznym krokiem ale dobrze zdajemy sobie sprawę, że czerpie ona życie z niewidzialnego barokowego tła i ten balans z cieniem jest podstawową tajemnicą prozy Henry Jamesa.

Zasypiam z głębokim przekonaniem, że moja Wenecja ocalała we mnie.

W pociągu do Rzymu

Miałem pisać dzienniczek tylko, nie dotykać niczego poważnie, bo od tego są dziś specjaliści. Nawet od opisu miast. Poecie wolno jeszcze kojarzyć słowa ale i w pisaniu wierszy ma go wkrótce wyręczyć 'mózg elektronowy', o czym można dowiedzieć się z nowej książki Raymond Queneau: *Cent mille milliards de poèmes*. Wydawca: NRF, zasłużona firma paryska.

Dziś popyt jest na historię i politykę. Obie zdobyły czas, pędząc rakietami i zasiadły na naszym niepewnym Olimpie, wyganiając z niego poetów i humanistów. Co za smutne i zubożałe królestwo bogów.

Dziś słowo nie może czekać na przyszłe pokolenia, musi mieć natychmiastowy użytek, coś 'wykładać', 'wskazywać linię', 'prostować', 'systematyzować', 'konfrontować' itd. Wchodzimy w epokę historii, gdzie polityk ma najwięcej do powiedzenia. Zaprzągł on słowo do tępego furgonu komunałów i myśli że jest Apollinem pędzącym w złotym rydwanie nieśmiertelności.

A poeci udali się do swoich prowincjonalnych Radomiów.

Wieczorem

Amerykanie bardzo nabroili w Europie, swoją niezręczną dobrocią. Okazuje się, że nie wystarczy być jałmużnikiem, trzeba jeszcze wiedzieć, jak dawać. Naturalnie, że kulturalny Europejczyk mógłby im to wybaczyć, ale gdzie są dziś kulturalni Europejczycy? Ktoś mi powiedział, że wymordował ich Hitler,

mnie się jednak wydaje, że drobna część ich ocalała ale po wojnie opuścili Europę. Są dziś w Stanach.

Rzym

W poniedziałek byłem w Kaplicy Sykstyńskiej
we wtorek byłem w Kaplicy Sykstyńskiej
we środę byłem w Kaplicy Sykstyńskiej
i nic nie widziałem.

Rzym opuściłem w piątek ale jeszcze wrócę do niego. Jest to najpiękniejszy grób świata. Tyle w nim dostojeństwa trupów i robactwa żywych.



Paryż

No i biedna Hala! Ja byłem w Paryżu i ona była w Paryżu. I nic o sobie nie wiedzieliśmy. Byłem nawet tak długo, że mogłem ją odszukać, zbywało mi tu na czasie, jak zawsze w znanym mieście, do którego przyjeżdżamy jako turyści. Ale Hala nie przyszła mi do głowy, choć dużo o niej myślałem. Okazuje się, że myślenie jest tu zajęciem powszednim, wszyscy to robią. Takie są dziś czasy, nakazujące czujność i myślenie.

Nie wiedziałem, pisząc te słowa, że wojna może być aż tak personalna. Była dla mnie zbrodniczym aktem historii i swego w niej miejsca nie widziałem. A tym bardziej Hali.

Więc Hala była w Paryżu tego dnia, gdy chodziłem po mieście, wdrapywałem się na Wieżę, zwiedzałem Pola i wybielony kulistymi lampami Plac Concorde. Były one jak dmuchawce, zupełnie mleczne, odgrodzone od ziemi nadrzeczną mgłą. Miałem wrażenie, że usprawiedliwione magią, wiszą w powietrzu. Wiała od nich bezwzględna statyczność, coś jak siła przyrody skondensowana w pryzmacie.

Widziałem takie obrazy w polu, kiedy dojrzewało żyto i lekki wiatr rozprowadzał w powietrzu zapładniającą ruń pastelowych kłosów. I tak wyglądały Pola. Duże lampy, wciśnięte w plamę mgły podobne były do pękatych, uśpionych cherubinów, zwiniętych w kłębek.

Na jakimś uboczu stał Mickiewicz, zupełnie już obcy, nie pasujący. Kilka drzew towarzyszyło mu, w tej samej smutnej pozie. Widziałem, że nie patrzył już na nas i zupełnie nie dbał o to miasto, gdzie przecież spędził tyle życia. Może pamiętał, że tu właśnie przestał pisać, że to miasto odebrało mu to wszystko czym był: geniusz. Drobne dywidendy, wypłacane potem w postaci wykładów na uniwersytecie, spotkania z intelektualistami francuskimi, to nie było to, czego szukał zagranicą.

Po Paryżu włóczy się stale wiele osób. Gromady Polaków powiększają jego bałagan, gdyż Francuzi z natury rzeczy są niezorganizowani. Wszystko, co nie mieści się w ich lenistwie, nazywają WOLNOŚCIĄ. Polacy też są leniwi ale na zupełnie inny sposób. U nas lenistwo wyraża się w gwałtowności, przez czynność ale zbyteczną, bez której śmiało moglibyśmy się obejść. Nasz charakter każe nam być leniwym czynnie, stąd nadmiar u nas póz, ruchów, szarmanckości, przegibów, nadskakiwań. Słowianie nigdy nie wiedzieli, co zrobić ze swoją energią, którą dziś akumuluje komunizm.

O Hali nie wiedziałem, bo skąd. Tuż po wojnie, zatraciłem na pewien czas z nią kontakt. Miałem napisać zaraz po przyjeździe do Kanady, po zdobyciu pracy, w kraju o którym wiedziałem tyle, że ma jeszcze na wolności bobry i Królewską Konną Policję w czerwonych marynarkach.

Płynęliśmy dość długo. Było to życie trochę nierealne, na obcym zupełnie statku, wśród ludzi mówiących wieloma językami, gdzie mój zupełnie nie mógł się przydać. Po wylądowaniu, nie mogłem się przez jakiś czas opamiętać. Potem zacząłem odwiedzać biura pracy, składać wizyty, zaprawiać się w języku. A Hala czekała tam w upalnej Warszawie. Był początek sierpni. Mówiono o wojnie.

I tak toczyły się lata, mijały pory, a ja czekałem na list. Było mi źle, ale nie na tyle źle, bym musiał zaraz pakować manatki i wyjeżdżać. Nie, do tego było daleko.

Nie wiem, czy to wszystko przyszło mi do głowy, gdy chodziłem po Paryżu, czy dopiero wieczorem, w czasie podróży do Maisons-Laffitte.

W kilkanaście dni potem, już na statku, doręczono mi list. Był to list Hali, pisany z Paryża.



W ,,Kulturze'' przyjęto mnie, jak w domu! Ale to jest już inny rozdział moich peregrynacji po Europie.

Wacław IWANIUK

Fragment z dziennika

Piątek

Przede mną Bruno Schulz w przekładzie francuskim, anonsowany mi już przed paru tygodniami przez ,,Arletę'' (poetkę Suzanne Arlet). Tom opowiadań, wydany przez Julliarda pod tytułem ,,Traité des Mannequins'' (to w większości nowele ze ,,Sklepów Cynamonowych'').

Przedmowy. Naprzód Maurice Nadeau: ,,...trzeba zapewnić mu miejsce między wielkimi pisarzami naszej epoki''. Potem świetne studium Sandauera, widać że doskonale zadomowionego w Schulzu, ostrożne a przenikliwe.

Bruno.

Od dawna wiedziałem o tym wydaniu, w pocie czoła się przygotowującym; a jednak, gdym to zobaczył, drgnąłem. Co będzie? ,,Niewypał'', czy sukces światowy? Jego pokrewieństwo z Kafką może równie dobrze utorować mu drogę, co ją zamknąć. Jeśli powiedzą, że jeden więcej kuzyn, jest zgubiony. Jeśli natomiast dojrzą swoisty blask, światło własne bijące z niego, jak z fosforyzującego owada, wówczas jak po maśle gotów wjechać w wyobraźnie, już obrobione przez Kafkę i jego ród... i wtedy ekstazy smakoszów wyrzucą go w górę. I jeśli rozpoetyzowanie tej prozy nie zmęczy zanadto, to olśni... Ale w tej chwili, w lipcu, nic nie da się powiedzieć, niełatwo wyprorokować losy w Paryżu dzieła niepospolitego.

Do diabła z Paryżem! Jakież to jednak męczące — Paryż! Gdyby nie Paryż, to jabym też nie musiał pisać niniejszego *suweniru* o ,,zmarłym przyjacielu'', to ćwiczenie stylistyczne zostałoby mi oszczędzone!

Sobota

Trudno mówić o przyjaźni — w dobie, kiedyśmy się przyjaźnili, byliśmy obaj jeszcze nieurodzeni. Rok 1934, 35. W Ale-

jach Ujazdowskich. Spacerujemy. Rozmawiamy. On i ja na Służewskiej. On, Witkacy i ja. Nałkowska, on i ja. W tym filmie ,,przewijającym się na ekranie pamięci'' widzę go, jak kogoś prawie obcego, ale i siebie widzę w ten sposób — to nie jesteśmy my, to tylko wstęp do nas, uwertura, prolog.

Chcę od razu wywalić moją nieprzyzwoitość drażniącą i w złym guście: *Bruno mnie wielbił, a ja jego nie wielbiłem.*

Pierwszy raz zjawił się u mnie, na Służewskiej, już po wydaniu ,,Sklepów Cynamonowych'' — ja wtedy byłem po ,,Pamiętniku z Okresu Dojrzewania''. Drobny, niesamowity, chimeryczny, skupiony, natężony, prawie pałający — i tak się zaczęły rozmowy, przeważnie na spacerach.

Rzecz pewna, bardzo siebie potrzebowaliśmy. Znajdowaliśmy się w próżni, nasze sytuacje literackie przeszyte były pustką, nasi admiratorzy byli czymś widmowym w rodzaju *aparent rari nantes in gurgite vasto,* obaj pętaliśmy się po literaturze polskiej niby zakrętas, ozdoba, chimera, gryf.

Bruno, po przeczytaniu pierwszej mojej książki, odkrył we mnie towarzysza. Zgłaszał się żeby znaleźć we mnie potwierdzenie, żebym ja mu dostarczył tego Zewnątrz, bez którego jego życie wewnętrzne skazane było na monolog — i mnie chciał wyrządzić tę samą przysługę. Zgłaszał się jako przyjaciel, ba (podkreślam z naciskiem) jako duch pobratymczy by rozbudować i podnieść mi ducha.

Tutaj zdarzył się ,,kiks'', albo ,,zwichnięcie'', wyrażając się językiem naszych utworów... jego wyciągnięta ręka nie natrafiła na moją. Nie odwzajemniłem mu tych uczuć, dałem mu z siebie okropnie mało, nic prawie, nasz związek stał się fiaskiem... ale może to właśnie było nam — sekretnie — na rękę? Może fiasko raczej, nie zaś szczęśliwa symbioza, potrzebne było jemu i mnie?

Dziś mogę mówić wyraźnie, bo umarł.

Pozwólcie więc, że jeszcze raz powtórzę z rozkoszą: jak on mnie sobą rozbudowywał, jak zasilał. W moim smętnym życiu literackim nie mało świństwa doznałem, ale też spotykałem ludzi, co mnie obdarowywali ni stąd, ni zowąd, z hojnością padyszacha — nikt jednak nie był bardziej hojny od Brunona. Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie kąpałem się w tak krystalicznej radości z powodu każdego mego artystycznego dokonania. Nikt tak gorąco mi nie przytwierdzał, tak się mną nie cieszyś, nie chuchał tak na każdą myśl moją — nie dostrzegam by na przestrzeni całej naszej znajomości ten anielski Bruno w czymkolwiek mi się okazał złośliwy, doprawdy miodem mnie karmił... Wystarczy gdy wam opowiem, jak to było z ,,Ferdydurką''. Dałem ją do czytania, jeszcze nieukończoną, w maszynopisie, i po tygodniu wręczył mi ją z powrotem, z twarzą zgaszoną.

— Powinienbyś raczej wrócić do twojej fantastyki z ,,Pamiętnika z Okresu Dojrzewania'', tamten gatunek bardziej ci odpowiada — powiedział z wyraźną i wielką przykrością.

Ale potem, kiedy przeczytał „Ferdydurke" już w książce, wybuchnął płomieniem, który mnie, zimnego, prawie sparzył. A przyjechawszy do Warszawy, wygłosił o „Ferdydurce" odczyt w Związku Literatów (potem zamieszczony w „Skamandrze"), który był jak fanfara i rozjuszył na niego wszystkich ówczesnych mandarynów.

Czyż myślicie, że nie wiem? O ileż byłoby taktowniej, gdybym w tym *suwenirze* o „zmarłym przyjacielu" nie pchał się z sobą przed niego, na pierwszy plan. Skromność!... Pośpieszam uprzedzić, że znam tę regułę w jej aspekcie zarówno towarzyskim, jak moralnym. Ale czyż nie powiedział książę Ypsilanti, że ci, co wiedzą, iż ryby nie należy jeść nożem, mogą rybę jeść nożem? To na terenie salonowym. A jeśli idzie o te tam głębsze moralności, to powiem, i zupełnie szczersze, że ja z moralnych względów nie mogę pisać inaczej, albowiem przemilczając te okoliczności sfałszowałbym całą sytuację, jaka się między nami wytworzyła — a taki grzech jest nie do wybaczenia literatowi, gdyż jego hasłem musi być maksymalne zbliżenie się do rzeczywistości. Może więc wcale nie pisać o Schulzu ze mną i o sobie z Schulzem — byłaż by jednak godna zalecenia taka abdykacja? Tematy śliskie są po to, żeby uciekały przed nimi dobrze ułożone ciotki, nie zaś literatura. Przemilczeć? Ależ ten niesmak, to jakieś zmęczenie sobą, które ogarnia, gdy nawet tutaj wobec „zmarłego przyjaciela" ja muszę być ja... ależ ja muszę podjąć ryzyko niesmaku!

Jakaż była moja reakcja na wielkoduszność Schulza? Lubiłem go... tak. Wiele i życzliwie z nim ugadywałem, nieraz przyświadczałem, my w oczach ludzi byliśmy parą. Pozory! Natura moja nigdy nie pozwoliła mi podejść do niego inaczej, jak z niedowierzaniem, nie ufałem ani jemu, ani jego sztuce. Czy ja kiedy przeczytałem uczciwie, od początku do końca, któreś z jego opowiadań? Nie — nudziły mnie. Wszystko więc, co mogłem mu powiedzieć, musiało być ostrożne, żeby on się nie połapał w pustce, która i we mnie na niego czyhała. Jak dalece się w tym nie połapywał?

Wcale siebie nie obwiniam za brak uczucia, którym odpłacałem jego uczucie. Przeciwnie — uważam za godne uznania, że nie dałem się przekupić, mnie bardzo podoba się, gdy odpowiadamy nawet lodowatym chłodem na czyjeś rozżarzone temperatury, artysta nie powinien być funkcją cudzych temperatur. Tylko że... kiedyś pisałem o nim artykulik do „Kuriera Porannego" i wtedy, przypominam sobie, bardzo się lękałem, czy aby nie powiedzą, że go chwalę, bo mnie chwali... z lęku tego urodził się artykuł nie bezpośrednio o Schulzu, a o tym, jak trzeba go czytać. Czasem tedy bywałem wobec niego wstrętnie małostkowy i to może byłoby nawet podłe, gdyby podłość mojego skąpstwa, podobnie jak szlachetność jego hojności, nie były jak gdyby pozbawione ciężaru. Nieprawdziwe. Na niby. Nierzeczywiste. W cnocie i w grzechu my, embriony, byliśmy niewinni!

Niedziela

Przyjaciele? Koledzy? Ileż razy wymieniano mnie razem z nim w rozmaitych literackich inwentarzach jako ,,polską prozę eksperymentalną''. A jednak jeśli istniał w polskiej sztuce ktoś mnie przeciwny na sto procent, to był on.

Nie jestem już w stanie sobie uprzytomnić, czy w dialogu, jaki wiedliśmy za każdym przybyciem jego do Warszawy, zostało to kiedyś wyraźnie stwierdzone. Ale raz, w Alejach, przed pomnikiem Szopena, mówił, że choć nasze gatunki są spokrewnione ,,swoją ironią, sarkastycznym eskapizmem, grą w ciuciubabkę'', to przecież ,,moje miejsce na mapie jest o sto mil od twojego i co więcej twój głos, żeby dotrzeć do mnie, musi się odbić o coś trzeciego, nie ma między nami bezpośredniego drutu telefonicznego''.

Według mnie, tak to wyglądało: Bruno był człowiekiem, który wypierał się siebie. Ja byłem człowiekiem, który siebie szukał. On chciał zagłady. Ja chciałem urzeczywistnienia. On urodził się na niewolnika. Ja urodziłem się na pana. On chciał poniżenia. Ja chciałem być ,,ponad'' i ,,powyżej''. On był z rasy żydowskiej. Ja z polskiej rodziny szlacheckiej.

I on był masochistą — nieustannym, nieposkromionym — to się czuło w nim bez przerwy. Nie, ten nie nadawał się do panowania! Gnom, maleńki, olbrzymiogłowy, jakby zanadto zalękniony, aby odważyć się na istnienie, był wyrzucony z życia, przemykający się chyłkiem, na marginesie. Bruno nie przyznawał sobie prawa do egzystencji i szukał własnego unicestwienia — nie żeby marzył o samobójstwie, on tylko ,,dążył'' do niebytu całym sobą (to właśnie czyniło go tak po heideggerowsku wrażliwym na byt). Moim zdaniem w tym dążeniu nie było żadnego poczucia winy à la Kafka, był to raczej instynkt co choremu zwierzęciu nakazuje odejść na bok, usunąć się. Był zbędny. Był dodatkowy. Możliwe, że jego masochizm inne także miał oblicza — nie wiem — ale na pewno był też hołdem, złożonym tratującym go siłom bytu.

Człowiek wyrzucony z życia... cóż pocznie? Tylko w Ducha może się schronić — i będzie to Bóg, jeśli jest wierzący, Moralność, jeśli nie będąc wierzącym jest moralny, Sztuka, jeśli piękno uwielbił... Bruno w Boga nie tyle nie wierzył, ile się nim nie interesował, a, choć o dużym poczuciu moralnym we wszystkich swoich uczynkach, zupełnie nie nadawał się do moralności, pojętej jako doktryna i świadoma zasada działania. Tylko sztuka tedy... I rzeczywiście widziałem go zawsze jej oddanego, przejętego nią z żarliwością i skupieniem, jakich nigdy w nikim nie zdarzyło mi się oglądać — on, fanatyk sztuki, jej niewolnik. Wstąpił do tego klasztoru, tym rygorom się podporządkowywał, pokornie spełniał najsurowsze nakazy by osiągnąć doskonałość.

Tylko że nie zdołał osiągnąć uduchowienia.

O ile mogłem poznać Brunona, wcale niełatwego, to jego masochistyczne skłonności, słusznie przez Sandauera uwypuklone, stanowią klucz do katastrofy duchowej, która mu się przytrafiła w jego ostatnim schronieniu, w sztuce. Tak, właściwa masochizmowi dialektyka bólu i rozkoszy (charakterystyczna i dla sztuki), a bardziej jeszcze pragnienie autodestrukcji, wiele mogą tutaj wyjaśnić.

Cóż się dzieje, gdy mnich, biczujący się z zapałem przed świętym obrazem, poczuje naraz, że bicz przestał być narzędziem tortury, stał się narzędziem rozkoszy? Gdyby tę sytuację konsekwentnie rozwinąć, doszlibyśmy do makabrycznego paradoksu: grzesznik, aby dostąpić zbawienia, coraz straszliwsze wymyśla sobie tortury, ale im większy ból, tym większa frajda, tym grzech rozkoszniejszy!

Mniejsza o ból. Pomówmy o autodestrukcji. Ten święty artysta — zdarzają się tacy — mógł był, rzecz pewna, zaczerpnąć ze swoich wspaniałych osiągnięć artystycznych tyle godności i dumy, tyle ducha, że biologiczne cherlactwo stałoby się czymś mniej ważnym. Mógł zaistnieć na tym drugim biegunie, gdy życie go odpychało. Kto się poniża, będzie wywyższony — mógł tedy wzbić się. Cóż kiedy poniżenie i pokora nic go nie kosztowały, w nim ich znaczenie moralne było żadne, owszem, jemu sprawiało przyjemność wszystko, co go degradowało, strącało. Do sztuki zbliżał się, jak do jeziora, żeby w nim utonąć. Padając na kolana przed Duchem doznawał zmysłowej rozkoszy. Chciał być tylko sługą, niczym więcej. Pragnął nieistnienia.

Oto kłopoty kogoś, komu bicz smakuje!

I jeśli nazywał sztukę ,,zdradą'', lub ,,fintą'', to dla tej perwersji.

Poniedziałek

Z takim artystą przewrotnym ja się pokumałem. Gdy korzył się z rozkoszą i klęczał zmysłowo, mogłaż sztuka choć przez chwilę stać się narzędziem jego osobowości, czymś czym on mógłby się posługiwać dla swoich — duchowych, czy po prostu osobistych — celów? Hermes — mówi Sandauer. Nie, w moim pojęciu on nie wiele miał z Hermesa, nie był wcale dobrym pośrednikiem pomiędzy duchem a materią. Wprawdzie jego perwersyjny stosunek do bytu (pytanie heideggerowskie: ,,dlaczego istnieje Coś, a nie raczej Nic?'' mogłoby stanowić motto jego dzieła) prowadził w konsekwencji do tego, że materia stawała mu się prześwietlona duchem, a duch się ucieleśniał, ale ten proces hermesowski jest u Schulza zaprawiony żądzą ,,osłabienia'' bytu: u niego materia jest skorumpowana, chora, lub podstępnie złośliwa, lub mistyfikująca, a świat duchowy przetwarza się w zgoła zmysłową fantasmagorię blasków i kolorów, jego racja duchowa również ulega korupcji. Istnienie zastąpić

pół-istnieniem, lub pozorem istnienia — takie były skryte sny Brunona. Pragnął osłabić zarówno materię, jak ducha. Nieraz zdarzało mi się omawiać z nim rozmaite zagadnienia moralne, społeczne, ale poza wszystkim, co mówił, czaiła się bierność kogoś zaprzepaszczonego. Jako artysta tkwił bez reszty w samej materii dzieła, w jej własnej grze i kombinacjach wewnętrznych, kiedy pisał opowiadanie nie było dlań innego prawa, poza immanentnym prawem rozwijającego się kształtu. Fałszywy asceta, zmysłowy święty, mnich lubieżny, nihilistyczny urzeczywistniacz. On o tym wiedział.

Gdy on tak poddawał się sztuce, ja chciałem być ,,ponad'. To główna między nami sprzeczność.

Byłem, jak się rzekło, szlacheckiego, ziemiańskiego pochodzenia, a to jest obciążenie prawie równie silne i odrobinę tylko mniej tragiczne co czuć za sobą tysiącolecia banicji żydowskiej. Pierwszym utworem, jaki napisałem w wieku lat osiemnastu, była historia mojej rodziny, opracowana na podstawie naszych papierów, które obejmowały lat czterysta dostatniego życia na Żmudzi. Ziemianin — obojętne, szlachcic polski, czy farmer amerykański — będzie zawsze z nieufnością odnosił się do kultury, albowiem jego oddalenie od wielkich skupisk czyni go opornym na międzyludzkie spięcia i wytwory. I będzie miał naturę pana. Zażąda, by kultura była dla niego — nie on dla kultury — wszystko co jest korną służbą, oddaniem się, poświęceniem, będzie mu podejrzane. Któremuż z panów polskich, sprowadzających ongiś z Włoch obrazy, przyszło kiedy do głowy ukorzyć się przed arcydziełem, które wieszał na ścianie? Nie. Traktowano je z pańska — i dzieła, i mistrzów.

Otóż ja, choć zdrajca i wykpiwacz mojej ,,sfery'', byłem przecie z niej — i chyba już powiedziałem, że wielu moich korzeni należy szukać w epoce największego rozwydrzenia szlacheckiego, w wieku osiemnastym. Jestem bardzo z epoki saskiej. Więc choćby dlatego Bruno, klęczący przed sztuką, był mi nie do przyjęcia. Ale nie na tym koniec. Ja tkwiąc jedną nogą w poczciwym świecie ziemiańsko-szlacheckim, drugą w intelekcie i literaturze awangardowej, byłem pomiędzy światami. A być pomiędzy, to też niezły środek na wywyższenie — albowiem stosując zasadę *divide et impera* możesz sprawić, że oba światy zaczną się wzajem pożerać, ty zaś możesz wtedy wymknąć się im i wzbić się ,,ponad''.

Miałem zwyczaj, ze z moimi wiejskimi krewniakami byłem (żeby ich zdenerwować) artystą, a z artystami byłem (żeby ich rozwścieczyć) obywatelem ziemskim, jak się patrzy.

Mnie zawsze irytowali artyści nazbyt fanatyczni. Nie znoszę poetów, którzy są zanadto poetami i malarzy zbyt oddanych malarstwu. Ja w ogóle domagam się od człowieka, żeby się nigdy niczemu całkowicie nie oddawał. Żądam aby był zawsze troszkę poza tym, co robi. Otóż Bruno był artystą bardziej od wszystkich *poètes maudits* i to dla tej paradoksalnej przyczyny,

że wcale nie uwielbiał sztuki. Uwielbiając jest się kimś, on zaś wolał zatracić się w niej, przepaść.

Ja zaś chciałem być — być sobą — sobą, nie artystą, ani ideą, ani żadnym dziełem swoim — sobą. Być powyżej sztuki, dzieła, stylu, idei.

Wtorek

Lubił, kiedy go atakowałem. Co więcej mam wrażenie, iż dobrze zdawał sobie sprawę z faktu naprawdę dziwacznego — a mianowicie, iż ja, tyle czasu go znając, nawet tego trudu sobie nie zadałem żeby przeczytać porządnie jego książkę. Był dyskretny i nie przepytywał mnie zanadto ze swoich utworów, wiedząc, że nie zdam egzaminu. (Ale może było mu wiadomo — jak mnie — że sztuki wysokiego lotu prawie się nie czyta, że ona działa nieraz jakoś inaczej, samą obecnością swoją w kulturze?) Wszystko co stanowiło moją wiedzę o nim (i teraz stanowi) pochodzi z okruchów lektury (które mnie olśniewały) skombinowanych z okruchami, które mi pozostały z wielu rozmów. Czy jemu to może smakowało we mnie, że gardziłem? I stawiał mnie na świeczniku, bo gardziłem?

To także mnie zastanawiało, że tak dobrze i gładko mnie rozumiał w tym, co mnie od sztuki oddalało, a łączyło ze zwykłością życia. W tym bywam najtrudniejszy do uchwycenia dla ludzi kulturalnych, wykształconych. — Jak się dzieje, że ty, pisarz trudny, wyrafinowany, nudzisz się Kafką, nie lubisz malarstwa, zaczytujesz się kiepskimi powieściami? — takie pytania nieraz mi stawiano. Dla Brunona to jakieś żakostwo moje nie było problemem (może po prostu dlatego, że świetna jego inteligencja ujmowała mnie szerzej).

Frustracja. Kiks. Kto wie... może jemu to odpowiadało nie tylko dlatego, że był zasadniczo wrogiem urzeczywistniania. Może to, że jego zdolność do podziwu natrafiła na moją zdolność do niepodziwiania, było dla nas obu wzbogaceniem z punktu widzenia naszych artystycznych możliwości?

Środa

Ktoś kto by podsłuchał nasze rozmowy z owych lat, już dawnych, wziąłby nas może za konspiratorów. Cóż to za spisek? Bruno mnie mówił o „nielegalnym kodeksie", a ja jemu o „rozsadzaniu sytuacji" i „kompromitowaniu formy", on mnie o „bocznym torze rzeczywistości", a ja jemu o „wyzwalającej kakofonii". Była też mowa o „subkulturze" i „niedopiękności", o „tandecie" (którą Bruno nazywał „ersatzem") itd. Cóż to za laboratorium?

W rzeczy samej, byliśmy spiskowcami. Pochłonięci byliśmy eksperymentowaniem z pewnym materiałem wybuchowym, który

nazywa się Forma. Ale nie była to forma w znaczeniu zwykłym — tu chodziło o ,,stwarzanie formy'', jej ,,produkowanie'' i o ,,stwarzanie się poprzez stwarzanie formy''. Trudno mi to wyjaśnić w paru słowach, kto ciekaw niech zajrzy do naszych książek. Zaznaczę tylko iż, choć każdy z nas inaczej sobie poczynał (bo gdy ja poprzez prowokację formy i jej dysonansowe wybuchy chciałem dojść do siebie, czy do człowieka w ogóle, on oddawał się tej alchemii gratis, zupełnie gratis, z bezinteresownością istoty marginesowej), to jednak mieliśmy pewną cechę wspólną. Obaj byliśmy wobec Formy zupełnie sami. Ten mnich bez Boga... i ja, z moim dumnym człowieczeństwem, które było rzeczywiście ,,same w sobie'', o nic nieoparte, rodzaj kategorycznego imperatywu krzyczącego w próżni: bądź sobą!

Te więc igraszki z formą nas łączyły. I tu właśnie nasuwa mi się podejrzenie — czy dla eksperymentatorów, jak my, ludzi w fazie próbnej, plajta w naszym wzajemnym stosunku nie była rzeczą najszczęśliwszą? A cóżby się stało, gdybym odpowiedział podziwem na podziw — czy wówczas nie poczulibyśmy się, jeden wobec drugiego, zanadto zrobieni... zanadto na serio?... Gdyby czuł mój podziw, gdybym ja, podziwiając, nadał wartość jego podziwowi — czyż to nie uczyniłoby nas za ciężkimi do eksperymentowania... ze sobą? Och, tak, i on, i ja, szukaliśmy podziwu, afirmacji... bo próżnia męczy... Czy jednak taka harmonia byłaby w naszym stylu? Wszak o wiele zgodniejszy z nami był właśnie obrót rzeczy spartaczony, w którym jego wyciągnięta ręka nie napotykała mojej — ta sytuacja typowo schulzowska, a i mnie nie obca, pozwalała nam przynajmniej zachować dziwną wolność istot jeszcze nieurodzonych, szczególną niewinność embrionów — to zaś czyniło nas lekkimi wobec Formy.

A co się tyczy podziwu — i niepodziwu — cóż nas to mogło osobiście obchodzić, gdy obaj byliśmy *z nieprawdziwego zdarzenia?*

Czwartek

O trzecim muszkieterze nadmieńmy jeszcze. O Witkacym. Ten w pióropuszu dandyzmu metafizycznego, wiecznie odstawiający wariata. Nie lubiłem go. Drażnił mnie, a jego eksperymenty z formą, najśmielsze chyba, nie były dla mnie przekonywujące — zanadto intelektualne, nie umiejące wyjść poza grymas... Uważałem, że brak mu talentu. A jego tricki podobne do tego, czym dzisiaj Dali epatuje, zanadto jak na mój gust były klasyczne w swoim surrealizmie.

Witkacy, jak król Lear, ukazywał się zawsze z orszakiem dworzan i błazenków, rekrutowanych przeważnie z rozmaitych pokurczów literackich (jak większość dyktatorów znosił tylko istoty podrzędne). Niejeden z tych kornych akolitów, widząc Schulza, lub mnie, z mistrzem, zaliczał nas do witkacowego dworu, gdyż w jego służbistej głowie nie mogło się pomieścić

inna interpretacja — i stąd powstała gadka, że Schulz i ja wywodzimy się z witkacowej szkoły. Nic podobnego. Bruno, o ile mi wiadomo, też nie wiele z niego zaczerpnął i sądził go bez entuzjazmu; a w utworach jego śladów Witkacego nie widzę.

Ale byliśmy mimo wszystko trójcą i to dosyć charakterystyczną. Witkiewicz: umyślne afirmowanie szaleństw ,,czystej formy'' przez zemstę, a też żeby się wypełniły tragiczne przeznaczenia, wariat zrozpaczony. Schulz: zatracenie się w formie, wariat utopiony. Ja: żądza przebicia się poprzez formę do ,,ja'' mojego i do rzeczywistości, wariat zbuntowany.

Sobota

Przeglądam kartki o Schulzu napisane. Czy on był akurat taki? Czy ja byłem taki? Prawdo prawdziwa, kto ci soli na ogon nasypie?!

Co do wdzięczności... nie lubię tego uczucia... nie, żebym był naturą niewdzięczną, tylko że ono takie nieporęczne, nie dające się dobrze wyrazić, przez to niebezpieczne. Ileż nazwisk powinienbym, jak mówi Szekspir, ,,zapisać do księgi, którą co dzień odczytuję''! Notatka w ,,Kulturze'', że na koniec pierwszą w życiu załapałem nagrodę (Boże wielki!) wymienia Wittlina i Sandauera, jako tych co memu trupowi powiedzieli: ożyj! Ale, jeśli tę notatkę pisał Jeleński, to Jeleński zapomniał dodać, że wszystkie wydania moich dzieł w obcych językach powinny być opatrzone pieczątką ,,dzięki Jeleńskiemu''.

Czasem naokoło siebie widzę tylko las wrogów. A czasem, gdzie okiem rzucę, ukazuje się dobroczyńca. Litce, na przykład, zawdzięczam Waltera Tiela. A Tielowi zawdzięczam przekład Ferdydurki z polskiego na niemiecki, powitany chórem pochwał w prasie niemieckiej — i zawdzięczam mu wysiłek tak gorący, bezinteresowny, skrupulatny, że w tej chwili już prawie wszystkie moje utwory są, przed terminem, przyswojone niemczyźnie i gotowe do wydania. Jak się odwdzięczyłem Litce, że mi ten skarb wynalazła, że odważyła się mnie go narzucić? Napisałem: ,,Nie przeczę utrafiłaś, ale co prawda człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi''.

Niedziela

Korespondencja. Z przykrością muszę odmówić pani Gerdzie Hagenau z Wiednia autoryzacji na zamieszczenie mego tekstu w antologii polskiej literatury, którą przygotowuje po włosku dla wydawnictwa Feltrinelli.

Czynię to, ponieważ w przedmowie tej pani do antologii opowiadań polskich w języku niemieckim pt. ,,Polnisch erzählt'', która się niedawno ukazała, literatura emigracyjna została wyraźnie zlekceważona, a wywyższeni zostali jej kosztem pisa-

rze krajowi, Ignorancja? Polityka? Nie wiem. W każdym razie uważam, że pisarze emigracji nie powinni brać udziału w imprezach, które są mętną wodą na tamten młyn — co gorzej, z pozorami „obiektywizmu".

Wtorek

Beduino i ja na przystanku, czekamy na omnibus 208. Mówię do niego: — Stary! Uważasz, w omnibusie, żeby się nie nudzić, zadamy szyku! Zaimponujemy! Rozmawiaj ze mną, jakbym był dyrektorem orkiestry i jakbyś sam był muzykiem, wypytuj mnie o Toscaniniego...

Beduinowi w to graj. Wsiadamy. Umieszcza się w stosownej odległości i zaczyna głośno: — Na mój gust, to jabym wzmocnił kontrabasy, zwróć także uwagę, mistrzu, na fugato. .

Ludzie się przysłuchują. Ja mówię: — Hm, hm...

On: — I na blachę w tym przejściu z Fa na Re... Kiedy masz ten koncert? Ja będę grał czternastego... A propos, kiedy mi pokażesz ten list Toscaniniego?

Ja (głośno): — Młodzieńcze, dziwię się... Toscaniniego nie znałem, dyrektorem orkiestry nie jestem i nie rozumiem doprawdy po co ci popisywać się przed ludźmi udając muzyka. A fe, cóż to za strojenie się w cudze piórka?! To bardzo brzydko!

Wszyscy patrzą surowo na Beduina, który, w ponsach, topi we mnie mordercze spojrzenie.

Środa

Urodzaj teraz w prasie emigracji na pośredników między moim zepsuciem a powszechną zacnością. Niedawno jeszcze byłem po prostu pajac i świnia, dziś — że to jednak jest zagraniczny rezonans — rozmaici wyjaśniacze zabrali się do „obiektywnego" acz kwaskowatego wykładania moich tworów (potworów?) z miną „nie będę chwalił, ani ganił, niech czytelnik sam wyciągnie wnioski". Tfy! Po takiej obwisłej beznadziejnie, „obiektywnej" prozie, człowiek szuka wrogów by nimi odetchnąć jak najczystszym, mroźnym, górskim powietrzem.

Inna sprawa: odkrywam siebie w każdym młodym autorze, który o siebie walczy.

Mówię to, bo Czaykowski w „Kontynentach" żąda, abym ja, starzec, czytał ich prace — ich, dzieci, którym trzydziestka jeszcze nie zaświtała w głowie! Czy zdaje sobie sprawę, co powiedział? Czytać! Ależ czyż nie wie, że pisanie choćby arcydzieł, to tylko zawód — a sztuka, prawdziwa sztuka, to dokazać, aby książkę przeczytano. Ja dopiero na sthare lata się doczekałem, że z dziesięć lub piętnaście osób mnie tu i tam przeczytało (i tego nie jestem taki pewny!). Czytać?! Ha, ha, ja też tego się domagałem, gdy byłem w ich wieku!

Czwartek

Anglista Grabowski znów dla rozmaitości wylicza katalogi, w których figuruje — w liście, już trzecim z rzędu, tym razem do redakcji ,,Kontynentów'' — protestując, bo poczciwa pani Danilewiczowa przez roztargnienie zapomniała o nim w swoim odczycie o literaturze emigracyjnej. A oto opinia tego skatalogowanego autorytetu krytycznego o Kajetanie Morawskim: ,,Morawski umie pisać, ale nie jest pisarzem!''. W świetle tego orzeczenia stała mi się na koniec jasna i konsekwentna myśl Grabowskiego: pisarzem jest ten, kto nie umie pisać i figuruje w katalogu.

Swoją drogą, drążący egocentryzm autobezkrytyczny naszego anglisty, w połączeniu z tym jego wwiercającym się egotyzmem epistolarnym, nie jest chyba objawem godnym pochwały z punktu widzenia społecznego i narodowego. A cóżby było, gdybyśmy tak wszyscy zaczęli głosić w listach do redakcji chwałę i zasługi naszych Jaśnie Wielmożnych pępków? Smutne, że tak mało jest tych, co umieją żyć innymi, nie sobą. To tak łatwo, Grabowski, trzeba tylko troszkę dobrej woli!

Witold GOMBROWICZ

O Pawle Hostowcu

Józef CZAPSKI:

PRZY SYBILLACH KRÓLOWYCH

Manche liegen immer mit schweren Gliedern:
Bei den Wurzeln des verworrenen Lebens
Andern sind die Stühle gerichtet
Bei den Sybillen, den Königinnen

Tej strofy nie próbuję tłumaczyć. Cóż by zostało z jej magii — nic. Spróbuję tylko opowiedzieć treść wiersza Hofmannsthala, z którego strofę tę wziąłem, bo zdaje mi się jakby napisana dla Hostowca i o nim.

Jedni umierają, pisze poeta, tam gdzie się poruszają ciężkie wiosła statków, inni mieszkają przy sterze, znają lot ptaków i krainy gwiazd. Jedni tkwią u korzeni zawiłego, pełnego zamętu życia, inni mają swe przybytki przy Sybillach — królowych. Ale na tych szczęśliwców lekkich pada cień, cień od tamtych, dławionych w zamęcie życia i związani są oni ze sobą ci lekcy i ci ciężcy jak z powietrzem i ziemią. Poeta z Sybillami żyjący mówi dalej:

Ganz vergessener Völker Müdigkeit
Kann ich nicht abtuhn von meinen Lidern
Noch weghalten von der erchrockenen Sehle
Stummes niederfallen ferner Sterne

Zmęczenia zapomnianych ludów nie może on sprzed powiek swych usunąć, ani nie potrafi jego przerażona dusza z pamięci swej zetrzeć niemego zapadania się dalekich gwiazd. I losy wszystkie w jego los wrośnięte, wetkane, to więcej niż smukły płomień jego życia i jego wąska lira.

Nie znam człowieka, który by bardziej od autora „Esejów dla Kassandry" zdawał się powołany, by współżyć z Sybillami i znał lepiej niż on lot ptaków i krainy gwiazd, ale na niego właśnie pada cień od tamtych wszystkich, którzy tkwią przy ciężkich wiosłach w zamęcie życia, i nikt dziś nie czuje bardziej niż on „zmęczenia całkiem zapomnianych ludów".

Hofmannsthal pisze, że we wszelkim „wyższym myśleniu" tkwi cud wspólnoty, jedności, dnia dzisiejszego z przeszłością, życie umarłych w nas i że temu jedynie zawdzięczamy, że zmienność czasu jest pełna treści, że nie wyczuwamy jej jak serii oderwanych i wciąż bez sensu powtarzających się taktów. Wieczne to jest dzisiejsze i ono jest pełne treści.

Kiedy Hostowiec pisze o Wojnie Peloponeskiej czy o próbie oderwania się Mityleny od Aten, o skazaniu na śmierć przybyłych posłów i wszystkich Mityleńczyków zdolnych do noszenia broni, o sprzedaniu ich kobiet i dzieci na rynku niewolników, naprawdę już nie wiemy czy tu mowa o zbrodniach ateńskich czy może o zbrodniach podobnych, któreśmy sami przeżyli wczoraj. Czytając Hostowca tracimy poczucie przedziału między dziś i wczoraj, wszystko jest dziś.

◆

„Nie będę nigdy zdolny zrozumieć gdzie jest linia demarkacyjna między prozą a poezją" — pisze młody Tołstoj w swym dzienniku.

Kiedy Hostowiec we wstępie do swej książki mówi o magii słowa poetyckiego, o tej władzy tworzenia formuł, które zostawiają niezatarte ślady na mijających godzinach, dodaje „że wszystko to jednak warte jest tylko dla poezji", bo zaletą prozy jest jasność myśli porządkującej chaos zjawisk. Zasłaniając się Tołstojem przyznam się, że i ja więcej niż kiedykolwiek nie umiem zrozumieć gdzie leży ta granica między poezją a prozą. Czy Hostowiec, który zdaje się wszystko rozumie, nie jest świadomy, że jego „czernienie papieru", jak pogardiwie nazywa swoje pisanie, jest, jeżeli nie przede wszystkim, to na pewno także poezją? Te słowa, pozornie proste, zawsze w nieoczekiwany sposób dobrane i powiązane, metafory zaskakujące, nie wyszukaniem, ale właśnie codziennością, wyjaśniające, nigdy zacierające sens tekstu, liczne i udatne spolszczenia słów obcych, cytaty diamentowe z dziewięciu języków wzięte, oddech zdania, płynny i oszczędny zarazem — zdaje się, że rozpoznać moglibyśmy autora zawsze wśród stu przeróżnych tekstów — sam kształt myśli krągły i pełny — to stop magiczny. Poezja i muzyka, o ileż rzadziej malarstwo dają takie przeżycia, które się wymykają z racjonalnej oceny bo są innego wymiaru.

Może jestem odosobniony wśród czytelników Hostowca w tym poetyckim reagowaniu na jego prozę. Przypuszczam jednak, że każdy uważny czytelnik przeżył ten szok poetycki przed paru

chociaż stronami tej prozy, szok który zostawia ślad nie tylko na mijających godzinach, ale na życiu. Niektóre opisy z ,,Podróży do Niemiec'', która nie weszła do tego tomu esejów, jak nocna rozmowa ze skrzypkiem wśród zaśnieżonych ruin niemieckiego miasta, czy opis obozów gdzie wygnani ze swych wiosek i miast Ukraińcy, Żydzi, Polacy marzą w barakach pod podartymi kocami o szumie rzek rodzinnych należą do tej prozy poetyckiej Hostowca — w ,,Esejach o Kassandrze'' odnajdujemy prozę tej jakości niemal na każdej stronie — prozy poetyckiej, która zostanie może jako najwyższe świadectwo naszych czasów w literaturze polskiej.

Kto z ludzi mojego pokolenia potrafił oddychać w latach najciemniejszych powietrzem ,,wysokich pustkowi Parnasu'', świadom tego co te czasy nam wszystkim przyniosły. Na ,,Eseje dla Kassandry'', gdzie trafiamy nieraz na uśmiech i nawet na dobry żart, *pada cień* o którym mówi Hofmannsthal, bo Hostowiec nie jest nigdy odgrodzonym od świata smakoszem literatury i estetą lub tylko erudytą, stąd ten starannie ukryty smutek pozornie pogodnej książki. Da ona niejednemu tę ,,trzcinę Anioła'' z Apokalipsy do ręki, która miarę rzeczy ustala, będzie dla wielu miarą innych książek.



Czy potrafię mówić o tezach, które autor stawia rzadko, a prędzej insynuuje, jakby podsuwając czytelnikowi do rozwagi, ustawiając je zawsze pod kątem nieoczekiwanym lub wyprowadzając je z obserwacji najprostszej, codziennej ale jakże uważnej, czy o przekonaniach autora, zresztą nie zawsze dla mnie jasnych, które mnie z nim od lat najgłębiej łączą czy dzielą, bo i takich jest wiele istotnych i nigdy między nami do końca niewyjaśnionych.

Nawet gdybym nie artykuł a tom próbował o tym napisać nie dałbym rady ich wyczerpać; rozpiętość myśli, doświadczenia, kultura, którą chyba niewielu z nim Polaków dzieli (Vincenz, Wittlin, któż jeszcze?), stwarza że chciałbym go tylko słuchać i nawet wtedy kiedy się z nim nie zgadzam, drążyć dalej zagadnienie i milczeć.

Chodzi mi dziś o co innego, o człowieczeństwo, o aurę tej książki, gdzie rzutowania najbardziej odkrywcze są jakby zaszyfrowane, świadomie przeznaczone tylko dla paru najuważniejszych czytelników, albo muśnięte z pozorną niedbałością, zobaczone przez błysk chwili, gdzie nawet drapieżny pamflet jest piórem aksamitnym pisany i zanurzony w takim gąszczu spostrzeżeń przenikliwych i jedynej w swoim rodzaju erudycji, że przeszedł w Polsce w latach 30-tych niepostrzeżony przez oczka cenzury. Myślę tu o ,,Panu Jowialskim'', jedynym tekście gdzie Hostowiec zdaje mi się stracił ten dystans, który go cechuje i wypuścił z ręki trzcinę anioła celując poprzez płaską

figurę starucha-dowcipnisia Jowialskiego w tragiczną samotność Piłsudskiego.



Hostowiec jest chyba najdalszy wśród pisarzy współczesnych od mody czy potrzeby wyznań, spowiedzi publicznych, tak czy inaczej podmalowanych dzienników, megalomańskiego ekshibicjonizmu. Hostowiec przeciwnie, zaciera ślady, wszędzie gdzie myśli jego zdają się zbliżać ku wyznaniom osobistym, pseudonimy, szyfry, aluzje, nigdy nie wiemy z jakiej strony, z jakiej warstwy myśli czy z aluzji do jakiego wieku usłyszymy to co stanowi istotę jego tekstu. Chodzi tu zawsze jednak o spojrzenie na świat, o wyjście z zaczarowanego koła konwencji a nie o grę luster, w której się pisarz przegląda, świadomie czy odruchowo układając twarz swoją tak jakby chciał być widziany przez wdzięczne potomstwo. Umie on być okrutny gdy pisze o literaturze współczesnej, jakby wyobcowanej, oderwanej od życia: ,,Świat wyobraźni wysnuty z patrzenia we własny pępek jest z natury swej ograniczony'' pisze Hostowiec. ,,Zamykanie się w nim nie jest dla nikogo rzeczą bezpieczną. Pies, gdy przestaje obserwować otaczające go przedmioty, zaczyna wyć. Literatura obecna pełna jest skomlenia i wycia''. A w innym miejscu: ,,Retoryka czysta pozbawiona elementów związanych z obserwacją świata zewnętrznego ma pewne powinowactwo z malarstwem abstrakcyjnym. Jeszcze większe podobieństwo zdradzają procedery przy pomocy których pisarze i malarze wypłukują z przedstawianych przedmiotów wszelką samodzielną treść. Tak spreparowane przedmioty stają się jedynie martwą dekoracją retoryki autorów''. Dlatego właśnie Hostowiec odniósł się z taką powagą do ,,Wieży'' Herlinga Grudzińskiego widząc w opowiadaniach tego pisarza próbę zerwania z wyjałowioną już konwencją abstrakcyjną.



Wbrew niechęci do wszelkich wyznań uważny czytelnik dociera co raz to do stron, w których jak przez przezroczystą taflę widzi świat intymny autora tej wyjątkowej książki. W jednym z rozdziałów nieśpiesznego przechodnia (,,Kłopoty recenzenta muzycznego'') Hostowiec cytuje list Maupassanta, o którym już kiedyś pisałem w ,,Kulturze''. Maupassant wyznaje, że jedyną racją jego istnienia są doznania, objawienia piękna nieuchwytnego, zdradzającego się zaledwie w pewnych słowach, widokach świata, pewnych sekundach. Maupassant pisze: ,,Nie potrafię go ani dać poznać innym ani wyrazić ani opisać. Zachowuję je dla siebie. Nie mam innej racji bytu, innej przyczyny dalszego trwania''. Więc Maupassant nie wiedział, że te chwile osobliwe umiał przecie dać poznać, przekazać! Kiedy słyszę nazwisko

Maupassanta wracają do mnie te właśnie przekazane przeżycia na Riwierze jakiś las dębów korkowych odartych z kory i krwawiących jak ludzie, przy chłopskiej fermie gdzie stara kobieta zabija się z powodu miłosnego zawodu, potem jakieś sitowia nad stawem czy pies wrzucony do wyschłej studni przez oszczędne Bretonki, aby go już przestać karmić. Nawet tytułów tych nowel nie pamiętam. Miłość Hostowca do Maupassanta mówi wiele. Gwałtowna, chwilami trudna do uniesienia jest bolesność tych opowiadań, które Maupassant przeważnie wkłada w usta ludzi obojętnych lub sam je opowiada z pozornym oderwaniem czy nawet cynizmem.

Pisząc, że *my* wszyscy gdy pomyślimy głębiej posługujemy się kryteriami Maupassanta, bo każdy z nas żyje dla minut czy sekund wrażeń, których nie potrafimy jasno opisać, o których mówimy ostrożnie aby ich nie spłoszyć, lub o których milczymy, Hostowiec pisze wówczas o tajnej racji *swego* własnego istnienia. I może jak Maupassant nie jest świadomy, że takie sekundy właśnie on przekazać nam umie.

Czy może pisarz dać więcej czytelnikowi?



Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI:

WYJŚCIA Z MILCZENIA

Kiedy w roku 1937 przyjechałem z Kielc na Uniwersytet do Warszawy, moi starsi koledzy zaprowadzili mnie na Królewską 25, do ówczesnego mistrza młodzieży polonistycznej traktującej na serio swe studia. Był nim Ludwik Fryde, ascetyczny, mądry i czarujący łodzianin z pokolenia, które na polonistyce warszawskiej wydało Władysława Bieńkowskiego, Dawida Hopensztanda, Franciszka Siedleckiego i Stefana Żółkiewskiego. Wchodziło się doń z drugiego podwórza na drugie piętro — przez mieszczański apartament jego gospodarzy do małego i ciemnego pokoiku, w którym książek na wąskich półkach i w luźnych stertach pod ścianami było tak dużo, że groziły każdej nocy zakopaniem sublokatora wyciągniętego na przykrótkim tapczanie. Gdyż Ludwik, o brzydkiej raczej i skupionej twarzy na której przelotnie tylko gościł czasami dobry i życzliwy uśmiech, był bardzo długi: często sięgał po książki nie wstając z krzesła, jak tresowany wąż wyginający się górną częścią tułowia na wszystkie strony gdy mu przygrywają na flecie znaną melodię.

Nie pamiętam już dobrze, ale zapewne przyniosłem mu nieodzowny w takich wypadkach bilet wizytowy: kilkudziesięciostronicowy rękopis obmyślany i kaligrafowany przez ileż dni i

wieczorów to na nudnych lekcjach w gimnazjum Żeromskiego, to na stancji przy ulicy Sienkiewicza. I zapewne przyjrzawszy się uważnie temu literackiemu soliterowi, Ludwik — niezrównany diagnosta i lekarz dziecięcych chorób pisarskich! — znalazł natychmiast najlepszy, a przytem bezbolesny i przyjemny sposób jego wypędzenia: ,,Musi pan czytać Stempowskiego. Jest tego niewiele, ale wystarczy". (Nigdy zresztą nie omijał sposobności, by zalecić swoim uczniom jakąś lekturą ,,obowiązkową". Przypominam sobie że znacznie już później, w okresie naszej przyjaźni, zabrał mnie którejś niedzieli do Aleksandra Hertza, do Podkowy Leśnej, i tam w trakcie rozmowy, korzystając z chwilowej nieobecności gospodarza i Rafała Blütha, zgromił mnie surowo: ,,Mój drogi, musisz koniecznie przeczytać *Historię Europy w XIX wieku* Crocego". Wraz z Elzenbergiem nie cenił zbyt wysoko Crocego jako estetyka, ale wielbił go jako pisarza historycznego i krytyka literackiego. Ten ,,mus" zapadł mi tak głęboko w serce, że po klęsce wrześniowej, nie mając czym zająć posępnych myśli, zabrałem się w moim domu rodzinnym pod Skarżyskiem do tłumaczenia z niemieckiego eseju Crocego o dramatach Kleista. Był to mój ostatni kontakt z piórem przed wyruszeniem w wędrówkę wojenną).

Wróćmy jednak do arcymistrza, wskazanego mi przez mojego mistrza. Było tego istotnie niewiele, nie do wiary mało dla kogoś kto na ławie szkolnej przywykł wagę pisarzy mierzyć dosłownie na wagę, skłaniając z *timore religioso* głowę jedynie na widok pękatych woluminów. Nazajutrz w bibliotece na Koszykowej przyniesiono mi skromną książeczkę: *Pana Jowialskiego i jego spadkobierców, czyli rodowód śmiechu szlacheckiego*. Potem odbitkę (zdaje się że z *Przeglądu Współczesnego*) o dziwnym tytule *Chimera jako zwierzę pociągowe;* i wreszcie odbitkę (zdaje się że z *Marchołta*) zapowiadającą w nazwie spokojnie i nieco melancholijnie, że odtąd wkraczam w świat *Nowych marzeń samotnego wędrowca*.

Żeby doprowadzić do kropki tę wspomnieniową introdukcję. Widzę że *Eseje dla Kassandry* Hostowca zamyka szkic o *Pełnomocnictwach recenzenta*. Ukazał się on w pierwszym numerze *Pióra*, miesięcznika założonego tuż przed wojną przez Ludwika Frydego przy współudziale Józefa Czechowicza, i ,,wydawanego" przez Księgarnię Hoesicka. ,,Wydawanego" właśnie w cudzysłowie: numer drugi (w którym były już jakieś moje rzeczy) został co prawda wydrukowany, ale nie dotarł nigdy do rąk czytelników. Większość tych, młodych przeważnie, rąk szukała we wrześniu 39 roku (też na próżno) nie *Pióra* lecz karabinu. Po raz ostatni widziałem Ludwika pod Stoczkiem, gdzie grzmiały nie tylko armaty. Biegł nieprzytomnie przed siebie jak ogromny i chudy ptak z przetrąconym skrzydłem. Ludwiku! — krzyknąłem z przydrożnego rowu. — Ludwiku, poczekaj na mnie! Obejrzał się na sekundę, ściągniętą przerażeniem twarz rozjaśnił na okamgnienie dawny uśmiech, i pobiegł dalej. Zginął

podobno w Wilnie, nie wiem kiedy i w jakich okolicznościach. Stempowski, który miał dla niego uczucia przyjaźni i szacunku, nie weźmie mi na pewno za złe tej dygresji.



Pierwsze moje zetknięcie z Hostowcem nauczyło mnie zatem ważnej rzeczy: że można powiedzieć niezmiernie dużo, nie czerniąc zbyt euforycznie i obficie papieru. Wątpię czy z tej nauki wyciągnąłem natychmiast praktyczne wnioski, bo nie jest to sprawa przepisu lecz bogactwa doświadczeń pozaliterackich, erudycji, mądrości i długoletniej refleksji. Tylko tak doświadczony i oczytany „samotny wędrowiec", przyglądający się z ubocza po olimpijsku wypadkom i ludziom spojrzeniem uważnych oczu podnoszonych od czasu do czasu znad starych i nowych ksiąg, mógł był napisać na kilkudziesięciu stronicach równie przenikliwy szkic o Piłsudskim w formie eleganckiej, finezyjnej i niewinnej na pozór rozprawki filologicznej o komedii Fredry. Tylko człowiek bywały i wszechstronnie wykształcony, jednakowo biegły w lekturze ceduł giełdowych co w lekturze hermetycznych tekstów poetyckich, mógł był zawrzeć przed trzydziestu bez mała laty w *Chimerze jako zwierzęciu pociągowym* taką masę nieprzedawnionych po dziś obserwacji i przemyśleń. Sekret Hostowca, trudny do naśladowania dla eseisty wyposażonego w uboższą niż on aparaturę krytyczną, tkwi przypuszczalnie w dwóch zdaniach wstępu do jego pism wybranych. „Proza nie czerpie swej siły z magii, lecz z jasności myśli porządkującej chaos zjawisk". I nieco dalej: „Wyjście z milczenia, które zdaje się być właściwą postawą myśli...". Wyjściami z milczenia, stanowiącego właściwą postawę myśli, są niemal wszystkie eseje Hostowca; wyjściami z milczenia przedsiębranymi jedynie wówczas, gdy ma się coś naprawdę istotnego do obwieszczenia innym w pracy nad porządkowaniem chaosu zjawisk. Że nie są to okresy milczenia jałowego czy leniwego wiedzą najlepiej ci, którym w przerwach między jednym esejem a drugim zdarza się widywać ich autora lub otrzymywać od niego listy.

Stąd cud, że eseje Hostowca mogą się starzeć w szczegółach ale nie w liniach ogólnych, często zaś wydobywają na światło dzienne procesy *in statu nascendi*, których zauważenie i pełne przyswojenie zajmuje nam (trochę paradoksalnie) więcej czasu niż „niespiesznemu przechodniowi". Gdy czytamy dziś *Chimerę jako zwierzę pociągowe* (1933), szkic o podskórnych związkach łączących gusty artystyczne najzamożniejszej burżuazji z jej aspiracjami, możemy powiadomić autora że wspomniany przezeń Riccardo Gualino zdążył się już ustatkować i przestał być „znawcą i protektorem nowej sztuki, baletów futurystycznych, oraz modernistycznej architektury": w wydanym niedawno katalogu jego zbiorów malarskich ofiarowanych Galerii Sabaudz-

kiej w Turynie figurują wyłącznie mistrzowie Średniowiecza i Renesansu. Ale sam mechanizm opisany w tym znakomitym eseju działa nadal, tyle tylko że w innych postaciach i na innych planach; i klucz użyty tu przez Hostowca bynajmniej nie zardzewiał. Gdybym, na przykład, miał był w pamięci procedurę *Chimery* pisząc mój artykuł o *Nudzie* Moravii! Zacząłbym go od przytoczenia, za Hostowcem, wybornego powiedzenia Czechowa o przedwojennych symbolistach i dekadentach: *oni tolko pritworiajutsia bolnymi ili bezumnymi, wsio zdorowyje mużiki;* podkreśliłbym że oszałamiający sukces *Nudy* we Włoszech (przeszło sto tysięcy egzemplarzy) przypisać należy filozoficzno-egzystencjalnemu alibi, jakiego powieść Moravii dostarczyła „złotym" wałkoniom burżuazyjnym, szukającym ugaszenia swego „spleenu istnienia" w bezustannej obłapce (wszystko zdrowe chłopy, ale o ileż dostojniej uważać się teraz dzięki Moravii za ofiary „alienacji" i „przerwanego stosunku między człowiekiem a rzeczywistością"!); i kto wie, dodałbym może że w dziele przysporzenia *Nudzie* czytelników i wyznawców wzięły walny i nie całkiem bezinteresowny udział *moltissime signore della societa elegante milanese...*

Metoda Hostowca, niezawodna i płodna przy obnażaniu pomniejszych współzależności i niewidocznych dla gołego oka punktów stycznych, zawsze czujna na wszelkie ukryte powinowactwa i precedensy (1), zawiera jednak także pewne niebezpieczeństwa jeśli ją stosować w skali zanadto szerokiej. Mam na myśli szkic *Klimat życia i klimat literatury*. Budzi wątpliwości wyjaśnienie swoistej retoryki kaznodziejskiej Camusa z *La Chute* tym, że w literaturze współczesnej „utrzymywanie klimatu tak odległego od klimatu otaczającego życie (tj. od klimatu nacechowanego wzrostem dobrobytu i powszechnego awansu społecznego) wymaga uszczelnienia okien i drzwi, zamknięcia się w formach monologu i majaczenia, w którym rzadkie fragmenty rzeczywistości zewnętrznej pływają luźno jak jarzyny w *consommé Julienne,* w formie barokowego kazania, w którym furia słów oszałamia raczej niż przekonywa słuchacza". Prawie nie

---

(1) W marginesowym przypisku drobny ale charakterystyczny przykład tej czujności z Hostowca-epistolografa. Posłałem mu niedawno jako curiosum recenzję z moich *Skrzydeł ołtarza,* ogłoszoną w dzienniku komunistycznym *Paese-Sera* i utrzymaną w tonie „spalić tę czarownicę na stosie". Oto jego odpowiedź: „Recenzja w *Paese-Sera* dostarczyła mi dobrej zabawy. Przypomniałem sobie, że już Marinetti pomstował przeciw *pessimismo nostalgico* Francuzów, który obiecywał wyplenić we Włoszech. Zabawne jest widzieć, że te same argumenty wysuwają dziś komuniści. W roku 1946 w tygodniku *L'Action,* który wydawał Pierre Hervé, wydalony z partii w dziesięć lat później, widziałem ankietę przeprowadzoną wśród czytelników na temat: czy należy spalić dzieła Kafki? Redakcja motywowała palenie tym, że pesymizm Kafki zatruwa wyobraźnię czytelników i nie odpowiada radosnym perspektywom, jakie otworzył przed ludzkością geniusz Stalina. Jak widzę, komunistyczni borzopiścy nic odtąd nowego nie wymyślili".

do wiary że Hostowiec zatrzymał się tu na samej powierzchni zjawiska, że nie dostrzegł iż klimat otaczający dzisiejsze życie jest bardziej złożony i zdaje się swą złożoność zawdzięczać *właśnie* wzrostowi dobrobytu i powszechnego awansu społecznego. Parę lat temu Silone ogłosił w jednym z tygodników włoskich krótkie wyznanie, w którym czytam: ,,Jako dziecko w Abruzzach cierpiałem z powodu nędzy moich najbliższych przyjaciół. Byli to synowie ludzi którzy pracowali całe życie po czternaście godzin na dobę, i wydawało mi się że ich nieszczęście pochodzi tylko z nędzy. Zagadnienie nędzy ukazało mi się więc jako najważniejsze. Tej interpretacji rzeczywistości społecznej pozostałem wierny aż do chwili, gdy w roku 1930 musiałem z przyczyn politycznych wyemigrować do Szwajcarii. Mieszkałem czternaście lat w Zürichu, gdzie nędza jest w praktyce zniesiona, gdzie prawo zabrania człowiekowi być biednym. I oto Zürich jest obok Sztokholmu (innego centrum dobrobytu) miastem europejskim, w którym istnieje największy procent samobójstw, wypadków obłędu i rozwodów. Nauczyłem się więc odkrywać inne nieszczęścia, nie pochodzące z nędzy. Uświadomiłem sobie, że życie moralne nie zależy od zamożności''. Przy takim spojrzeniu na sprawę klimat znacznej części literatury współczesnej, traktującej z powagą swe zadania, okazuje się raczej bliski klimatowi życia. A ,,krasomówstwo kościelne'' Camusa — nie jak znowu sztuczną formą pisarza, zwracającego się do czytelników postawionych przez wzrost dobrobytu i powszechnego awansu społecznego wobec rzeczy ostatecznych.

Najświetniejsze są te eseje Hostowca, które wychodząc z założeń na pozór błahych, docierają do konkluzji zaskakujących i nawet odkrywczych. Oto *Polacy w powieściach Dostojewskiego* (1931). Oczyściwszy teren z banalnych lub bałamutnych interpretacji niechęci Dostojewskiego do Polaków, Hostowiec dochodzi stopniowo do tego co naprawdę istotne: ,,Polacy reprezentują dla niego najbardziej niebezpieczną, bo schodzącą aż na samo dno katorgi, próbę racjonalnego czy mistycznego wytłumaczenia męki potępionych, która w całej twórczości Dostojewskiego ma nosić zasadniczo charakter *niczym* niewytłumaczony, apelujący do nas swym wiekuistym, niemożliwym do stłumienia protestem''. Stąd krok tylko do modnych dziś teorii o Dostojewskim jako praojcu poczucia absurdu ugniatającego duszę ludzką, moralności wiecznego *podpolia*. Co jest, dla miłośników twórcy *Braci Karamazow,* dowodem jak jednorodna i konsekwentna była wizja moralna Dostojewskiego, skoro wody na młyn dostarczały jej również elementy drugorzędne w rodzaju Polaków; a dla adeptów eseistyki — niedościgniony wzorem metody indukcyjnej w analizie tekstów literackich. (Nawiasem dodam, że autor *Zapisków z martwego domu* był w swych reakcjach, a zwłaszcza w ich pobudkach, mniej odosobniony niż się może przypuszcza. W moich wspomnieniach z sowieckiego martwego domu żywa jest ciągle podobna niechęć współczesnych katorżników rosyjskich do nowych polskich przy-

byszów na Sybir. I jestem przekonany, że jednym z ważniej szych składników tej niechęci była odmowa Polaków uczestni czenia w męce irracjonalnej i niczym niewytłumaczonej). Albo inny szkic: *Graniczne punkty sztuki u naturalistów*. Łatwo dziś powtarzać przy byle sposobności, że współcześni ,,socrealiści'' wywodzą się w najlepszym razie ze szkoły romantycznej w po wieści, z jej surowymi pojęciami o tym ,,co należy a czego nie należy pokazywać''. Ale kto, poza Hostowcem, widział to rozumiał w roku 1937?

Kilka bodaj słów o styliście. Hołdując przeświadczeniu że ,,proza nie czerpie swej siły z magii, lecz z jasności myśli porządkującej chaos zjawisk'', powinno się w zasadzie ustawiać na papierze zdania w klarowne szyki, nie dbając nadmiernie o ich strojność i urodę. I w zasadzie Hostowiec tak postępuje. Tym większy jednak zachwyt wywołują rzadkie i wspaniałe odstępstwa, jak gdybyśmy w powolnej i miarowej modulacji głosu usłyszeli nagle drgnienie wzruszenia i poezji. Każdy czytelnik *Dziennika podróży do Austrii i Niemiec* pamięta niecałą stroniczkę o szumie rzek i strumieni rodzinnych, godną włączenia do najbardziej wymagającej antologii prozy polskiej. W *Esejach dla Kassandry* wraca się ciągle, z coraz większą delektacją, do pierwszych trzech rozdziałów *Rubis d'Orient* i do drugiej części *Nad wodospadem Szafuzy* z prześlicznym opisem muzykujących dzieci.



Skończę może, jak zacząłem, akcentem bardziej osobistym. Kilkakrotnie przeczytałem *Wronią i Sienną*, prawdziwą perełkę modnego obecnie ,,wspominkarstwa'', która podobałaby się autorowi *Il Gattopardo* bo spełnia idealnie wymagania, jakie stawiał on tego rodzaju przedsięwzięciom literackim: mówi więcej o rzeczach i ludziach widzianych przez pamiętnikarza, niż o samym pamiętnikarzu zastygłym przed lustrem przeszłości. Mieszkańcom przedwojennej Warszawy przychodzi nadto z pomocą w wywoływaniu z ciemności własnych wspomnień.

W latach 1937-1939 mieszkałem w tej samej dzielnicy Warszawy, co Hostowiec w latach 1925-1927: najpierw na Pańskiej pod 36, potem na Żelaznej pod 34 tuż obok rogu Siennej (,,obskurną'' nazwał tę kamienicę Koźniewski w swoich *Różowych cieniach*). Trudniąc się dla zarobku pisaniem listów miłosnych niepiśmiennym kucharkom, lafiryndom i złodziejom, miałem w okresie najlepszego prosperowania mojego biura klientelę sięgającą aż po Wronią, Chłodną i Ogrodową: a stąd bliższy wgląd w wiele spraw, o których opowiada Hostowiec. Ilekroć wracałem wieczorem pieszo z Uniwersytetu lub z biblioteki na Koszykowej, przystawałem w wnęce bramy w połowie mniej więcej Siennej na wspólnego papierosa ze stojącą tam cierpliwie brzydką prostytutką, panną Władzią: być może była to kamienica

oznaczona numerem 29, i być może panna Władzia pobierała pierwsze nauki u pani Kopiejki na wzór aretinowskiej Pippy wykształconej na kurtyzanę przez Nannę. Jedno jest pewne: była to jedna z najbardziej rozmownych, rozumnych i delikatnych osób, jakie poznałem w Warszawie. I choć z innych względów niż Patriarcha Wenecji, Giovan Battista Urbani, który wymógł niedawno na muzeum Correr zmianę tabliczki pod słynnym obrazem Carpaccia z *Le cortigiane* na *Le dame veneziane,* chciałbym tu nazwać moją znajomą z Siennej damą warszawską ostatnich lat przedwojennych.

,,W pół drogi między moim domem i rogiem Wielkiej — pisze Hostowiec — stał stary, niski dom, którego podwórze oddzielał tylko niezbyt wysoki mur od podwórza innego domu, wychodzącego na Złotą. Śmietnik stojący pod murem pozwalał ludziom młodym i zwinnym przeskoczyć mur i w kilka sekund znaleźć się na innej ulicy, w ruchliwej okolicy głównego dworca. Ścigani przez policję złodzieje niejednokrotnie próbowali podobno tej drogi i, poprawiając krawaty i kapelusze, znikali w tłumie śpieszących na pociąg''. Był to ten sam śmietnik który wykorzystałem w październiku 1939 roku uciekając z egzemplarzami pierwszego w Warszawie pisma konspiracyjnego *Biuletyn Polski,* założonego i redagowanego przeze mnie wespół z Jerzym Drewnowskim? Pamiętałem by, śladem moich szanownych poprzedników warszawskich, poprawić krawat i kapelusz znalazłszy się w tłumie śpieszących w stronę dworca?

,,Z Troi pozostał tylko jej niejasny opis dokonany przez Greków, którzy zburzyli miasto i wymordowali Priamidów. Burzyciele Warszawy byli mniej piśmienni. W literaturze ich na próżno szukalibyśmy opisu miasta. Nikt z ich pisarzy nie mówił o Warszawie tonem głębokim i żałosnym, jakim Eurypides mówi o Troi. Pisarze polscy są również skąpi w opisy miasta''. W takich szkicach jak *Dzieci Warszawy w początkach XX stulecia* oraz *Wronia i Sienna* Hostowiec stara się wypełnić tę lukę. I jeśli inni pójdą za nim, nie zginie pamięć bez której umierają powoli nawet miasta najwspanialej odbudowane z popiołów.

◆

K.A. JELEŃSKI:

PAWEŁ HOSTOWIEC, CZYLI O WYSIŁKU WYOBRAŹNI

,,Gdy aktualność pewnej mody się kończy — pisze Paweł Hostowiec — czasopisma literackie i witryny księgarń przypominają miejsce przez które przeszła powódź. Szara masa lep-

kiego czy łuszczącego się w słońcu iłu pokrywa wszystko. Trudno domyśleć się od razu, gdzie przed tygodniem jeszcze stały białe i pomarańczowe ściany domów, grzędy kwiatów, grupy krzewów i gdzie dzwonił po kamieniach strumień. Zarówno powrót do dawnego jak przejście do czegoś nowego wymaga wysiłku wyobraźni".

Hostowiec nigdy nie daje się wciągnąć w modne manieryzmy literackie, a przecież eseje jego są zawsze odkrywcze, zawsze aktualne. Bo też mało kto posiada równą zdolność powracania do dawnego i przechodzenia do nowego. Hostowiec obdarzony jest wyjątkową wyobraźnią historyczną, dzięki której potrafi on czytać Tukididesa ze świeżością odczucia ateńskiego czytelnika z V wieku przed Chrystusem. Ale to jeszcze nie byłoby wyjątkowe: znamy erudytów, żyjących w przeszłości, identyfikujących się z przeszłymi epokami. Hostowiec mimo swej olbrzymiej erudycji, w tym sensie „erudytą" nie jest: równie żywo czuje się współczesnym nadrealistów, Becketta. Powiem więcej: dawnych autorów czyta Hostowiec ze spontanicznością, bogactwem referencji, swobodą współczesnego tym autorom czytelnika, ale jest równocześnie ich czytelnikiem dwudziestowiecznym. Umie on nie tylko ożywić ich, odtwarzając wokół ich dzieła tętno ich własnej epoki, ale również „uaktualnić", wskazując na nieprzerwane ich związki z XX wiekiem. I przeciwnie. Autorów współczesnych odczytuje Hostowiec równie precyzyjnie jak najgorętsi ich wyznawcy, tyle że zachowuje wobec nich pewne oddalenie, wiedząc co w ich dziele jest nieświadomym powtórzeniem dzieł dawniejszych.

Ta swoboda poruszania się w czasie jest połączona ze swobodą poruszania się w przestrzeni. Hostowiec czuje się u siebie w najszerszych ramach tak zwanej cywilizacji zachodniej, niezależnie od wieku i miejsca: wszędzie tam gdzie powołaniem człowieka jest wyciśnięcie swego piętna na przyrodzie, wszędzie tam gdzie toczy się, między jednostką i społeczeństwem, dialog Antygony i Kreona, wszędzie tam gdzie istnieje rozdarcie między poczuciem winy i marzeniem o wolności. W tym sensie do cywilizacji zachodniej należą klasyczne Ateny i dzisiejsza Moskwa, Tyberiada ewangelistów i współczesne Chicago. „Kosmopolityzm" Hostowca jest zarazem odwieczny i prekursorski.

Ta łatwość poruszania się między epokami, przenikania z jednego kraju do drugiego, zdolność obserwacji nie tylko zewnętrznej, ale „od wewnątrz", ma również u Hostowca swój odpowiednik w odniesieniu do zawodów, do klas społecznych. Jest to bodaj cechą najrzadszą. Literatura francuska zna wielu *flâneurs* (niespiesznych przechodniów). Ale erudycja historyczna i kosmopolityzm Valéry Larbaud, Jean-Louis Vaudoyer czy Léon-Paul Fargue pozwalały im co najwyżej na przyjaźnie z marynarzami Odysa, z bandytami barokowej Hiszpanii. W swej własnej epoce, w swym własnym kraju, odgrodzeni byli od kontaktu z innymi klasami nie tyle przesądem co automatyz

mem francuskich *bourgeois*. Hostowiec ma zdolność równie bezpośredniego kontaktu z laureatem nagrody Nobla i przemytnikiem; z miliarderem i ze szpiclem; z wielkim artystą i z wiejskim analfabetą.

Jest on istotnie od epoki do epoki, od kraju do kraju, od klasy do klasy ,,niespiesznym przechodniem''. Ale aluzję tę do spaceru należy u Hostowca traktować jak najbardziej dosłownie. Nie na próżno pisze on że ,,poważniejsze wykształcenie humanistyczne ma w sobie zawsze coś z kurzu bibliotek i coś z szlafroka''. Powinien był napisać ,,zwykle''. W jego własnym wypadku humanizm łączy się co najwyżej z kurzem mało uczęszczanych ścieżyn, zamiast szlafroka przywodzi na myśl wytarte tweedy nałogowego włóczęgi. Zapamiętały czytelnik książek, Hostowiec czyta z ludzi, z przedmiotów, z krajobrazów ,,jak z otwartej książki''. Mało kto równie uparcie tropi związki między ,,klimatem życia'' i ,,klimatem literatury'' (stąd tytuł jednego z jego esejów). Hostowiec nie jest metodologicznym marksistą, nie należy do żadnej socjologicznej szkoły, ekletycznie podchodzi do kwestii w jaki sposób byt kształtuje świadomość. Na jego stosunku do kultury zaważył i Marks i Pareto i Weber i Ortega. Ale podobnie jak w spacerze po historii, w spacerze po świecie, w spacerze po klasach i zawodach, w tym ciągłym spacerze Hostowca od bazy do nadbudowy, od nauki do technologii, od przedmiotów do obyczaju, od świata rzeczy do świata kultury decydującym jest wysiłek wyobraźni.

,,Potrzeba podporządkowania i opanowywania myślą otaczających zjawisk wydaje się funkcją autonomiczną, nie dającą żadnego bezpośredniego impulsu do pisania'' — pisze Hostowiec. I w tym samym eseju: ,,Pisać zacząłem późno, w 36-ym roku życia, dla przyczyn przypadkowych, w okresie szczególnie ubogim w rozrywki''. Te zwierzenia zdają sprawę z cech u Hostowca zasadniczych: ciekawości, wyobraźni, inteligencji, lekkości, naturalnej skłonności do ,,święta'' (w znaczeniu *fête*). Trudno nie odnaleźć w notatkach Hostowca o tajemniczym polskim korespondencie P.-L. Couriera ,,panu Chlewaskim'' pewnych cech autoportretu: ,,Ambicją jego było — korzystając ze wszystkich uprawnień do *véritable vie de l'esprit* — przejść przez życie jak życzliwy i dobroczynny cień''. Albo, gdzie uśmiechnie się nie jeden znajomy Hostowca: ,,Unikanie rozgłosu i zachowanie rezerwy jest oczywiście najstosowniejszym sposobem bycia w czasach ciągłych przewrotów politycznych, zwłaszcza dla osób obawiających się 'zepsucia smaku' ''.

Tyle że erudyta, humanista, sceptyk, niespieszny przechodzień, bystry obserwator, skłonny do anonimu pan Chlewaski to jeszcze nie cała prawda o Hostowcu. Potrafi on być zaangażowany bez reszty zawsze po stronie życia, po stronie spontaniczności, po stronie wyzwolenia człowieka. Miarą jego pisarstwa jest, że wspaniały esej ,,Pan Jowialski i jego Spadkobiercy'' zachował pełną aktualność jako protest przeciw zgrzybiałym

społecznym automatyzmom „szlachetczyzny" nawet jeśli czytelnik nie wie że „prawdziwym spadkobiercą fortuny Jowialskich, autentycznym de Jowiałówka Juppiter-Jowialskim herbu Puste Pioruny" był w intencji autora Piłsudski. Nie należy również dać się ukołysać klasycyzmem stylu Hostowca aż do przekonania że jest on wyłącznie pisarzem dnia, świadomości. Nie jest obca Hostowcowi tradycja gnostyczna, rozumie on wszelkie zsekularyzowane przejawy antynomicznego buntu. Krótki esej „Polacy w powieściach Dostojewskiego" świadczy o tym jak głęboko odczuwa Hostowiec „prawo do negowania wszelkiej koncepcji świata jako całości harmonijnej". Poezja związana jest dla niego z magią, ten umysł pozornie appoliński (używając tak ulubionej przez Hostowca terminologii klasycznej) pozostaje w tajnym porozumieniu z Dionizjuszem, ten „wierny syn pozytywizmu" dobrze zna „Królestwo Matek" Goethego.

I jeszcze jedno. Nic w Hostowcu z przesądów o dawnych „złotych wiekach", nic z elitaryzmu tak częstego u europejskich mandarynów. Mało kto spośród pisarzy potrafił tak prosto i przekonywująco ocenić zdobycze współczesnej rewolucji przemysłowej, potencjalne możliwości „kultury masowej":

„Wszyscy noszą dziś nowiutkie, dobrze skrojone ubrania. Nawet ubrania używane przy pracy nie są pozbawione kokieterii. Kobiety nigdy nie były tak urocze. Wyrafinowana prostota ich strojów i uczesania leży w najpiękniejszych tradycjach i przypomina słowa Congreve'a:

Coquet and coy at once her air,
Both studied, though both seem neglected:
Careless she is, with artful care,
Affecting to be unaffected".

I, dalej, o mnożeniu się zbiorowych zabaw i festiwali, o odrodzeniu ludowych karnawałów:

„Trudno jest odróżnić pochodzenie uczestników zabaw i korowodów. Wszyscy noszą takie same nowe ubrania. Robotników nie poznaje się więcej po rękach, bo nowoczesne narzędzia pracy nie zostawiają na nich śladów. Awans społeczny nie ma dziś kontrastów, jakie towarzyszyły uprzemysłowieniu Europy w połowie XIX wieku; objął mniej więcej wszystkich i odbywa się wesoło, z muzyką i fajerwerkami".

W jednym ze swych esejów wspomina Hostowiec koncert wydany na jego cześć przez młodych huculskich przemytników: „Z ich ciemnymi, uważnymi oczami, z ich drobnymi, zręcznymi rękami, przypominali raczej dzieci dobrych wróżek niż dzieci człowieka. Myślę o nich z wdzięcznością i smutkiem. Ich życzliwa, swobodna i wesoła postawa była szczera i prawdziwa".

Gdzie indziej wyraża Hostowiec nadzieję że „na miejsce zgrzybiałego śmiechu szlacheckiego przyjdzie, być może, śmiech inny, bardziej lotny i piękny, świadczący o narodzeniu się u nas

nowych wymagań wewnętrznej elegancji, cenzurującej przebrzmiały świat jowialszczyzny".

Cieszmy się że Hostowiec miał kiedyś okres ,,szczególnie ubogi w rozrywki" i że zaczął wówczas pisać. Zawdzięczamy temu eseje nie tylko mądre, ale ,,życzliwe, swobodne, szczere i prawdziwe". Eseje będące może rzeczywiście jedną z zapowiedzi jakiejś nowej cywilizacji uśmiechu.



Czesław MIŁOSZ:

PROZA

,,Proza nie czerpie siły z magii ale z jasności myśli porządkującej chaos zjawisk".
Hostowiec

Esej, essej czy essay, jakkolwiek się to pisze, ma swoją historię i miejsce w encyklopediach oraz podręcznikach literatury. W Polsce, bardziej może zbliżone do gatunku niż ,,szkice", były ,,gawędy", ,,mieszaniny", ,,trzy po trzy" itd., natomiast przyznawanie się do tytułu ,,eseisty" datuje się od niedawna i coś jak moda pojawia się dopiero w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Przyczynił się do tego, jak się zdaje, niemało właśnie Paweł Hostowiec, którego dłuższe prace: ,,Pan Jowialski i jego spadkobiercy" (1929), ,,Chimera jako zwierzę pociągowe" (1933) budziły u młodzieży literackiej podziw i chęć naśladowania. Przedrukowane razem z innymi, nowszymi i najnowszymi, w tomie ,,Eseje dla Kassandry", nie tylko nie straciły nic ze swego blasku, ale nawet zostały zaopatrzone przez wypadki po 1939 r. w komentarz ułatwiający zrozumienie zdań niegdyś enigmatycznych, wtrącanych ,,z cicha pęk". Trzeba jednak przypomnieć, że esej — i nazwa i gatunek — napotykał w Polsce na niechęć albo wrogość jako wyraźna cudzoziemszczyzna, wybredność i rafinada sprzeczna z sarmacką tradycją. Ale i młodzi zwolennicy eseju nie bardzo umieli w swoich próbach utrafić w sedno. To uważali, że jest to forma dla wynurzeń lirycznych, dla swobodnie kojarzonych obrazów jak w poezji (mówię bom grzeszny). To znów stosowali nazwę do każdego artykułu krytycznego czy rozprawy, byle z osobistym zabarwieniem. Niemniej eseistyczny, pod niektórymi względami (z podkreślanym ,,ja" autora), charakter dzisiejszego polskiego piśmiennictwa dałby się wytropić już w zainteresowaniach pokolenia, które w tej przedwojennej szkole czegoś się uczyło.

Przez ,,essay" rozumie się w krajach zachodnich różne rzeczy, poczynając od wypracowania szkolnego. W czystszej posta-

ci (istnieje tu ciągłość) jest esej chyba mniej formą, bardziej pewną postawą filozoficzną sprzyjającą ,,luźnej'' kompozycji. Jest to postawa zadumy nad sprawami ludzkimi, spoglądania na aktualność z dystansu, przy czym melancholia, sceptycyzm, humor i pobłażliwość należą do stałych ingredientów. Filozoficzna medytacja musi mieć czym się karmić i waga spostrzeżeń rośnie proporcjonalnie do ilości przeczytanych książek, pamiętanych ludzi. Dlatego trudno nie uznać za patrona eseistów Montaigne'a, który w swojej wieży nad doliną Dordogne, obłożony książkami, nie odnosił się zbyt życzliwie ani do hugenotów ani do katolików i realizował ideał oderwania. Dla ogółu śmiertelnych takie oderwanie nie jest dostępne. Pascal, całe życie polemizujący z Montaigne'm (to był jego robak zwątpienia i *alter ego*) eseistą już nie był. Mimo że wiele dzieł zalicza się w katalogach firm wydawniczych do działu ,,Essais'' czy ,,Essays'', gatunek w ściślejszym słowa znaczeniu spotyka się, i dawniej i dzisiaj, niezbyt często. W wielu krajach zresztą, również w Polsce, warunki nie są przychylne. Esej nie wyklucza myśli o użyteczności społecznej i Hostowiec przyznaje to we wstępnym rozdziale swojej książki. Użyteczność taka jednak, powiedzielibyśmy samarytańska, polega na ciągłych zachętach do swobody w ocenie zjawisk i źle godzi się z napięciem mięśni, jakiego wymaga taniec wśród mieczów. Czytałem gdzieś opinię, że ,,Hostowiec jest najlepszym polskim eseistą na emigracji''. Wygląda to znacznie prościej. Ponieważ nie znaleźlibyśmy nikogo innego kto wypowiada się tylko i wyłącznie w eseju, jest jedynym polskim eseistą. Jeden na trzydzieści-czterdzieści lat to i tak już dużo.

Najbardziej pozornie zbliżone do eseju staroszlacheckie gawędzenie jest naturalną równią pochyłą każdego polskiego prozaika i czytelnika. Być może nadaje się do zdominowania i wykorzystania, skoro trafia do serc bez pudła (,,Trans-atlantyk'' Gombrowicza). Rzadko to próbowano. Powstaje jednak pytanie czy nie w gawędziarstwie tkwi jedna z ważnych przyczyn niedowładu polskiej prozy. Z pewnością były i inne: upadek, z woli zaborców, szkolnictwa po r. 1831; skoncentrowanie się na idei narodu, przez co konflikty jednostek i grup, odżywiające gdzie indziej dziewiętnastowieczną powieść, zostały przesłonięte. Ale sprowadzając rzecz do warsztatu najbardziej uderza niedostateczne przemyślenie różnicy pomiędzy elokwencją sejmikowego rębajły na emeryturze i relacją wstrzemięźliwą, wymagającą wyrzeczenia się miodopłynności. Dlaczego geniusz poetycki polskiej literatury nie doradził zastosować dużej przecie dyscypliny wiersza również do zdania w prozie? Nie wiadomo. Gawędziarstwo czy gadulstwo występuje w tej literaturze albo jawnie jako gawęda, wspomnienia etc., albo w przebraniu powieści, reportażu, i to aż do dziś. Chcąc coś z tego rozwikłać należałoby może zastanowić się raz jeszcze nad zamilknięciem Mickiewicza. Różne przytaczane powody pomijają zwykle wyraźne przesu-

wanie się „Zeitgeistu" ku prozie w latach trzydziestych i czterdziestych XIX wieku. Mickiewicz ulegać naciskowi nowych potrzeb nie miał ochoty. Natomiast Puszkin, kreśląc, przerabiając wiele razy swoje frazy, destylował nowy styl i swoimi opowiadaniami przygotował wielką rosyjską powieść. Brak takiej destylacji — w porę — odbił się fatalnie na późniejszych losach polskiej beletrystyki i kiedy okoliczności dla jej rozwoju były pomyślne dał znać o sobie w okropnym, fałszywie poetyzującym języku Reymonta, także w licznych skazach Żeromskiego.

Hostowiec, jak na erudytę i intelektualistę, ma niepokojąco dużo miru u wielu czytelników, tęskniących w skrytości ducha do nowych wersji Paska i Rzewuskiego. Pochodzi to stąd chyba, że łączy go z dawnym gawędziarstwem jakaś pępowina. W istocie jednak esej jaki uprawia jest dokładnym przeciwieństwem gawędy. Zastanawiało mnie zawsze u niego jakby zawieszenie głosu po każdym zdaniu i rozglądanie się co by tu wybrać w następnym ze zbyt obfitego materiału. Czytelnik ma stale poczucie obecności spraw i zagadnień, odsuniętych w imię selekcji albo ledwo napomkniętych, nieraz półsłówkiem. Luźność układu jest więc złudna a płynność i potoczystość wynikają z przywiązania do zasad klasycznego *métier*, zalecającego wiele dróg dojścia i przemyśleń zachowywać dla siebie. Jego równy krok „nieśpiesznego przechodnia" (przypomnijmy też „Nowe marzenia samotnego wędrowca", z nawiązaniem do Jana Jakuba Rousseau), jego przyciszony ton, jego *understatements* mogłyby dostarczyć tematu do całego obszernego studium — i niewątpliwie w przyszłości dostarczą. Hostowiec reprezentuje więc prozę klasycznie powściągliwą i powściągliwie klasyczną, dzisiaj krzywdzoną, co w literaturach, które przeszły przez odpowiednią zaprawę nie musi powodować tak zgubnych skutków jak w literaturze polskiej. Wielka szkoda że dziwactwa cenzury i kordonów pozbawiają początkujących literatów krajowych książki bardzo im potrzebnej.

Jeżeli esej w swojej czystszej postaci jest na świecie rzadkością, jeżeli w języku polskim jest przechwytywany i niszczony przez tradycyjne gawędzenie, to trzeba powiedzieć, że tylko wyjątkowe okoliczności mogły powołać do życia takie pisarstwo jak Hostowca. Pochodzenie z pogranicza kilku języków i kilku kultur, z Ukrainy, znajomość wschodnio-europejskich języków, wyczucie utajonych w nich i w krajobrazach osobliwości samo by nie wystarczyło, bo niewielu tylko z tak obdarzonych miało prawdziwy pociąg do humanistyki i najczęściej nie wyciągnęło z urodzenia w tej części Europy większego pożytku. Wykształcenie na zagranicznych uniwersytetach (już przed I wojną Hostowiec był „nieśpiesznym przechodniem" i potrosze emigrantem) też by nie pomogło, gdyby nie dołączyła się gromadzona latami nie-szkolarska erudycja, obejmująca równie dobrze metrykę łacińskiego wiersza i malarstwo Renesansu jak ruchy awagardy, historię, mineralogię, medycynę i botanikę. Wyjątkowe uposa-

żenie nadaje jego esejom charakter wielowarstwowy (co sądzę należy do definicji dobrego eseju). Są one *również* kroniką naszego stulecia, ale spisywaną przez kogoś, kto jest całkowicie obojętny na mody, bo zasób skojarzeń jakim rozporządza znacznie przewyższa zwulgaryzowaną wiedzę tzw. prądów i kierunków. Z brudnej szyi sąsiada w tramwaju Hostowiec potrafi wyprowadzić cały traktat o łaźniach rzymskich i o upadku tej instytucji we wczesnym średniowieczu. Jeżeli więc kronika, to kronika tych szczegółów, które przez współczesnych są odsuwane jako niegodne uwagi — czemu późniejsi ludzie zwykle nie mogą się nadziwić.

,,Eseje dla Kassandry'' prowadzą nas od rozważań o współczesnej formacji humanistycznej do Homera, od Aten do ,,Upadku'' Camusa, od muzyki do opisu ulic Wroniej i Siennej w latach dwudziestych, od życiorysów (i kariery w dziejach Europy) drogocennych kamieni do biografii wodospadu Szafuzy i do przygód futuryzmu oraz surrealizmu. Niekiedy przechodzą w rozprawy z historii literatury, jak w szkicu-odczycie ,,Polacy w powieściach Dostojewskiego'', który na długiej liście prac poświęconych temu pisarzowi w rozmaitych językach wyróżnia się najrzadziej chyba spotykaną zaletą, tj. trafnością diagnozy, nie godząc się na powierzchowne wyjaśnianie anty-polskiej obsesji tylko ksenofobią i nacjonalizmem.

Od lat zaliczam się do wielbicieli Hostowca i choć niby to upodobanie jest sprzeczne z moimi niektórymi rysami ,,wściekłego'', czy psa goniącego z wywieszonym językiem, takie już są ludzkie sekrety. Na część przynajmniej mego literackiego pokolenia wywierał znaczny wpływ, być może szczególnie na tych z nas, którzy, pochodząc z obszarów, gdzie w ciągu wieków nakładały się na siebie różne kultury, byli skłonni odgadywać w jego predylekcji do skoków w czasie coś więcej niż namiętność antykwariusza. Jeżeli wolno mi przemawiać w ich imieniu, to biorąc do ręki wydany obecnie tom martwią się oni trochę, że tom jest tylko jeden i że mnóstwo esejów dobrze przez nich zapamiętanych nie mogło się w nim pomieścić. Niewysilone, kreślone jakby od niechcenia dzieło Hostowca zajęłoby kilka pokaźnych tomów i choć rozsiewanie kartek z notatnika po periodykach może odpowiadać gustom samotnego wędrowca, czytelnicy powinni go zmusić do dalszych wydań książkowych.

Ameryka Łacińska (dok.)

B. *Zarzuty imperializmu i braku rozwiązań efektywnych. Promotorzy protestów i niezadowolenia.*

Rozdział niniejszy poświęcony jest omówieniu zarzutów, jakie szczególnie w ostatnich czasach, stawia się Stanom Zjednoczonym w związku z niepomyślną sytuacją gospodarczą i fatalnymi warunkami socjalnymi istniejącymi w większości krajów Ameryki Łacińskiej. Z góry muszę zaznaczyć, iż przedstawiając owe zarzuty i cytując opinie szeregu wpływowych osobistości w tych krajach, należących przeważnie do lewicy, ale dalekich od komunizmu, bynajmniej nie chcę przez to powiedzieć, iż osobiście się z nimi solidaryzuję. Chodzi mi jednak o nakreślenie prawdziwego obrazu, bez względu na to czy jest on uzasadniony. Wiadomo, że nieraz błędne pojęcia kursujące w społeczeństwie odgrywają dużą rolę w jego zachowaniu się. W pierwszym rzędzie omówię te zarzuty, jakie stawia się prywatnemu kapitałowi amerykańskiemu.

Dotąd uważano na ogół, iż brak kapitałów w krajach Ameryki Łacińskiej winien być zaspokojony przez jak największy udział kapitałów prywatnych i w tym kierunku starał się oddziaływać rząd Eisenhowera. Wielu Amerykanów nie może zrozumieć owej nagonki, jaka, szczególnie ostatnio, daje się odczuwać na kapitał prywatny idący ze Stanów. Podkreślają oni, że przecież w Kanadzie Stany mają ogromne inwestycje dokonane przez kapitał prywatny i nie wywołuje to wrogich wystąpień. Z drugiej strony, przeciwnicy prywatnego kapitału amerykańskiego cytują powiedzenia Roosevelta i Wilsona przestrzegające przed nim. Oto słowa Roosevelta:

„Zasadniczą prawdą jest, iż nie ma zabezpieczenia wolności w demokracji, gdy naród toleruje wzrost sił prywatnych w taki sposób, iż stają się silniejsze niż własne państwo demokratyczne”.

Wilson zaś uważał, iż państwa latino-amerykańskie winny wyemancypować się spod wpływów imprez zagranicznych i ,,my Amerykanie powinniśmy im w tym dopomóc''. Czym i dlaczego ma być niebezpieczny kapitał prywatny, w danym wypadku amerykański? Przede wszystkim odgrywa tu rolę struktura nieomal wszystkich tych krajów, struktura nadal kolonialna; są one z małymi wyjątkami producentami surowców, zależnymi od krajów uprzemysłowionych. Znaczne działy produkcji w tych krajach, jakeśmy to widzieli, znajdują się w rękach Amerykanów, podobnie w ich rękach znajduje się oddziaływanie na eksport i zdobycie tym samym niezbędnych dewiz. Wszystko to potęguje się przez fakt, iż wskutek monokulturalnego charakteru eksportu, którego znaczna część kieruje się do Stanów, gospodarka ich staje się zależna od owych kompanii amerykańskich, które mają w swych rękach produkcję i eksport. Brak im, jak twierdzą, samodzielności ekonomicznej, koniecznej jako uzupełnienie samodzielności politycznej, co odbija się oczywiście też i na ich polityce. Tworząc potężne ogranizmy wewnątrz danego kraju, kompanie amerykańskie wywierają wpływ na jego czynniki rządzące, szczególnie w krajach Ameryki Centralnej, na Kubie, Haiti, w Republice Dominikańskiej i w krajach Pacyfiku, z częściowym wyłączeniem Chile. W ten sposób wszystkie te kraje popadają w pewną zależność od Stanów, choć zachowują fasadę republik niepodległych. Weźmy nawet Brazylię. Jak wiadomo, największym odbiorcą kawy brazylijskiej są Stany. Kawa stanowi dla Brazylii jeden z podstawowych artykułów jej egzystencji. Tym samym, mimowoli, wytwarza się rodzaj zależności Brazylii od Stanów. Zarzuca się kapitałowi amerykańskiemu w krajach politycznie i gospodarczo nieustabilizowanych, iż przyswaja sobie rolę kierowniczą wykorzystując swą sytuację, przekupując ministrów i prezydentów, narzucając swą wolę słabszym przedsiębiorstwom miejscowym, zmuszając robotników do akceptowania jego warunków i w ogóle prowadząc politykę wyzyskującą bogactwa krajowe i jego ludność. Toteż istnieje coraz większa tendencja odebrania kapitałowi amerykańskiemu kontroli nad witalnymi działami gospodarstwa narodowego, jak komunikacja, nafta, posiadanie ziemi itp. Posłuchajmy co o tym mówią wpływowe osobistości latino-amerykańskie, czy to z grona polityków czy też intelektualistów.

Wybitny polityk peruwiański Haya de la Torre pisze:

,,Nasz konflikt ze Stanami Zjednoczonymi jest zasadniczo ekonomiczny i ich ekspansja polityczna oznacza przede wszystkim ekspansję ekonomiczną, emigracje kapitałów, zdobywanie rynków, czyli imperializm''.

(Haya de la Torre, jak wiadomo, podczas ostatniej wojny zmienił swe stanowisko odnośnie Stanów, jego idee jednak wywierają nadal wpływ). W innym miejscu tenże Haya de la Torre stwierdza, iż Ameryka Łacińska przeżywa jeszcze etap ekonomii kolonialnej.

,,Ameryka Łacińska, która nie zbudowała maszyny, do czego potrzebne są węgiel i żelazo, w co nie obfitujemy i które to artykuły Stany eksploatują w wielkich ilościach, jest do chwili obecnej zoną produkującą surowce i produkty rolnicze i importującą produkty fabryczne''.

Cytowany wielokrotnie Arciniegas, który nie jest bynajmniej wrogiem Stanów, wyraa się jak następuje:

,,Cztery lub pięć kompanii zainteresowanych w bananach, transporcie, miedzi, nafcie lub pożyczkach, i których kapitaliści kierują się zasadami kolonialnymi uważają za konieczne dołączyć ziarnko korupcji, ażeby polepszyć swe interesy''.

Były prezydent Costa Rici Figueres, uważany za jednego ze sztandarowych demokratów, przeciwnik Fidel Castro (choć nie samej rewolucji kubańskiej) tak pisze:

,,Wielkie przedsiębiorstwa obce służą jako środek ograniczenia władzy legalnej. Dla wszystkich byłoby celowe, gdyby Stany zlikwidowały również okupację ekonomiczną''.

Pod okupacją ekonomiczną rozumie Figueres ,,politykę wielkich inwestycji, które są organizmami wysysającymi bogactwo danego kraju''. Znany pisarz argentyński Ugarte, nie darzący żywą sympatią Stanów, twierdzi, iż zuchwałość handlowa i brak kapitałów w wielu wypadkach oddały kopalnie, koleje i wielkie przedsiębiorstwa w ręce imprez amerykańskich, dając w ten sposób początek czegoś w rodzaju ukrytego protektoratu. Gilberto Freire, pisarz brazylijski, w książce ,,Nowy świat tropikalny'' pisze:

,,obawa przed finansowymi i przemysłowymi lordami amerykańskimi zwiększyła się w krajach Ameryki Łacińskiej'' .,,Nacjonaliści ekonomiczni w niektórych krajach latino-amerykańskich dopatrują się bezpośredniego niebezpieczeństwa we wpływach sił superprzemysłowych''.

Obecny prezydent Wenezueli, uważany również za sztandarowego demokratę i usposobiony raczej przyjaźnie dla Stanów, uważa za wskazany przypływ kapitału prywatnego, kapitał ten jednak musi mieć na celu interesy legalne, a nie wyzysk bogactw narodowych i nie deptanie praw robotnika wenezuelańskiego. Zacytuję jeszcze opinię co do kapitału, znanego leadera robotników w Ameryce Łacińskiej, *de facto* komunisty, Vincentego Toledano, ponieważ wywiera on duży wpływ na klasy robotnicze.

,,Jest konieczne — mówi Toledano — ustalić warunki dla inwestycji międzynarodowych, ażeby nie dopuścić aby w dalszym ciągu, jak to się dzieje dotąd, były one głównym czynnikiem zacofania, wypaczenia rozwoju ekonomicznego w Ameryce Łacińskiej. Kapitał zagraniczny nie może opanowywać witalnych działów ekonomii narodowej, ponadto może być dopuszczony jedynie w pewnej proporcji do kapitału rodzimego''.

Co do restrykcji stosowanych przez niektóre kraje odnośnie kapitału prywatnego, to Chile, Brazylia, Argentyna, Boliwia i Urugwaj wykluczyły prawie zupełnie przedsiębiorstwa obce i w tym rzędzie oczywiście amerykańskie z przemysłu nafty (Argentyna ostatnio dopuściła kompanie amerykańskie i inne o ile chodzi o eksploatację nafty, lecz całkowita produkcja winna być odstawiana instytucji rządowej (*Yacimientos petroliferos fiscales*). W Brazylii powstała również organizacja rządowa pod nazwą *Petrobraz*. W Meksyku, jak wiadomo, nastąpiło przewłaszczenie kompanii naftowych zagranicznych. W ogóle kraje Ameryki Łacińskiej wolałyby zamiast kapitałów prywatnych pomoc rządową i mają pretensję do Stanów, iż ta pomoc była tak nikła w porównaniu do sum, jakie wydaje rząd Stanów na innych kontynentach. Powyżej wskazaliśmy kwoty otrzymane tytułem pożyczek lub subwencji od ukończenia drugiej wojny światowej do roku 1956. Suma ta wyniosła 1 miliard 300 milionów dolarów, tymczasem pomoc udzielona wszystkim krajom w ogóle do roku 1953 wyrażała się cyfrą 47 miliardów. Jeżeli weźmiemy rok 1957, to pomoc Stanów dla całego świata w dziedzinie ekonomicznej wynosiła 572 miliony, dla Ameryki Łacińskiej wszystkiego 35 milionów. Na ogół pomoc na rzecz rozwoju gospodarczego Ameryki Łacińskiej waha się w granicach pięciu procent pomocy ogólnej. Jeżeli zaś chodzi o całość pomocy amerykańskiej, która doszła w roku 1957 do 4.861 miliardów dolarów, to kwoty otrzymane przez Amerykę Łacińską równały się wszystkiego dwu procentom tej sumy. Jest to jeden z najmocniejszych argumentów zarzucających Stanom zaniedbanie tych krajów po wojnie, pomimo iż w czasie wojny Ameryka Łacińska z małymi wyjątkami okazała całkowitą solidarność ze Stanami. Nie ulega wątpliwości, iż Stany były przekonane, że ze strony Ameryki Łacińskiej nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, tym bardziej, że jak dotąd, kraje te w organizacji Narodów Zjednoczonych w większości wypadków, szczególnie gdy chodziło o ważne sprawy polityczne, głosowały za Stanami i zdawało się pozornie, iż są one bardzo dalekie od dążeń przewrotowych, inspirowanych przez komunistów i głośnego wyrażania swych protestów. Dopiero wypadki w Gwatemali zepsuły nieco ten pogodny obraz, a uderzeniem na alarm były demonstracje przeciwko Nixonowi podczas jego podróży po Ameryce Łacińskiej.

Przechodzę obecnie do sprawy cen. Ceny miedzi wahały się między 13 centami i 24 centami za funta, później spadły do 12 centów. Ceny cukru spadły w pewnym okresie z 22 centów za funta na pół centa. W cenach kakao daje się zauważyć spadek w r. 1949 o 50%. Przy końcu roku 1920 i na początku 1930 nastąpił ogólny spadek cen, podobnie w okresie od 1956 do 1958. Kraje latino-amerykańskie skarżą się, że podczas kiedy muszą płacić wciąż wyższe ceny za artykuły przemysłowe, ceny surowców co pewien czas ulegają gwałtownemu spadkdowi. Stawia to je w położeniu ekonomicznym wysoce krzywdzącym

w porównaniu z krajami uprzemysłowionymi. Poza tym możemy sobie wyobrazić jakiego wstrząsu doznaje całe gospodarstwo takiej Boliwii, Brazylii, Chile i Kuby, które eksportują, pierwsza cynę, druga kawę, trzecia miedź a czwarta cukier w ilościach od 60 do 80% całego swego eksportu, gdy nagle przychodzi spadek, i to dotkliwy, cen. Jednym z zasadniczych żądań wysuwanych pod adresem Stanów jest ustabilizowanie cen na najważniejsze artykuły ich eksportu. Jest to jednak problem dla kraju o ustroju kapitalistycznym, gdy ceny ulegają wahaniom w skali światowej, prawie niemożliwy do rozwiązania. W jaki sposób Stany zmuszą kompanie prywatne, żeby płaciły wyższe ceny niż obowiązujące na rynkach światowych? Mimo to prezydent Kennedy w swym projekcie przymierza dla postępu porusza tę sprawę, dążąc w jakiś sposób do jej częściowego być może rozwiązania. Jednym z postulatów krajów amerykańskich jest udzielenie przez Stany wszelkich ułatwień w dziedzinie nabywania produktów tych państw, a więc nie nakładanie ceł lub przynajmniej ceł prohibicyjnych, nie ograniczanie eksportu tych krajów drogą ustanowienia kwot, jak to miało miejsce z cynkiem i ołowiem. Wiele osób jest zdania, iż liberalne traktowanie przez Stany eksportu latino-amerykańskiego i usunięcie wszelkiego rodzaju przeszkód w tym względzie, mogłoby przyczynić się walnie do poprawy ich sytuacji gospodarczej i stanowiłoby pomoc być może cenniejszą niż pożyczki i subwencje. Jako przykład jak tego rodzaju sprawy wpływają na stosunki między zainteresowanymi stronami, przytoczę znany mi fakt nałożenia przez Stany cła na czesankową wełną urugwajską (*topsy*). W sprawie tej interweniował w swoim czasie osobiście, podczas swej wizyty w Stanach, Battle Berres, ówczesny prezes Rady Państwowej rządzącej, jednakże bezskutecznie, co wpłynęło na znaczne oziębienie stosunków między jego grupą polityczną (*batllisci* 15) (5) a rządem Stanów i to daje się wyczuwać do dnia dzisiejszego. Z biegiem czasu, już podczas obecnych rządów partii ,,białych'' (*blancos*) owe cło zostało skasowane. Jednym z powodów niechętnego stosunku Argentyny do Stanów był fakt nie dopuszczania mięsa argentyńskiego ze względów sanitarnych, co uważano w Argentynie tylko za pretekst.

W kołach demokratycznych, w szczególności wśród sfer intelektualnych, zarzuca się Stanom popieranie dyktatur, przynajmniej do niedawna. Twierdzą te sfery, iż wskutek wiązania się z dyktatorskimi, niedemokratycznymi rządami, Stany przyczyniają się pośrednio do uciskania tamtejszego ludu, do utrzymywania rządu klik oligarchicznych, jednym słowem stosunków feudalnych. Wina to przede wszystkim niektórych ambasadorów. Oczywiście dla przedstawicieli Stanów jest rzeczą o wiele wygodniejszą traktować z reżymami, gdzie wystarczy jedna rozmowa z szefem rządu ażeby załatwić daną sprawę. Poza tym należy przyznać, iż dyktatorzy na ogół idą na rękę Stanom w poli-

(5) Nazwa ta pochodzi od numeru ich listy wyborczej.

tyce zagranicznej i w zwalczaniu komunizmu i starają się pozyskać sobie opinię publiczną w tym kraju. Taki na przykład Trujillo, niedawno zamordowany, do którego Stany w ostatnich czasach zmieniły całkowicie stosunek, podczas swej tam wizyty ofiarował 50 tysięcy dolarów dla dzieci koreańskich i ,,Herald Tribune'' wydała specjalny dodatek, zapewne przez niego finansowany, na 22 stronicach, poświęcony rozwojowi Santo Domingo pod rządami Trujillo. W swoim czasie Elihu Root, będący podówczas sekretarzem stanu, wyraził się o dyktatorze meksykańskim Porfirio Diaz, jako o jednym z wielkich mężów ludzkości. Zarzuca się ambasadorom amerykańskim zbyt serdeczne stosunki z Peronem, cytując między innymi ambasadora Bruce. Ambasador Beaulac w Bogocie uważał prezydenta Ospina Perez, znienawidzonego przez masy, za zbawcę demokracji. Podobnie ambasadorzy Stanów utrzymywali bliskie stosunki z dyktatorem Perez Jimenez, któremu rząd Stanów ofiarował medal i który zamieszkał po wypędzeniu go z Wenezueli w luksusowej willi w Stanach. Ambasador Gardner był dobrym przyjacielem Batisty. Były ambasador amerykański Braden krytykuje ostro tę politykę:

,,Obecnie staramy się przypodobać dyktatorom i w sposób uroczysty podpisujemy traktaty, w których bronimy praw człowieka, wolności obywatelskich i zasad demokratycznych, w tym samym momencie gdy ci sami dyktatorzy je zapoznają. Nikt nam nie wierzy''.

Położenie Stanów w tej sprawie jest niewątpliwie trudne. Z jednej strony żąda się od nich nie wtrącania się do stosunków wewnętrznych krajów latino-amerykańskich, z drugiej domaga się zwalczania dyktatur. Jak pogodzić te dwie rzeczy? W swoim czasie Wilson zainicjował politykę nie uznawania rządów, które były wynikiem rewolucji nie opartych o obowiązującą konstytucję danego kraju. Polityka ta, prowadzona w najlepszej wierze, nie dała rezultatów i Stany były zmuszone powrócić do dawnej polityki uznawania rządu *de facto*, co zresztą jest zgodne z praktyką przyjętą w innych krajach amerykańskich. Obecnie w krajach tych toczy się spór między polityką czysto nieinterwencyjną i polityką interwencji zbiorowych w wypadku gdy dany kraj narusza przyjęte zobowiązania w dziedzinie swobód obywatelskich, depcze prawa ludzkie i uciska naród. Rzecz ta w opinii krajów latino-amerykańskich nie jest jeszcze całkowicie skrystalizowana. Nie ulega jednak wątpliwości, iż druga teza odniosłaby zwycięstwo gdyby nie pewna obawa, by Stany tą drogą nie zechciały narzucać swej woli. Również kieruje się pretensje do przedstawicieli Stanów, iż ci zawsze popierają wielkie kompanie amerykańskie w ich sporach z miejscowymi rządami, co w dużej mierze zdaje się odpowiadać rzeczywistości. Takim jaskrawym faktem było powiedzenie ambasadora amerykańskiego w Gwatemali w związku z krokami tamtejszego rządu podjętymi przeciwko *United Fruit Comp.*: ,,Nie dostaniecie

›d nas ani szeląga, ani pary butów, jeżeli nie przestaniecie prześladować naszej kompanii''. Odnośnie tak zwanego panamerykanizmu i sojuszu państw amerykańskich, o którym wspominałem w pierwszym rozdziale tego artykułu, to na ogół jak dotąd, kraje latino-amerykańskie stoją raczej mocno na gruncie utrzymania owych paktów regionalnych. Wyrazicielem tej opinii jest m.in. obecny prezydent Kolumbii, Alberto Lleras Camargo, cieszący się opinią szczerego demokraty i posiadający duży prestiż w kołach latino-amerykańskich. Wyraża się on o Organizacji Państw Amerykańskich, iż

,,jej zawdzięcza się, że imperializm nie prosperował w Ameryce i z pewnością jej cierpliwa praca przeciwko groźbie gwałtu dokonała więcej dla niepodległości naszych młodych republik, niż hałaśliwe ataki na imperializm''.

Swoją drogą w niektórych sferach, być może też pod wpływem komunizmu, wyraża się wątpliwości co do użyteczności sojuszu ze Stanami. Jeden z pisarzy, Jerzy Castaneda jest zdania, iż sojusz ten przedstawia poważne ryzyko dla Ameryki Łacińskiej, a to z powodu ekstrakontynentalnych interesów Stanów. ,,Panamerykanizm jest czymś sztucznym''. Inny pisarz uważa traktat wzajemnej pomocy krajów kontynentu amerykańskiego za koalicję wojskową kierowaną przez Waszyngton. Profesor meksykański Daniel Cosio Villegas zastanawia się czego można się spodziewać od Rosji i Stanów i dochodzi do przekonania, iż od Rosji nie możemy się spodziewać niczego, od Stanów natomiast wszystkiego, lecz za pieniądze lub kosztem uzależnienia się. Na wypadek wojny między tymi obu potęgami, zdaniem Cosio, kraje latino-amerykańskie winny zachować neutralność. Również jest krytykowana pomoc wojskowa udzielana tym krajom przez Stany i organizacja znana po nazwą *Junta Interamericana de Defensa,* z której ostatnio usunięto przedstawiciela Kuby i która ma za zadanie współpracę między Ameryką Łacińską a Stanami o ile chodzi o obronę kontynetu. Wszystko to, twierdzą przeciwnicy, odpowiada przede wszystkim interesom Stanów. Nie ulega wątpliwości, iż negatywne nastroje w stosunku do Stanów są silnie podsycane przez propagandę komunistyczną. Któryś z pisarzy powiedział, iż kraje Ameryki Łacińskiej są bardziej antyamerykańskie niż prokomunistyczne. Z pewnością tak jest. Komunizm jednak zawsze stara się wyzyskać wszelkiego rodzaju ruchy, które są wrogie lub niewygodne dla jego przeciwników politycznych, a Stanów w pierwszym rzędzie. Istnieje jak wiadomo w Pradze specjalna szkoła p.n. ,,Instytut dla studiów stosunków latino-amerykańskich'', gdzie przybywający z tych krajów są ćwiczeni w doktrynach komunistycznych i przygotowywani dla pracy w terenie. Arciniegas jest zdania, iż Ameryka Łacińska jest doskonałą bazą dla wymierzenia ciosu w Stany. Większość krajów latino-amerykańskich uznała partię komunistyczną za nielegalną, zaś tylko trzy kraje:

Argentyna, Meksyk i Urugwaj utrzymują stosunki dyplomatyczne z Sowietami (6). Nikła liczba deputowanych komunistycznych nic nie dowodzi, komuniści zajmują kluczowe pozycje w organizacjach robotniczych, którymi dzięki swemu sprytowi i energii również kierują. Spotykamy sporo komunistów lub raczej komunizujących w świecie intelektualnym Ameryki Łacińskiej, wśród profesorów uniwersytetu oraz wśród personelu nauczycielskiego, częściowo też wśród studentów. Krajami gdzie komunizm liczy najwięcej zwolenników wśród sfer robotniczych są: Chile, Wenezuela i Brazylia. W Wenezueli głosowało w roku 1958 — 200 tysięcy komunistów, w Brazylii w roku 1947 — 800 tysięcy. Komunizm szerzy się również w Boliwii, gdzie wiceprezydent Lechin ma inklinacje komunistyczne. W programie federacji uniwersyteckiej w Boliwii czytamy: ,,Imperializm *yanqui* przy pomocy piratów politycznych opanował ekonomię i politycznie półkolonie amerykańskie''. W programie partii robotniczej rewolucyjnej (komunistycznej) znajdujemy taki ustęp: ,,60 rodzin rządzi Stanami. Imperializm rozpoczął przekupywanie oligarchii rządzących'' (w Ameryce Łacińskiej). Również dobrze zorganizowana była partia komunistyczna na Kubie. Propaganda jest prowadzona często w tej formie, iż odróżnia naród amerykański od sfer rządowych i magnatów przemysłu. Grzechy przeszłości popełnione w ciągu historii Stanów, o czym mówię obszernie w rozdziale pierwszym, wciąż jeszcze wywierają swój wpływ na umysły amerykańskie i pamięć o nich nie wygasa. W swoim czasie liczono na pomoc Europy przeciwko imperializmowi Stanów, dzisiaj ta Europa jest za słaba i nie widać żadnej przeciwwagi, niektórzy więc zerkają w stronę Wschodu i tam szukają oparcia, choć nie zawsze z całkowitą wiarą gdyż mimo wszystko Sowiety jako takie nie są popularne w Ameryce Łacińskiej.

Jakie elementy możemy uważać za promotorów propagandy anty-amerykańskiej i wyrazicieli niezadowolenia? Szukać ich należy wśród studentów, robotników i częściowo chłopów. W tym miejscu wypada powiedzieć kilka słów o powstałej w roku 1924 organizacji *Apra* zorganizowanej przez polityka peruwiańskiego Haya de la Torre. Była ona stworzona pod hasłem frontu zjednoczonego robotników, chłopów i studentów z następującym programem:

,,Akcja przeciwko imperializmowi yankesów, jedność polityczna Ameryki Łacińskiej, nacjonalizacja ziem i przedsiębiorstw przemysłowych, umiędzynarodowienie kanału Panamskiego, solidarność ze wszystkimi ludami i klasami uciskanymi świata''.

Haya de la Torre nigdy nie był komunistą i w r. 1933 wyraźnie oświadczył: ani z Berlinem, ani z Rzymem, ani z Moskwą, tym niemniej pisząc ten program był pod częściowymi

(6) Obecnie dochodzi do tego Kuba.

wpływami Sowietów, gdzie spędził cztery miesiące. Podczas drugiej wojny światowej pierwszy punkt programu został skreślony i sam Haya de la Torre stał się mniej rewolucyjny. Jego wpływy jednak zakorzeniły się głęboko. W szczególności studenci, których wzywał jako awangardę sił rewolucyjnych, odgrywają coraz to większą rolę w polityce krajów latino-amerykańskich i łączą się ze sferami robotniczymi. Na kongresie studentów w Meksyku w r. 1921 wysunięto następujący wniosek:

„Studenci łacino-amerykańscy proklamują, iż walczą o nową ludzkość zbudowaną na postępowych zasadach sprawiedliwości w dziedzinie politycznej i ekonomicznej".

Związek studentów i robotników został przypieczętowany krwią podczas rozruchów w Chile w r. 1920 i w Peru w r. 1923. Studenci odegrali dużą rolę przy obaleniu dyktatorów Wenezueli — Perez Jimenez i Kolumbii — Rojas Pinilla. W Meksyku, na Kubie i w Urugwaju odbyły się demonstracje studentów przeciwko Stanom, jak protest w związku z wypadkami w Gwatemali w roku 1954. Studenci demonstrowali przeciwko Nixonowi i prezydentowi Eisenhowerowi. Podobnie w Panamie odbyły się demonstracje studentów podczas wizyty Miltona Eisenhowera, w Brazylii zaś przeciwko Foster Dulles'owi.

Wreszcie na zakończenie tego rozdziału pragnę podkreślić, iż na obecne niezadowolenie istniejące wśród mas w krajach Ameryki Łacińskiej, połączone z nastawieniem antyamerykańskim, wpływają mimowoli same Stany. Informacje o dobrobycie w tym kraju szerzone głównie przez kino i częściowo też przez radio, dochodzą do szerokich mas, które widzą tę przepaść jaka istnieje między nimi a narodem amerykańskim i czują niesprawiedliwość tej sytuacji. Zazdrość, chęć poprawy bytu w sensie zbliżenia go do wzorów amerykańskich, stwarza klimat niezadowolenia i protestów mogący przerodzić się w klimat rewolucyjny. Widzi się w Stanach częściowego winowajcę tego położenia, podobnie jak biedny krewny patrzy z zazdrością na bogatego wujaszka i ma doń pretensję, iż ten pozostawia go własnemu losowi, zamiast przyjść mu z pomocą i poprawić jego egzystencję.

V. *Próby reform*

Zanim przejdę do omówienia problemu kubańskiego pragnąłbym w kilku słowach przedstawić próby reform dokonane w Meksyku, Boliwii i Gwatemali. Haya de la Torre dowodzi, iż w dziedzinie politycznej chcieliśmy zawsze importować instytucje i systemy. W danym wypadku chodzi o faszyzm, nazizm i komunizm. Właściwie mówiąc nie polega to na przeniesieniu całości owych systemów, lecz jedynie na zapożyczeniu pewnych idej. W słowach polityków latino-amerykańskich powstaje pewnego ro-

dzaju mieszanina pojęć złożona z idej rodzimych oraz z pierwiastków owych trzech wymienionych systemów, przy czym zależnie od sytuacji i wpływów góruje ten czy inny pierwiastek.

Reforma meksykańska miała w sobie, być może, najwięcej podłoża rodzimego. Punktem ciężkości była reforma agrarna i likwidacja stosunków feudalnych. Sytuacja ludności wiejskiej podczas rządów Porfirio Diaz była szczególnie opłakana, byli oni wyzuci z ziemi i traktowani nieomal jak niewolnicy. Okres rewolucyjno-socjalny zaczyna się w roku 1910 z upadkiem Diaza i objęciem prezydentury przez Franciszka Madero. Jednocześnie zaczyna się ruch rewolucyjny Zapata pod hasłem reformy rolnej, przeciwko wielkim właścicielom. Przed tym okresem dwie trzecie ziemi należało do 834 właścicieli. W roku 1917 zostaje uchwalona nowa konstytucja, która w paragrafie 27 przeprowadza zasadę, iż ziemia i jej wnętrze jest własnością Meksykańczyków i że cudzoziemcy mogą nią władać tylko wyjątkowo. Jednocześnie zaczyna się akcja na rzecz reformy agrarnej, której kulminacyjnym momentem jest okres prezydentury Lazaro Cardenas, pochodzenia indyjskiego, mającego pewne inklinacje komunistyczne i popieranego przez przywódcę robotników Vincente Toledano. Reforma jednak, jak dotąd, nie objęła całości ziemi i połowa jej znajduje się jeszcze w rękach 10 tysięcy właścicieli ziemskich, czy *hacendados*. Tylko część więc z nich została wywłaszczona. Wywłaszczeniu nie podlegają posiadłości mniejsze od stu hektarów. Poczynając od 1917 do 1940 wywłaszczono 55 milionów akrów ziemi, z czego Lazaro Cardenas wywłaszczył przeszło 30 milionów, do roku zaś 1946 rozdzielono dalszych 6 milionów hektarów. Ogólna ilość obdzielonych rodzin chłopskich wyniosła do tej daty 1.812.936. Rozdział ziemi dokonuje się między tak zwanymi *ejidos*. Jest to pewnego rodzaju wspólnota zbliżona do kooperatywy, gdzie pastwiska, lasy i woda są użytkowane wspólnie, poza tym każda rodzina posiada swój dom i uprawia grunta indywidualnie. Na rodzinę przypada około 19,5 hektara ziemi, z czego 4,6 hektarów ziemi uprawnej. Jest to cyfra przeciętna gdyż działki wahają się zależnie od rodzaju ziemi od 3 do 8 hektarów ziemi uprawnej. *Ejido* składa się z dwudziestu *ejidatarios*, to jest rodzin chłopskich. Członkowie *ejido* zbierają się wspólnie i radzą nad sprawami odnoszącymi się do gospodarki *ejido*. Nie należy uważać *ejido* za coś naśladującego kołchozy sowieckie. System ten panował już za czasów kolonialnych nie tylko w Meksyku, ale też w Peru, Ekwadorze i Boliwii. Być może jednak przyjęcie tego systemu w reformie rolnej nastąpiło pod częściowym wpływem idej komunistycznych, gdyż co do samego systemu zdania były podzielone. Ostatnio zaczęto popierać indywidualne władanie ziemią, nie znaczy to jednak żeby chciano zlikwidować *ejidos*. Jedynie rząd uważa, że obok *ejidos* jest wskazana również własność indywidualna. *Ejidos* obejmują obecnie połowę ludności wiejskiej, są w posiadaniu połowy ziemi uprawnej i czwartej części wszystkich gruntów. Wywłaszczeni właściciele

otrzymują obligacje tytułem indemnizacji. Prócz reformy agrarnej rewolucja w Meksyku przeprowadziła reformę szkolną, zmniejszyła ilość analfabetów z 75 do 43%. Minister oświaty, wybitny pisarz Vasconcelos, powiększył ilość szkół o 1.000 Ilość dzieci uczęszczających do szkół początkowych wzrosła z 1.400.000 do 1.800.000. Lazaro Cardenas znacjonalizował większość kolei, wywłaszczył w roku 1938 przedsiębiorstwa naftowe amerykańskie i brytyjskie, przy czym po dłuższych pertraktacjach nastąpiło porozumienie z zainteresowanymi rządami co do wysokości indemnizacji. Przy pomocy instytucji rządowej *Nacional financiera* stworzono do roku 1959 około 50 tysięcy przedsiębiorstw przemysłowych różnego typu. Produkcja bawełny zwiększyła się sześciokrotnie. Poczyniono znaczne postępy na polu uprzemysłowienia kraju, przy czym wartość produkcji narodowej od r. 1950 do chwili obecnej wzrosła o 50%. Co jednak najważniejsze, to fakt że Meksyk, który był wciąż wstrząsany rewolucjami, od kilkudziesięciu lat posiada normalne władze, które kończą swoją kadencję we właściwych terminach i w formie pokojowej. Również kraj korzysta z wolności prasy i wolności obywatelskich. Oczywiście daleko jest jeszcze do zaspokojenia potrzeb mas ludowych, z których połowa wciąż jeszcze posiada standard życiowy jak przed 50 laty.

W Boliwii reformy zostały przeprowadzone poczynając od roku 1952 za prezydentury Paz Estensoro, który obecnie piastuje również urząd prezydenta tej republiki. Zajmiemy się po krótce reformą agrarną. Według danych urzędowych, w Boliwii przed reformą było 5412 majątków ziemskich o obszarze każdy przekraczającym 1000 hektarów, przy czym 615 majątków miało objętości więcej niż 10.000 hektarów. Reforma agrarna została ogłoszona 2 sierpnia 1953 roku, tytuły jednak własności zaczęto dawać dopiero od roku 1955. Reforma stanęła na stanowisku, iż wszyscy chłopi są właścicielami parcel jakie uprawiali przed datą reformy. Rzeczywistymi właścicielami owych parcel byli w ogromnej większości wypadków właściciele ziemscy *hacendados*. Dla otrzymania jednak tytułu własności osoby zainteresowane muszą przeprowadzić szereg formalności. Decyzja co do przyznania tytułów należy do Rady Narodowej reformy agrarnej. Posiadacze własności do 10 hektarów nie byli ruszani i reforma ich nie dotyczyła. Do końca r. 1959 przyznano tytuły własności 32.608 rodzinom, poza tym znajdują się do rozpatrzenia przez Radę tytuły obejmujące 66.564 rodzin i przez niższe instancje (sądy agrarne) tytuły dotyczące 79.103 rodzin. Z chwilą gdy owe tytuły będą przyznane ilość rodzin korzystających z reformy dojdzie do 69,86% całości ludności pracującej na roli. Oblicza się, iż jedna rodzina składa się z sześciu osób. Realizacja reformy postępuje stosunkowo bardzo wolno, co tłumaczy się brakiem środków na jej techniczne przeprowadzenie. Urząd który się tym zajmuje, składa się wedle oficjalnych danych z 487 urzędników, którzy rozporządzają tylko dwunastoma maszynami do pisania i jednym krzesłem na pięć osób. Dowodzi to

jak biedny jest ten kraj. Wywłaszczeni właściciele otrzymują obligacje płatne w ciągu 25 lat. Średnia wielkość działki na rodzinę wynosi 19 hektarów, są jednak działki większe i mniejsze, zależnie od dobroci i położenia gruntu. Podlega wywłaszczeniu ogółem 26.389 majątków. Oprócz reformy agrarnej przyznano prawo głosu całej ludności bez względu na to czy są piśmienni czy nie. Tym samym Indianie stanowiący większość ludności Boliwii zostali wciągnięci do życia państwowego. Powiększono budżet na oświatę o 50%. Wreszcie dokonano zasadniczej reformy o ile chodzi o przedsiębiorstwa produkujące cynę, które były w rękach trzech magnatów cynowych: Patino, Aramayo i Hochshild, których wywłaszczono przyznając im niewielkie indemnizacje. Stany Zjednoczone nie były tym specjalnie dotknięte gdyż ich obywatele nie byli w posiadaniu wielkich kopalń (7) jedynie zajmowali stanowiska kierownicze w tych przedsiębiorstwach. Na wniosek ambasadora Stanów udzieliły one Boliwii pomoc, początkowo 14 milionów dolarów, następnie zaś w latach 1956-57-58 blisko 20 milionów rocznie, prócz pomocy technicznej w wys. około 3 milionów rocznie. Cała ta akcja reformy boliwijskiej została przeprowadzona przez powstałą w r. 1952 partię ,,Ruch narodowy rewolucyjny''.

Mniej więcej w tym samym czasie podjęto reformę agrarną w Gwatemali. O sytuacji chłopów w Gwatemali wyraża się Arciniegas jak następuje:

,,Reżym agrarny w Gwatemali utrzymywał chłopów w sytuacji podobnej jak za czasów pierwszych kolonizatorów (*encomenderos*) hiszpańskich. Kilku obszarników, wśród nich *United Fruit Company*. Indian traktowano jak bydło''.

Reformy socjalne rozpoczęto w Gwatemali już za prezydentury Arevalo (1946-1951). Reformy te miały na celu ochronę pracy robotników i ustanowienie nad nimi opieki prawa. Wydano specjalny kodeks robotniczy, skasowano przymusową pracę na roli chłopów, podjęto kroki mające na celu wciągnięcie Indian, stanowiących większość ludności, do udziału w pracach rządu. Utworzono instytut ubezpieczeń społecznych oraz instytut popierania produkcji. Ustawa o reformie agrarnej została wydana już za rządów następcy Arevalo, Arbenza w czerwcu 1952 r. Niektórzy twierdzą, iż reforma ta nie była konieczna, gdyż rząd posiadał dosyć gruntów żeby obdzielić ludność wiejską. Prezydent Arbenz w orędziu do Kongresu motywował konieczność reformy wskazaniem, iż 2,2% właścicieli majątków jest w posiadaniu więcej niż 60% ziemi pod uprawę. Z tych dwudziestu dwóch mieli posiadłości przekraczające 2500 hektarów. Natomiast jeśli chodzi o drobną własność to 66% właścicieli władało wszystkiego 10% całej ziemi pod uprawę, przy czym parcele zajmowane przez nich były mniejsze niż 8,5 akra. Zgod-

(7) Mieli pewien udział w kopalniach Patino (28%).

nie z ustawą wywłaszczeniu podlegały posiadłości większe od 664.2 akrów, które nie są uprawiane przez swych właścicieli lub na ich rachunek. Nie podlegają wywłaszczeniu posiadłości objętości od 222 do 664,2 akrów, których dwie trzecie jest uprawiane, tudzież posiadłości liczące 222 akrów, które są uprawiane choć w niewielkiej części. Na zasadzie tego artykułu wywłaszczono *United Fruit Comp.* w ilości 413.573 akrów. Co do ilości akrów jaką mieli otrzymywać chłopi, to ustawa jej nie precyzowała. Jedynie tylko w wypadku wywłaszczenia ziemi należącej do Niemców określa działkę dla rodziny w wysokości 43,25 akrów. O ile mogłem się zorientować z niedostatecznych danych statystycznych, obdzielono ziemią 87.000 rodzin w formie jednak stanowiącej raczej *usufructus* niż własność. Wywłaszczeni właściciele otrzymywali obligacje trzyprocentowe na 25 lat. Co do *United Fruit Comp.* to przyznawano jej odszkodowanie w ilości 600 tysięcy dolarów, to jest kwotę na jaką jej posiadłości zostały ocenione dla zapłaty podatku od nieruchomości, na co owo przedsiębiorstwo się nie zgodziło. Jak wiadomo rząd Arbenza, który dostał się pod wpływy komunistów, został obalony w drodze rewolucji, prezydentem został Castillo Armas, który poczynił szereg zmian w przyjętej poprzednio reformie. 200 tysięcy akrów zostało zwróconych *United Fruit Comp.* Wywłaszczenia faktycznie zostały wstrzymane. 25 tysięcy rodzin przechodzi na grunta rządowe i grunta przez nich zajęte są zwracane poprzednim właścicielom. Obligacje zamieniono na płatne w ciągu 10 lat przy procencie czterech zamiast trzech. Poza tym chłopi otrzymali ziemię na całkowitą własność. Jak wiadomo obalenie rządu Arbenza przez Castillo Armas odbyło się przy pewnej pomocy Stanów, co w niektórych sferach w Ameryce Łacińskiej wywołało złe wrażenie i protesty. Jak widać, wspomniane wyżej reformy miały na celu uniezależnienie od wielkich kapitałów, szczególnie obcych, likwidację obszarnictwa, poprawę bytu mas.

VI. *Problem kubański*

Sprawa Kuby pasjonuje opinię publiczną Ameryki Łacińskiej. Opinia ta jest w znacznym stopniu podzielona, szczególnie gdy chodzi o świat intelektualny. Jak mi oświadczył jeden z Urugwajczyków, od czasu wojny domowej w Hiszpanii żaden problem polityki zagranicznej nie wprowadził tak wielkiego zamieszania do opinii tutejszych krajów jak problem kubański. Nie tylko komuniści trzymają stronę Fidela, po jego stronie są również partie socjalistyczne i część partii, które można by określić mianem centrum. Nawet wśród katolików spotykają się grupy, szczególnie wśród młodzieży, które bronią Castro. Niedawno tutejsza partia katolicka *Union civica* usunęła ze swego grona grupę młodzieży katolickiej wydającą czasopismo ,,Polityka'', której kilku członków ostatnio odwiedziło Kubę

i opublikowało oświadczenie w duchu bardzo przyjaznym dla Fidela. Gdyby nie prześladowania Kościoła, które się zaczęły na Kubie, to niewątpliwie liczba katolików będących po stronie Castro byłaby z pewnością większa. W tych samych partiach zajmujących zasadniczo negatywne stanowisko względem Fidela znajdują się osobistości i to deputowani, którzy są innego zdania. Popierają też Castro na ogół robotnicy, spora część studentów, profesorów, nauczycieli. W Montevideo np. uniwersytet jest miejscem mitingów za Castro. W Buenos Aires niedawno doszło do krwawej bójki między studentami anty i pro Castro. Tłumaczy się to m.in. faktem, iż, jak to pisze broszura wydana przez grupę antycastristów, z początku 95% ludności było zwolennikami rewolucji i tym samym jej przywódcy. Posłuchajmy głosu byłych rewolucjonistów, którzy uważają Castro za zdrajcę rewolucji:

,,Batista rządził przy pomocy siły, zbrodni, tortur i przekupstwa. W roku 1958 kraj czuł obrzydzenie do Batisty. Rewolucja, która zatriumfowała 1 stycznia 1959 r. miała podstawy legalne i uzyskała poparcie przy objęciu przez nią władzy 95% ludności. Są to fakty nie opinie".

Ażeby lepiej zrozumieć problem kubański cofnijmy się nieco wstecz i w krótkości zapoznajmy się z sytuacją Kuby przed rewolucją, w szczególności o ile chodzi o jej stosunek do Stanów Zjednoczonych, gdyż to nam wyjaśni w części owe nastroje antyamerykańskie jakie towarzyszyły rewolucji spotęgowane do maksimum przez jej leadera.

Kuba ze względu na swe położenie była zawsze przedmiotem daleko idącego zainteresowania Stanów. Już Jefferson uważał, iż Kuba powinna z biegiem czasu stać się częścią składową Stanów. Stany kilkakrotnie proponowały Hiszpanii kupno Kuby, ale spotykały się z odpowiedzią: ,,Raczej zatopimy ją w Oceanie niż sprzedamy''. Wr. 1898 Stany, jak wiadomo, poparły dążenia Kuby do niepodległości i w rezultacie wojny Hiszpania straciła Kubę, która po kilkuletniej okupacji przez wojska amerykańskie stała się w r. 1902 krajem niepodległym. Jednakże Kuba, wbrew swej woli, zmuszona była przyjąć tak zwaną poprawkę Platt, stanowiącą część składową jej ówczesnej konstytucji. Poprawka Platt pozwalała na czasowe okupowanie Kuby przez Stany dla zachowania jej niepodległości tudzież utrzymania rządu zdolnego ochraniać życie, własność i swobody obywatelskie. Wskutek częstych zamieszek jakie miały miejsce na Kubie, Stany interweniowały kilkakrotnie, m.in. w okresie od 1906 do 1909 faktycznie rządziły Kubą. Inne interwencje miały miejsce w latach 1912 i 1917. Sekretarz departamentu Stanu Elihu Root określił tę sytuację, iż na ,,zewnątrz Kuba, znajdująca się pod protektoratem potęgi amerykańskiej, jest *de facto* kolonią autonomiczną pod egidą Stanów''. Szczególnie dały się we znaki Kubańczykom rządy Machado, byłego dyrektora *Electric Power Company,* tyrana używającego metod terrorystycznych i sze-

rzącego korupcję. Został on w końcu obalony między innymi przy pomocy studentów, którzy przy tej sposobności wznosili okrzyki wrogie Stanom, które uważano za odpowiedzialne za rządy Machado, przez nie tolerowanego. W r. 1934 za rządów Roosevelta poprawka Platt zostaje zniesiona i od tego czasu kończą się wszelkie interwencje na Kubie. Tym niemniej jednak ze względu na niesłychanie ścisłe stosunki gospodarcze istniejące pomiędzy obu państwami, Kuba *de facto* stała się czymś w rodzaju przybudówki gospodarczej Stanów. Twierdzić, że cała wina leży tu po stronie Stanów jest absurdem. Jest to jednak fakt, który pociągnął za sobą konsekwencje mające związek z obecną rewolucją. Na czym polegała owa zależność? Po prostu na tym, że egzystencja ekonomiczna Kuby była nieomal całkowicie zależna od Stanów.

Jak to wskazałem wyżej eksport cukru kubańskiego stanowił 82% całkowitego eksportu, zaś 80% cukru szło do Stanów Zjednoczonych. To co było następnie wysuwane przez Fidel Castro i co szczególnie mogło irytować Kubańczyków, to fakt, iż eksport cukru do tego kraju nie był oparty na umowie dwustronnej lecz wyłącznie na woli Stanów, które określiły kwotę cukru w ilości 28,6% konsumpcji amerykańskiej, z tym, że w wypadku gdy ta konsumpcja przekracza 7 milionów ton, 98,64% tego przekroczenia importuje się z Kuby. W ten sposób import cukru do Stanów wynosił od 3 do 3,5 miliona ton. Za pieniądze uzyskane z eksportu cukru Kuba opłacała większość swego importu z tego kraju, który w r. 1957 wynosił 76,2% całego importu kubańskiego. Prawdą jest, iż stosownie do tej samej statystyki udział Stanów w całkowitym eksporcie kubańskim był nieco niższy i dochodził do 64,7%, ale i to reprezentuje bardzo poważną sumę. Jednym słowem pod względem handlowym Kuba była bezsprzecznie zależna całkowicie od Stanów. Stany traktowały eksport cukru w formie bardzo dla Kuby korzystnej, gdyż płacili jej za cukier ceny wyższe niż ceny światowe (ceny dochodzące do 5 centów za funta, podczas kiedy ceny światowe były nieco wyższe od 3 centów). W tym jednak dopatruje się Fidel Castro tendencji ze strony Stanów utrzymania sytuacji ekonomicznej Kuby na dotychczasowym poziomie, to jest w całkowitej zależności od jednego produktu i od jednego kraju. Jest to jak gdyby chęć uśpienia sił żywotnych kraju, który w ten sposób nie troszczy się o przyszłość. Jednocześnie jest to popieranie kolonialnego systemu na Kubie, jako wyłącznego producenta surowców, zależnego pod względem artykułów przemysłu całkowicie od swego potężnego sąsiada. Owe zarzuty, zdaniem moim niesłuszne, o ile chodzi o świadome rzekomo przeciwstawianie się Stanów postępowi ekonomicznemu na Kubie ale odpowiadające pewnemu faktycznemu stanowi rzeczy, potęgują się jeszcze wskutek znacznych inwestycji amerykańskich (przeszło 900 milionów dolarów w momencie rewolucji), w szczególności w dziale przemysłu cukrowego. Prawdą jest, iż ostatnio w przemyśle cukrowym, stosunek udziału kapitałów amery-

kańskich do kapitałów miejscowych uległ poważnemu zmniejszeniu. Podczas gdy w r. 1939 w rękach Stanów znajdowało się 55,07% cukrowni, a w rękach miejscowych 22,4%, w r. 1951 sytuacja ta uległa zmianie i w rękach elementów kubańskich procent cukrowni zwiększył się do 54,86%, zaś amerykańskich zmniejszył się do 42,62%. Tym niemniej wpływy kapitału amerykańskiego były bardzo znaczne. Cytują m.in. fakt, iż sytuacja na Kubie przed rewolucją była na ogół lepsza niż w całym szeregu krajów amerykańskich, mianowicie dziennikarz amerykański Draper pisze, iż dochód roczny na głowę mieszkańca na Kubie był wyższy od większości krajów latino-amerykańskich i niższy tylko od dochodu Wenezueli, Argentyny i Chile. Podobnie na Kubie liczono 1 samochód na 39 osób (w Argentynie 1 na 60) i jedno radio na 5 osób. Tłumaczy się to jednak faktem dużej zamożności elementów miejskich, w szczególności zamieszkujących stolicę kraju i ogromną różnicą w standarcie życiowym z ludnością zamieszkującą po wsiach wewnątrz kraju. Fidel Castro dopiero po zapoznaniu się z nędznym trybem życia chłopów w Sierra Maestra powziął myśl dokonania rewolucji socjalnej. Sam Draper wskazuje, iż analfabetyzm po wsiach wynosi 41,7%, natomiast w miastach 11,6%. Nie należy też zapominać, iż Hawana żyła w dużym stopniu z turystów amerykańskich. Opowiadał mi jeden Urugwajczyk, który niedawno przybył z Hawany, iż są tam ulice gdzie jeden klub nocny znajduje się obok drugiego. Kuba podobnie jak i inne kraje Ameryki Łacińskiej, ma wielkie rzesze ludności mieszkające przeważnie po wsiach, których egzystencja, sposób życia i poziom oświaty stoją na bardzo niskim stopniu i właśnie ów przedział pomiędzy tą warstwą ludności a resztą kraju stwarza materiał podatny na poczynania rewolucyjne. Co do robotników, to sytuacja ich była również ciężka wskutek faktu, iż pracujący w przemyśle cukrowym pracują tylko cztery miesiące w roku, a ponieważ przemysł cukrowy pochłania najwięcej robotników (około pół miliona), przeto nic dziwnego, iż ta warstwa początkowo stojąca nieco na uboczu rewolucji, następnie ją poparła z entuzjazmem. Stany Zjednoczone automatycznie były na Kubie sprzymierzeńcami warstwy ludzi bogatych, przemysłowców będących właścicielami przedsiębiorstw wyrabiających cukier z trzciny cukrowej. Te grupy miejscowych przemysłowców i Amerykanów tworzyły tzw. centrale cukrowe, które dyktowały ceny mniejszym producentom cukru, mniejszym plantatorom trzciny oraz płace robotników. Fidel Castro, jako wyraziciel potrzeb klas uciskanych i ekonomicznie zaniedbanych, stanął w opozycji do elementów reprezentujących kapitał, czy to własny czy obcy, i dla zdobycia większego poparcia mas skierował ostrze swych zarzutów przeciwko Stanom, chcąc przekonać te masy, że Kuba może iść naprzód i dokonać wielkich zmian, ale że na przeszkodzie temu stoi kapitał obcy i rządy go popierające, które się temu rzekomo przeciwstawiają. Zdaniem moim, ataki na Stany ułatwiały mu jego grę dla pozyskania owych mas, a

że miała ona pewne podstawy w tym względzie, przeto propaganda ta trafiła na podatny grunt.

Zanim poddam bardziej szczegółowej ocenie charakter rewolucji kubańskiej przedstawię po krótce reformy przez nią dokonane. Reformy te, podobnie jak w wymienionych wyzej krajach: Meksyku, Boliwii i Gwatemali, szły w kierunku uniezależnienia gospodarki Kuby od wpływów kapitału prywatnego, w szczególności amerykańskiego, tudzież poprawy egzystencji szerokich mas, kładąc główny nacisk na reformę agrarną, jednakże w porównaniu z wymienionymi powyżej państwami Fidel Castro poszedł znacznie dalej i faktycznie zmienił całkowicie dotychczasowy ustrój Kuby nie tylko pod względem socjalnym, ale i politycznym nadając mu charakter totalitarny. Zajmiemy się w pierwszym rzędzie reformą agrarną wprowadzoną ustawą wydaną w Sierra Maestra dn. 19 maja 1959 r. Stosownie do danych publikacji antycastrowskich opartych na statystykach, 2336 posiadłości ziemskich o obszarze ponad 500 hektarów każda zajmowały 47% całego obszaru rolnego, przy czym 114 o objętości przeszło 5000 hektarów każda zajmowały 20,1% tego obszaru. Oświadczenie Fidel Castro w tym względzie w uzasadnieniu reformy agrarnej jest zbliżone do tych cyfr. Twierdzi on, iż półtora procent właścicieli zajmowało przeszło 46% całości gruntów. Wywłaszczeniu, stosownie do ustawy, podlegają wszystkie posiadłości większe od 400 hektarów, z tym jednak iż dany właściciel, mający ziemię ponad tę iłość, może zatrzymać na własność nie podlegające wywłaszczeniu owe 400 hektarów. W zasadzie ziemia może być w posiadaniu jedynie obywateli kubańskich, z tym jednak iż w wypadkach wyjątkowych posiadłości nie przekraczające 400 hektarów mogą być przekazane cudzoziemcom. Tym samym jednak przedsiębiorstwa cudzoziemskie reprezentujące duże kapitały są pozbawione możności władania ziemią i wywłaszczone zgodnie z ustawą. Dotyczy to oczywiście też terenów zajętych przez przedsiębiorstwa cukrowe amerykańskie. Jako minimum działki ziemi dla rodziny chłopskiej złożonej z 5 osób ustala się objętość około 26 hektarów. Otrzymują bezpłatnie na własność ziemię dzierżawcy, koloniści, którzy dotąd ją uprawiali, o ile jej objętość nie przekracza wskazanego minimum; jeżeli zaś nie dochodzi do tego minimum to dana parcela zostaje odpowiednio uzupełniona. Otrzymują ziemię chłopi, którzy zostali usunięci z gruntów jakie uprawiali, chłopi zamieszkujący na ziemiach jakie zostają wywłaszczone, którzy nie posiadają żadnych gruntów, robotnicy rolni zamieszkali na ziemiach podlegających rozdziałowi. Osoby i przedsiębiorstwa wywłaszczone otrzymują tytułem odszkodowania obligacje w terminie 20 lat 4,5 procentowe. Jako podstawę do ustalenia wysokości tych indemnizacji przyjęto deklarację właścicieli dla opłaty podatków municypalnych złożoną przed 10 października 1958 roku. Oczywiście rzeczywista wartość tych obligacji jest pod znakiem zapytania. Zasada jednak indemnizacji została przyjęta. Poza przydzielaniem ziemi systemem indywidualnym tworzą się też

kooperatywy nieco zbliżone do kołchozów w Sowietach, głównie na ziemiach należących poprzednio do przedsiębiorstw cukrowych. Utworzono też farmy (gospodarstwa) rządowe coś w rodzaju sowchozów które obecnie obejmują 29,16% użytków rolnych. Według danych profesora uniwersytetu w Hawanie Sanchez Arango, prześladowanego przez Batistę i następnie przez Castro, reforma dotknęła 8969 hodowców, 864 przedsiębiorstw cukru, 720 producentów owoców i jarzyn, 550 rolników o produkcji różnorodnej itp. Prócz reformy rolnej przeprowadzono reformę miejską polegającą na tym, iż wszyscy lokatorzy zamieszkujący w danym domu stają się automatycznie właścicielami lokalu przez nich zajętego, z chwilą jak uiszczą komorne w ciągu 20 lat, przy czym zalicza się komorne już wypłacone do wysokości lat 15; jeżeli więc ktoś zamieszkuje w danym lokalu już 15 lat i opłacał komorne, to żeby zostać właścicielem lokalu wystarczy ażeby płacił je jeszcze przez 5 lat. Dotychczasowy właściciel domu z chwilą wydania ustawy traci własność i komorne wpłaca dany lokator państwu, natomiast właściciel otrzymuje dożywotnią rentę równającą się wysokości komornego, z tym jednak że miesięcznie nie może ona przekraczać 600 pezów kubańskich (ostatnio wartość peza kubańskiego wyniosła 20 centów amerykańskich). Właściciel jednak, który zamieszkuje własny dom i który nie ma lokatorów zachowuje swą własność Wreszcie uległy wywłaszczeniu wszelkiego rodzaju wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, finansowe w ilości 11287. W rękach rządu znalazła się kontrola nad 166 centralami cukrowymi i największe plantacje trzciny cukrowej, przemysł tytoniowy, hodowlany itp. W rękach prywatnych pozostały jedynie mniejsze przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe. W rzeczywistości więc rząd znacjonalizował cały prawie przemysł i handel.

Powyższy ustrój przeto jest niewątpliwie zbliżony do ustrojów krajów komunistycznych z pewnymi oddchyleniami w duchu bardziej liberalnym. Zasadą indemnizacji została utrzymana również przy wywłaszczeniu przemysłu i handlu. Tak więc Fidel Castro poszedł o olbrzymi krok dalej niż wspomniane wyżej trzy państwa gdzie zachowano podstawy reżymu kapitalistycznego i demokracji politycznej. Z innych reform obniżono komorne o 50%. Podniesiono płace robotników w granicach do 25%.

Ażeby poprawić sytuację robotników zajętych w przemyśle cukrowym, którzy pracują tylko cztery miesiące, rząd zapewnił im płacę w ciągu 25 dni każdego miesiąca przez cały rok, z tym że w okresach gdy ci robotnicy nie mają pracy w przemyśle cukrowym są powoływani do prac w innych dziedzinach. Rząd rozpoczął na wielką skalę akcję likwidowania analfabetyzmu. Do tego są powołane wszystkie osoby, w szczególności młodzież umiejąca czytać i pisać, które winny bezpłatnie zająć się nauczaniem analfabetów w miejscowościach, gdzie zamieszkują, ewentualnie także w innych. Powołano do życia wielką ilość szkół począ-

kowych, m.in. w Sierra Maestra liczącej 280 tysięcy ludności, gdzie walczył Fidel i gdzie był całkowity brak szkół. Zbudowano ch 2000 dla 50 tysięcy dzieci. Buduje się też na dużą skalę nieszkania dla robotników i chłopów, które ci będą mogli nabyć na własność na warunkach wskazanych w reformie miejskiej. Rozpoczęto uprawę w dużych ilościach ryżu i bawełny aby skończyć z monokulturą, ponadto pomidorów, które są już eksportowane. Poza tym założono sklepy rządowe dla ludności na wsi, która dotąd zmuszona była nabywać artykuły w sklepach utrzymywanych przez przedsiębiorstwa cukrowe, przez właścicieli ziemskich, gdzie się zadłużali (8). Obok jednak tych reform, które niewątpliwie mogą polepszyć sytuację mas, trzeba stwierdzić, iż Fidel Castro zlikwidował na Kubie ustrój demokratyczny. Nie ma on najmniejszego zamiaru zwołać wyborów, choć co do tego podczas trwania walk rewolucyjnych dawał wyraźne obietnice; obecnie stoi na stanowisku, iż wybory to strata czasu. Myślę, że Fidel wygrałby wybory gdyż ma za sobą masy ludu, lecz na to żeby te wybory miały jakieś znaczenie musiałby dopuścić do propagandy opozycję, co oczywiście nie byłoby mu na rękę. Nie istnieją żadne partie polityczne prócz komunistycznej zwanej Partią Socjalistyczną Ludową. Ruch 26 lipca popierający Fidela jest w dużym stopniu zdezorganizowany. Nie istnieje wolność prasy ani w ogóle tak zwane wolności obywatelskie, nie istnieje niezależność sądów. Mnóstwo profesorów uniwersytetu zostało pozbawionych katedr. Podobnie naruszona jest autonomia uniwersytecka. Ruch robotniczy jest regulowany przez rząd i strajki są zabronione. Rozpoczęło się prześladowanie Kościoła, który odniósł się przychylnie do rewolucji lecz następnie wystąpił z krytyką wpływów komunistycznych. Aresztuje się ludzi i rozstrzeliwuje za tzw. stanowisko antyrewolucyjne, które m.in. polega na atakowaniu komunizmu. Toteż obok gorących zwolenników posiada dzisiaj Fidel Castro zdecydowanych wrogów, z których bardzo wielu stara się opuścić Kubę i tworzy organizacje zwalczające obecne rządy w tym kraju. Są to oczywiście osoby dotknięte reformami ekonomicznymi, pozbawione źródeł zarobkowania, ponadto odnoszące się wrogo do panoszących się coraz bardziej wpływów komunistycznych. Organizacje demokratyczne poza granicami Kuby, jak organizacja *Apry* o której pisałem wyżej, tudzież Akcja Demokratyczna Wenezuelańska, której leaderem jest obecny prezydent Wenezueli Betancourt, wystąpiły z oświadcze-

(8) Wszystkie te dane zaczerpnąłem z publikacji urzędowych kubańkich, z publikacji elementów antycastrowskich popierających rewolucję w pierwszej jej fazie i wreszcie z informacji udzielonych mi przez deputowanego urugwajskiego Henryka Martinez Moreno członka partii Batllistów (tak zwana 14), która to grupa należy do zdecydowanych przeciwników Castro. Pan Martinez jednak osobiście po zwiedzeniu Kuby kilka miesięcy temu, zajął stanowisko przychylne dla Fidel Castro choć bardziej obiektywne niż późni jego wielbiciele. Jest to poza tym człowiek poważny, cieszący się dobrą opinią. Dane uzupełniające czerpię z rozmowy z nim.

niem w lutym tego roku, w którym stwierdzają, iż ,,proces rewolucyjny usprawiedliwiony na początku został zwichnięty zamieniając bratni kraj w narzędzie zimnej wojny i oddalając go z samobójczą premedytacją od wspólnoty interesów narodów latino-amerykańskich''. Czy Fidel jest komunistą? Zdaniem moim nie, przynajmniej z pewnością nim nie był gdy kierował akcją rewolucyjną w Sierra Maestra. Z chwilą jednak gdy zaczął propagandę przeciwko Stanom, komuniści stali się jego najbliższymi sprzymierzeńcami, a ponieważ jest to jedyna i dobrze zorganizowana partia na Kubie, przeto potrafili stopniowo opanować samego Castro i jego najbliższych współpracowników, z których podobno Che Cuevara był zawsze komunizującym. Jest właściwie obojętne dzisiaj czy Fidel jest lub nie komunistą, gdyż postępuje on jak gdyby nim był, wprowadził na Kubie reżym totalitarny odbiegający niewiele od reżymu komunistycznego, związał się bliskimi węzłami z Sowietami i Chinami komunistycznymi, które oczywiście starają się mieć w nim narzędzie swych poczynań. W wywiadzie, udzielonym przez Fidela dnia 1 lutego bieżącego roku komunistycznej ,,L'Unita'', wyraził się on o swych stosunkach z partią komunistyczną w sposób następujący:

Jest to jedyna partia kubańska która stale proklamowała konieczność radykalnej zmiany struktury stosunków socjalnych. Jest również prawdą, iż z początku komuniści nie mieli do mnie zaufania. Ów brak zaufania był uzasadniony, było to stanowisko całkowicie właściwe ideologicznie i politycznie. Komuniści mieli rację nie ufając nam ponieważ my, leaderzy partyzantki w Sierra, byliśmy pełni przesądów drobnomieszczańskich nie bacząc na czytanie Marksa. Nie mieliśmy wyraźnych idej, choć pragnęliśmy całą siłą zniszczyć tyranię i przywileje. Później zeszliśmy się, zrozumieliśmy jedni drugich, i zaczęliśmy współpracować. Komuniści poświęcili dużo krwi okazali dużo bohaterstwa dla sprawy kubańskiej. Obecnie współpracujemy łącznie, lojalnie i po bratersku.

Niebezpiecznym dla Stanów jest nie fakt, iż na Kubie reżym może być zbliżony do komunistycznego, ale jego bliski związek z Sowietami, które są wrogiem Stanów i akcja w której komuniści odgrywają główną rolę w kierunku rozszerzania castryzmu w innych krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie podobnie jak na Kubie byłby on podlany sosem komunistyczno-sowieckim. Stany stoją więc wobec niebezpieczeństwa, w związku z podatnym na ruchy rewolucyjne gruntem w krajach Ameryki Łacińskiej i nastrojami im nieprzychylnymi, że mogą znaleźć się w otoczeniu szeregu wrogich sobie państw, rozsianych po Ameryce Łacińskiej. Oczywiście, iż masy kubańskie nie zdają sobie sprawy co to jest komunizm i bynajmniej nie uważają się za komunistyczne, ale, jak mi to podkreślił Martinez, żywią wielką wdzięczność do Sowietów i innych krajów komunistycznych za udzieloną im pomoc i poparcie. Szereg techników z tych krajów przebywa na Kubie, a ostatnio udało się stąd dwa tysiące młodzieży do Rosji, skąd z pewnością wrócą odpowiednio wysz-

koleni. Stany Zjednoczone dopatrując się poważnego niebezpieczeństwa ze strony castryzmu sprzymierzonego z komunizmem chciałyby oczywiście zlikwidować Fidela. Taką próbą było poparcie dane rewolucjonistom kubańskim w czasie inwazji dokonanej na Kubie, która, jak wiadomo, zakończyła się fiaskiem, przynosząc poważne szkody moralne Stanom. Opinia publiczna i rządy w krajach Ameryki Łacińskiej odniosły się krytycznie do tej inwazji. Oczywiście, gdyby była się udała to wprawdzie w pierwszej chwili rzucano by gromy na Stany, ale rządy jako takie byłyby zadowolone, że spadł im ciężki kłopot z głowy. Inwazja jednak nie udała się a udział w niej Stanów został stwierdzony. Stany próbowały następnie spowodować w tutejszych krajach zwołanie konferencji ministrów spraw zagranicznych dla omówienia niebezpieczeństwa komunizmu w Ameryce Łacińskiej, w związku ze stanem rzeczy na Kubie, i powzięcia pewnych kroków przeciwko tamtejszemu rządowi, ale to spotkało się z chłodnym przyjęciem. Zresztą trzeba przyznać, iż stosownie do uchwał powziętych w Caracas w r. 1954, przeciwko którym głosowała tylko Gwatemala, a wstrzymały się od głosowania Argentyna i Meksyk, kraje te w wypadku niebezpieczeństwa komunistycznego na tym kontynencie są obowiązane do zwołania konferencji ministrów spraw zagranicznych, czyli właściwie nie wykonują powziętych zobowiązań. Było to powodem ostrzeżenia Kennedy'ego co do możliwości jednostronnej akcji ze strony Stanów, gdyby bezpieczeństwo ich było zagrożone. Nie ulega wątpliwości, iż tutejsze państwa, to jest ich rządy, obawiają się wpływów castryzmu, ale obawiają się też, w razie jakiejś akcji przeciwko Castro, rozruchów wewnętrznych wywołanych przez robotników tudzież komunistów i socjalistów przy pomocy studentów, a poza tym mogą obecnie usprawiedliwiać się tym, iż Stany, nie pytając się ich, powzięły samodzielną decyzję odnośnie poparcia podjętej i nieudanej inwazji. Chowają się one za parawanem tak zwanej zasady nieinterwencji, która zdaniem ich nie pozwala interweniować w stosunki wewnętrzne kubańskie. Wobec powyższego Stany nie widzą innego wyjścia jak starać się zwalczać owe źródła nastrojów rewolucyjnych przez zmniejszenie biedy, ciemnoty, braku higieny, mieszkań, niedożywienia wśród mas udzielając pomocy tym krajom w dziedzinie uprzemysłowienia, przeprowadzenia reformy rolnej, stabilizacji cen na produkty eksportu amerykańskiego itp. co idzie też w myśl zasad polityki stosowanej względem krajów gospodarczo niedorozwiniętych W tym celu prez. Kennedy wystąpił z hasłem ,,Przymierza dla postępu'', przymierza jakie ma połączyć kraje Ameryki Łacińskiej w celu poprawy warunków egzystencji mas. Tą drogą, sądzi Kennedy, a za nim szereg polityków amerykańskich, usunie się w tych krajach niebezpieczeństwo komunizmu, lub przynajmniej zmniejszy je się wydatnie. Stany Zjednoczone, które wyasygnowały na ten cel już 500 milionów dolarów, są gotowe do udzielenia tym krajom dalszej znacznie większej pomocy finansowej pod warunkiem, iż

poszczególne rządy opracują plany odpowiednio udokumentowane, w których wyłożą swe potrzeby na najbliższe dziesięć lat. Do tego celu ma również służyć stworzony niedawno Międzyamerykański Bank Rozwoju, o kapitale miliarda dolarów, z których Stany wpłaciły już swą część w ilości 394 milionów. Zachodzi pytanie jakie sumy są niezbędne dla istotnego polepszenia bytu mas w danych krajach. Ekonomista argentyński, Prebisch, oblicza bardzo ostrożnie, iż co najmniej potrzeba rocznie miliard dolarów. Inny ekonomista, Woytinsky określa konieczną sumę inwestycji rocznych na 3 do 4 miliardów dolarów dla osiągnięcia stałego powiększenia dochodu na głowę, przy wyjątkowo dużym wzroście ludności. Oczywiście nie znaczy to, żeby Stany miały pokrywać całość tych sum, gdyż część z nich powinna być dostarczona przez same państwa zainteresowane, tym niemniej jest prawdopodobne, iż pomoc oficjalna Stanów będzie musiała — jeżeli ma być efektywna i naprawdę przynieść pożądane rezultaty — wahać się w granicach miliarda dolarów rocznie. Dla bliższego omówienia spraw związanych z „przymierzem dla postępu" została zwołana w sierpniu na prośbę prezydenta Stanów, konferencja ministrów finansów krajów Ameryki Łacińskiej w Punta del Este w Urugwaju. Jest to dalszy ciąg konferencji odbytych niedawno w Bogocie i w Chile, oraz planu prezydenta Brazylii Kubitschka, znanego pod nazwą operacji panamerykańskiej mającej w gruncie rzeczy te same cele co plan Kennedy'ego. Również jest rzeczą wielkiej wagi dysponowanie otrzymywanymi funduszami, ażeby te nie dostały się do rąk czynników, które je zużyłyby w sposób niewłaściwy, co dzieje się nieraz w krajach azjatyckich i afrykańskich, szczególnie przy rządach nieodpowiedzialnych, a co czyni koniecznym położenie nacisku na demokratyczny charakter rządów korzystających z pomocy.

Władysław MAZURKIEWICZ

Demokracja i kolor

. Rebelie a rewolucja

Ameryka północna przechodzi przez okres głębokiej rewolu-
ji społecznej, choć rewolucji bezkrwawej, wolnej od gwałtow-
ej, fizycznej walki o władzę polityczną. Można by nazwać tę
ewolucję — ewolucyjną rewolucją. Konstytucja federalna z 1787
oku jest najstarszą konstytucją świata w sensie jej nieprzerwa-
ego działania od czasu ratyfikacji. Pozmieniano ją tu i ówdzie,
ak jak trzeba naoliwić maszynę, zastąpić zużyte części — ale
o częściowej nowelizacji działa ona sprawnie i może dlatego
ewolucyjne przemiany w Stanach nie są ani tak widoczne, ani
eż gwałtowne.

W czymże ujawniają się przemiany a także i ferment rewo-
ucyjny? Głębokie przemiany zachodzą przede wszystkim w ukła-
zie klasowym, o czym mówiliśmy już szerzej („Kultura" 12/
49, 1959), w nauce i kulturze, w systemie społeczno gospodar-
zym, a także w stosunkach rasowych. Stany Zjednoczone skła-
ają się nie tylko z ludności białej i czarnej. Indianie, Japończycy
hińczycy, Portorykańczycy — obok przedstawicieli innych ras
narodowości — składają się na różnobarwną gamę kulturalną
etniczną narodu amerykańskiego. Ale problem najważniejszy
oczywiście zagadnienie pełnego równouprawnienia ludności
urzyńskiej. Murzyni bowiem stanowią zwartą masę, są istot-
ą częścią tradycji i kultury amerykańskiej, wytworzyli też liczną
asę inteligencji zawodowej, swoistą literaturę i folklor. Dzieje
połeczeństwa murzyńskiego w Ameryce północnej, to nie tylko
zieje cierpienia, poniżenia ludzkiego, ale i walki o ludzkie prawa
o postęp społeczny. I te dzieje są także dziejami Stanów
jednoczonych.

Wydaje mi się, że po raz pierwszy Murzyni amerykańscy
worzyli nowoczesny ruch, który jest skuteczną siłą polityczną
społeczną. Oczywiście były w dziejach amerykańskich „rebelie"

murzyńskie, choć nie zbyt liczne, lokalne. Były też ruchy społeczne natury religijnej — czy ruchy ,,chiliastyczne'' — głoszące nadchodzące nowe, lepsze tysiąclecia. Ale nie było nowoczesnego ruchu zdolnego do przemiany stosunków rasowych, który byłby ruchem samych Murzynów.

W roku 1619 przybił do brzegów Virginii holenderski statek wojenny, prawdopodobnie piracki, z dwudziestoma niewolnikami Murzynami, którzy nosili nazwiska hiszpańskie i zdaje się byli chrzczeni, prawdopodobnie przez Hiszpanów. Od sprzedaży owych dwudziestu niewolników rozpoczyna się tragiczna historia Murzynów amerykańskich. Jak z obrad parlamentu Virginii wynika, już w roku 1672 były niepokoje wśród niewolników, którzy uciekali w lasy i tworzyli małe, zbrojne grupy. Pojawiają się też wcześnie ustawy zabraniające zebrań niewolników. Na ogół jednak kroniki i pisma notują wydarzenia sporadyczne, nie masowe, krótkotrwałe bunty czy ucieczki. Bodajże największym tego rodzaju powstaniem była rewolta Nat Turnera w roku 1831. Nat Turner, uzdolniony przywódca Murzynów, kierował krótkotrwałą rewoltą o charakterze na wpół religijnym. Turner uważał siebie za wybrańca Opatrzności, oczekiwał też wyraźnego znaku. ,,Znak'' ten ukazał się 13 sierpnia 1831 roku, a był nim ,,zielono-niebieski kolor słońca''. Na zebraniu religijnym niewolników, Turner wezwał ich do walki o wyzwolenie. Walka była krótkotrwała, objęła tylko niewielkie grupy niewolników, i chociaż wpływ tej rebelii odezwał się echem w innych stanach, nie przybrała ona nigdy charakteru ogólnego powstania. Są też ślady historyczne, że po stronie Turnera była i garść białych. Ale powstania Turnera nie sposób porównać do rebelii Szeli, do powstania Stienki Razina, do wojen chłopskich — Jacquerie, Francji średniowiecznej, czy też niemieckiej Wojny Chłopskiej 1525 roku, której bohaterem był Tomasz Munzer. Nie były to też bunty czy rewolty porównywalne do tego typu wypadków w kolonialnej Brazylii. Już w wieku XVIII-ym w Brazylii Murzyni-niewolnicy uciekali w puszczę i tam budowali swe fortyfikowane wsie, tzw. *palmares*. Przez lat 70 Holendrzy, a potem Portugalczycy, nie mogli opanować tego ruchu oporu i pokonać owych uzbrojonych ,,Murzynów z Palmares''.

W czasie Wojny Rewolucyjnej przeciw Anglikom, niewolnicy sporadycznie przystawali do Anglików przeciw Amerykanom, spodziewając się wyzwolenia, np. w roku 1779 w bitwie pod Savannah. Były to znowu wypadki rzadkie, sporadyczne. Historia zna podobne fakty na znacznie większą skalę i znacznie wcześniej. Kiedy Batu na czele Tatarów zalał Ruś (1240-41) — chłopi przechodzili masowo na stronę tatarską; choć nie wiadomo jak szeroki był ów ruch rewolucyjny, to jednak historyk ukraiński Hrushevsky pisze o owym ,,ludzie tatarskim'', przeciw którym Daniel wyprawę organizował. Podobnie i po powstaniu chłopskim Doczy na Węgrzech, w bitwie pod Mohaczem — z początkiem wieku XVI — chłopi węgierscy nie poparli własnej szlachty przeciw Turkom.

Emancypacja niewolników amerykańskich w czasie Wojny Cywilnej, zwanej na południu Wojną Między Stanami, lat 1861-1864, nie była też dziełem Murzynów, ani dziełem ich walki. Około 200 tysięcy Murzynów pomagało armii Północy (jako robotnicy), były też odosobnione wypadki grup — może i partyzanckich — mieszanych, byli też żołnierze-Murzyni w szeregach armii wyzwolenia. Masa jednak armii i filozofia wolności nie z chałup niewolniczych się wywodziła, — z północy: z miast, z rządnych gmin i z farm Nowej Anglii czy Illinois. Abolicjoniści, którzy prowadzili walkę przeciw niewolnictwu wytrwale i bez kompromisu, byli ludźmi wolnymi i białymi. Byli wśród nich religijni Kwakrzy, obok politycznych liberałów i radykałów, czy też filozofów moralności pełnej wolności społecznej, jak świetny pisarz Thoreau, który wzywał do nieposłuszeństwa wobec państwa i nieposłuszeństwo uzasadniał moralnie w swym słynnym eseju „On Civil Disobedience", czy też filozof Emerson. Nie było więc wyzwolenie Murzynów owocem ich własnej rewolucji, tak jak wyzwolenie chłopów pańszczyźnianych w Rosji czy w Polsce nie było rezultatem i konsekwencją powstań i rewolucji chłopskich.

2. *Afrykański nacjonalizm Garveya*

Po pierwszej Wielkiej Wojnie światowej nacjonalizm objął także i masy murzyńskie Nowego Świata. Wodzem i prorokiem tego nacjonalizmu był Markus Garvey, Murzyn rodem z Jamajki. Garvey głosił powrót do Afryki, do ojczyzny człowieka czarnego. Miał on wielki wpływ na masy murzyńskie, umiał stworzyć mit ideologiczny, prosty, ale nietrwały — bo pozbawiony głębszej filozofii. Stworzył organizację opartą o wymyślne rangi i tytuły. Nie zabrakło też umundurowanych jednostek wojskowych — był to niejako zaczątek przyszłej afrykańskiej armii. Był nawet oddział „Black Cross Nurses" — oddział pielęgniarek „Czarnego Krzyża". Ruch Garveya zmierzał także do wzmocnienia podstaw ekonomicznych mas murzyńskich, do stworzenia klasy średniej.

Garvey usiłował związać Murzynów amerykańskich z Afryką. Nie była to myśl nowa. Już w pierwszej połowie ubiegłego stulecia pojawiły się wysiłki tzw. „kolonizacyjne", mające na celu powrót Murzynów do Afryki, do Liberii — wolnej i niezależnej republiki, stworzonej przez postępowych i życzliwych Amerykanów. Ale i eksperyment Liberii nie zdobył szerokiej popularności. Tak więc ruch Garveya był raczej krótkotrwały i jako ruch masowy nie przetrwał lat dwudziestych. Ale miał charakter mesjanistyczny, usiłował oprzeć się na świadomości rasowej i do niej się odwoływał, sięgał do dziedzictwa religijnego Murzynów. Garvey pisał w „Negro World" w lutym 1925 roku: „Jeśli umrę w Atlanta, oczekujcie mnie w huraganie czy

w burzy, patrzcie wokół — oczekujcie mego przybycia. Przyjdę i przywiodę miliony czarnych niewolników co zmarli w Ameryce, w Indiach Zachodnich i w Afryce, by pomóc wam w walce o wolność i życie”.

3. *Nowoczesne murzyńskie ruchy równościowe*

Wcześniej jednak ukazały się zarodki potężnych, współczesnych ruchów społecznych, opartych na postępowej ideologii, na filozofii politycznej, oraz na nowoczesnej i racjonalnej organizacji. W roku 1910 powstało Narodowe Stowarzyszenie Postępu Ludu Kolorowego NAACP (*National Association for Advancement of Colored People*), którego zalążków doszukać się można już we wcześniejszych zebraniach. W roku 1911 z konsolidacji wcześniejszych wysiłków powstaje *Urban League* — Liga Miejska. W obu stowarzyszeniach od zaczątków działają po społu — jako przywódcy i członkowie — Amerykanie Murzyni i Biali. Nie jest to organizacja białych abolicjonistów, którzy walczą o wyzwolenie Murzynów, ani też religijny związek Kwakrów, białych protestantów — którzy w stanach niewolniczych prowadzą akcję podziemną. Obie organizacje: NAACP i *Urban League* odegrały rolę historyczną w rozwoju mas murzyńskich Ameryki. Podczas gdy zadaniem pierwszej było przede wszystkim wywalczenie praw politycznych i obywatelskich, wywalczenie równości — celem drugiej była pomoc społeczna dla mas murzyńskich wędrujących z południa do miast północy, pomoc w wynalezieniu pracy, a potem walka o ludzkie mieszkanie i ludzkie warunki pracy. Duch postępu przeniknął także w związki zawodowe i organizacje robotnicze. Związki zawodowe — wprawdzie tylko niektóre — nie były wolne od przesądów rasowych. Były organizacje, które Murzynów nie przyjmowały, a przy systemie kontroli przemysłowej, którą związki z czasem uzyskały, przesąd taki był równoznaczny z zamykaniem tej gałęzi zatrudnienia dla Murzynów. Były także związki złożone przede wszystkim z Murzynów (tragarze kolejowi, *porters*). Nacisk elementów postępowych w związkach, wpływy demokratycznego socjalizmu i radykalizmu doprowadziły i tu do zmian zasadniczych. Dzisiaj, specjalna Komisja Praw Obywatelskich przy związkach zawodowych prowadzi walkę o zniesienie ograniczeń rasowych w związkach. Liczne rzesze murzyńskie znalazły się w związkach a związki zawodowe, szczególnie Związek Robotników Samochodowych (UAWA pod wodzą Reuthera), związki przemysłu odzieżowego (ILGWU i *Amelgamated* pod wodzą Dubińskiego i Potowskiego) — przodują w akcji równouprawnienia rasowego. Ślady przesądów, w niektórych organizacjach jednak pozostały.

W ostatnim roku, w okresie wzrostu walki bezpośredniej — obok innych organizacji o podłożu religijnym — powstała i trzecia, która przede wszystkim skupia młodzież akade-

micką, i to zarówno kolorową jak i białą, ale niewątpliwie w większości kolorową — CORE (*Congres of Racial Equality*), Kongres Równości Rasowej.

NAACP, *Urban League* i CORE nie zwalczają się wzajemnie. Przeciwnie, uzupełniają się i umieją współpracować. Taktyka ich jest różna. *Urban League* walczy o prawa społeczne, NAACP o prawa polityczne, o zniesienie ,,segregacji'' i o ,,integrację''. NAACP przede wszystkim na drodze sądowej stara się umocnić i wprowadzić w życie równouprawnienie, które wypisane jest przecież w *Bill of Rights* Konstytucji Federalnej. CORE prowadzi akcję bezpośrednią, poprzez bierny opór (*sit in strike* — ,,strajki siedzące'', a więc strajk ,,włoski''). Podział taktyczny nie jest ostry, obydwie taktyki są widoczne.

4. *Aparat organizacyjny związków murzyńskich: ideologia, strategia i taktyka*

Wszystkie te stowarzyszenia, a szczególnie Związek Postępu Ludu Kolorowego NAACP, mają rozbudowaną i sprężystą sieć organizacyjną i swoje wydawnictwa, mają też poparcia wcale rozległej prasy murzyńskiej, murzyńskich stacji radiowych i telewizyjnych. Innymi słowy — istnieje aparat organizacyjny, który jest jednym z warunków utworzenia nowoczesnej siły polityczno-społecznej, a także i siły rewolucyjnej. Mają też one — a szczególnie CORE, Kongres Równości Rasowej — swoją taktykę i strategię, o której pomówimy jeszcze szerzej.

Mamy więc trzy zasadnicze elementy nowoczesnego ruchu społecznego: aparat, strategię i taktykę, oraz ideologię. Bez tych elementów nie ma trwałej siły politycznej czy rewolucyjnej. Wydaje mi się, że połączenie tych trzech elementów w ramach nowoczesnej koncepcji politycznej i społecznej zjawia się po raz pierwszy w ruchu murzyńskim.

Ideologią ruchu o równouprawnienie Murzynów amerykańskich jest współczesna nauka, bo właściwie nauka jest dzisiaj wielką ideologią Ameryki. Nauką wspartą o wartości i zasady filozoficzne i polityczne Rewolucji Amerykańskiej, o koncepcje wolności i równości, które mają nadal siłę mitu społecznego. Psychologia i socjologia stanowią dzisiaj fundament, na którym opiera się teoria równości rasowej. Mniej więcej do lat trzydziestych w psychologii i socjologii amerykańskiej silne były jeszcze wpływy teorii wyższości uzdolnień pewnych ras. Lata trzydzieste są punktem przełomowym. Szkoły ,,wyższości'' rasowej, które uzasadniały, że pewne rasy są bardziej uzdolnione, utraciły na wpływach i sile. Systematyczne, empiryczne badania w zakresie pedagogiki, psychologii i socjologii dostarczają coraz to nowego materiału naukowego. Badacze podkreślają więc

wpływ środowiska, wpływ warunków społecznych i gospodarczych, na rozwój jednostki, wykazują znaczną liczbę ludzi uzdolnionych wśród tzw. ,,ras niższych'', dowodzą dalej, że tzw. ,,ras czystych'' w ogóle na świecie nie ma, a jeśli żyją gdzieś społeczeństwa ,,rasowo czyste'' — to są to chyba jakieś niewielkie, odizolowane grupki. Rozwój masowego szkolnictwa wykazał także znaczne możliwości intelektualnego rozwoju i postępu, chociaż i tu nie obeszło się bez bardzo poważnych problemów i zagadnień, na które nie tak łatwo odpowiedzieć. Ograniczymy się więc do tych kilku uwag, bo brak miejsca nie pozwala, by teorie rasowe omawiać szeroko.

W ideologii ruchów wolnościowych była zatem ideologia naukowa i skutkiem tego trafiła do uniwersytetów i kolegiów, do szkół średnich i do rad nauczycielskich. Napotkała tam — przede wszystkim na północy i na zachodzie — na życzliwych zwolenników może właśnie dlatego, że kierunki postępowe, tzw. liberalne, górują w Stanach w szkolnictwie i na uniwersytetach. Rosły więc jak grzyby po deszczu kursy i seminaria o zagadnieniach rasowych i etnicznych, *inter-group relations, human relations* i tym podobne, wzmacniając jeszcze ideologię i poparcie rasowej i narodowościowej demokracji.

Istotnym elementem ideologii są jasne i wyraźne cele strategiczne i taktyczne. Ideologia społeczna i polityczna bez takich celów jest mało skuteczna. W ruchu równości rasowej cele te zarysowały się jasno, a co ważniejsze pragmatycznie: celem jest zniesienie segregacji, rozdziału społecznego ras — a więc integracja. Ruch stał się ruchem ,,integracjonistycznym'', którego najbliższym celem w Stanach Południa było i jest zniesienie odrębnych miejsc w autobusach itp. Integracjoniści czyli antysegregacjoniści walczą o jednolitą szkołę, o pełne włączenie społeczeństwa murzyńskiego w społeczeństwo białe, o obalenie tych przegród, które spychają Murzyna w Stanach do roli drugorzędnej tak w życiu codziennym jak i w pracy. Segregacjoniści starają się ów rozdział utrzymać. Cel integracjonistów jest praktyczny, widoczny i może być wprowadzony w życie, w znacznych rozmiarach. A pragmatyczność ruchu politycznego jest w Stanach Zjednoczonych istotnym elementem działalności politycznej: ruchy polityczne wizjonerskie, rzucające dalekie miraże zupełnej szczęśliwości, czy też państwa doskonałego, nie przemawiają w obecnej chwili, dobrobytu i dostatku, do mas amerykańskich.

Integracjoniści mają poparcie rządu federalnego i stanów północnych, segregacjoniści znów opierają się na ustawach i rządach stanowych południa. I tu trzeba wyjaśnić skomplikowany obraz tej walki, w której tak wielką odgrywa rolę demokratyczny mechanizm rządzenia i sądownictwa.

5. *Sąd najwyższy i demokracja rasowa*

Konstytucja federalna zapewnia wszystkim obywatelom równe prawa polityczne i obywatelskie. Sąd Najwyższy interpretuje te przepisy. W roku 1863 prawa obywatelskie, tzw. *Bill of Rights,* Deklaracją Emancypacji rozciągnięto na wszystkich, także i na kolorowych obywateli. Niewolnictwo zostało zniesione. Ale obok rządu federalnego — w myśl tej samej konstytucji — istnieją także rządy stanowe, które wydają ustawy; podobnie samorządy miejskie mają swoje przepisy prawne. W stanach południa dużą rolę grają też zwyczaje miejscowe, które łącznie z Ustawami lokalnymi obchodzą przepisy konstytucji federalnej tam, gdzie chodzi o integrację i równość rasową. Ponadto oświata i szkolnictwo nie podlegają rządowi federalnemu zależąc zgodnie z przepisami konstytucji — niemal wyłącznie od władz miejscowych, samorządowych i zarządzeń rządu stanowego. W tym więc zakresie Kongres ustaw nie wydaje, a Rząd federalny nie ma bezpośredniej możliwości wprowadzania integracji w zakresie szkolnictwa, może to uczynić tylko pośrednio na zasadzie *Bill of Rights* — a więc na zasadzie praw obywatelskich konstytucji federalnej.

Ale i to nie było łatwe. W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia segregacja rozpowszechniła się na południu. Na stacjach były osobne poczekalnie i ubikacje dla Murzynów, kościoły dla białych i czarnych, a w najlepszym wypadku były murzyńskie ławki, szkoły i uniwersytety dla białych i Murzynów. Uniwersytety i szkoły murzyńskie, podobnie jak i restauracje, poczekalnie czy wagony, były z reguły gorsze. W r. 1896 Sąd Najwyższy w słynnej sprawie Fergusson v. Plessy orzekł — w powołaniu się na XIII nowelę do konstytucji, która zniosła niewolnictwo — że urządzenia mogą być ,,oddzielnie ale muszą być równe'' (słynna formuła *separate but equal*). Sąd Najwyższy odrzucając teorię wyższości rasy białej uzasadniał dalej, że ustawą nie można wykorzenić ,,instynktów rasowych i różnic fizycznych. Wysiłek w tym kierunku wzmocni tylko trudności obecnej sytuacji''. To orzeczenie z 1896 w rzeczywistości utwierdzało *status quo,* opierając się na panujących wówczas teoriach nauk społecznych, które podkreślały trudności zmiany obyczaju społecznego.

Tak więc rządy stanowe, samorządy i przedsiębiorstwa, opierając się podówczas na orzeczeniu Sądu Najwyższego wprowadzały dalej w życie segregację. W latach pięćdziesiątych bieżącego stulecia orzecznictwo zmieniło się radykalnie, a ukoronowaniem tendencji zmierzającej do równouprawnienia było podstawowe orzeczenie Sądu Najwyższego z roku 1954, które uznało segregację za sprzeczną z konstytucją. W uzasadnieniu Sąd wykazywał — znowu na podstawie współczesnych nauk społecznych — że segregacja ma wpływ szkodliwy na rozwój osobowości i hamuje postęp ludności murzyńskiej. Sąd za-

rządził więc integrację. Ale rządy stanowe dysponują policją i milicją stanową; federalne zarządzenia integracji wykonać więc można tylko — w razie oporu — przy pomocy „marszałków federalnych" i wojsk federalnych. W warunkach normalnych zarządzenia federalne wykonuje „marszałek federalny" (*federal marshal*), a władze stanowe udzielają w razie potrzeby pomocy. Niektóre rządy stanowe przeciwne są jednak integracji, mając za sobą poparcie miejscowej opinii publicznej Białych. Gubernator stanowy pochodzi z wyboru — idzie więc za głosem wyborcy i nie chce narażać swego mandatu ani też wpływów swej partii. Ustawa federalna jest wiążąca i silniejsza od ustawy stanowej — taka jest zasada prawna, ale wykonanie, to już inna sprawa.

6. *Droga prawa i opór ludności południa*

Południe znajduje się więc w okresie fermentu. Integracjoniści, przy pomocy sądów federalnych, przez stosowanie ustaw federalnych — ale także i drogą biernego oporu — usiłują wprowadzić pełną integrację i znieść odrębność rasową szkół, restauracji czy pływalni. Segregacjoniści walczą znów o utrzymanie segregacji, przy pomocy sądów stanowych i w oparciu o władze stanowe.

W roku 1957 sąd federalny zarządził integrację szkół w stanie Arkansas. W Little Rock, stolicy Arkansas, dzieci murzyńskie wedle tego zarządzenia zasiąść miały obok dzieci białych w tych samych szkołach powszechnych i średnich. Rodzice dzieci białych — nie wszyscy oczywiście — stawili opór, odwołali się do gubernatora Faubusa. Gubernator integrację wstrzymał, odwoływał się do tradycji. Walka zaostrzała się z każdym dniem, a rząd federalny napierał. W konsekwencji prezydent Eisenhower wysłał do Little Rock wojska federalne i integracja szkół została wprowadzona w życie. Ale wysłanie wojsk federalnych do stanów południowych, do miast południa — to nie jest sprawa prosta. By zrozumieć powagę takiej decyzji, trzeba znać południe, jego ludność i tradycje. *Federal Troops* — wojska federalne — przypominają wojnę cywilną lat sześćdziesiątych. Amerykanin w ogóle nie jest przyzwyczajony do częstego oglądania mundurów, a nie przywykł zupełnie do widoków budynków publicznych strzeżonych przez żołnierzy z najeżonymi bagnetami. W niektórych miejscowościach Ameryki, po wsiach i małych miastach dosłownie tygodniami nie widziałem munduru policyjnego. Pojawienie się umundurowanych oddziałów na ulicach miast oznacza niezwykły niepokój. A jednak prezydent znając dobrze południe — zdobył się na ten krok zasadniczy.

W listopadzie 1960 roku sędzia federalny Skilly Wright, rodem z Louisiany, a więc z południa, zarządził integrację szkół i zniesienie odrębności rasowej. Biali segregacjoniści, przeciw-

nicy integracji, zgromadzili się przed szkołami. *White Citizen Council,* Rada Białych Obywateli — organizacja skrajnych segregacjonistów — zwołała zgromadzenie publiczne. 6000 ludzi odpowiedziało na ich wezwanie. Demonstracje przeciągały się przez całe dnie, demonstrowali rodzice i studenci. 14 listopada tłumy zgromadziły się przed szkołami, w których zarządzono integrację dzieci białych i murzyńskich. Po 9-ej godzinie, gdy białe dzieci zapełniły sale szkolne, kordon policyjny oddzielił tłum od jezdni. Zajechały samochody wypełnione federalnymi *marines,* a potem zjawili się *federal marshalls* prowadząc sześcioletnie murzyńskie dzieci do szkoły. Mimo niechęci i przesądów segregacjonistów, integracja postąpiła znowu o krok naprzód. I tak codziennie, gdzieś w jakiejś odległej miejscowości południa odbywa się walka o prawa człowieka. Nie zawsze kończy się ona pełną wygraną. Opór, często opór fizyczny, większości białej, nakazuje ostrożność, nakazuje politykę wychowania i perswazji, by bez gwałtu i drogą demokratyczną nakłonić opornych do przyjęcia pełnej integracji. A opór jest. Na ulicach Atlanty, stolicy Georgii, pojawiły się białe kaptury Ku-Klux-Klanu, organizacji białego rasizmu. Akcję sądową popiera w sądach federalnych NAACP — Związek Postępu Ludu Kolorowego — naciska też związek na Kongres Stanów Zjednoczonych, działa poprzez swoje oddziały po miastach północy i południa. Legalistyczna taktyka związku daje wyniki — może powolne, ale trwałe. Ideologia i organizacja dają podstawy trwałości dla działalności starannie przemyślanej i długofalowej.

7. *Bierny opór „kolorowych”*

Ale jest i akcja bezpośrednia, zorganizowana i „samorodna”. Zaczęło się w Montgomery, w stolicy stanu Alabama, kiedyś czasowej stolicy Konfederacji. Alabama jest stanem o mocnych tradycjach „południowych”. Ludność biała jest w większości za segregacją. Niewolnictwo przetrwało w tym stanie w formie bardzo ciężkiej — aż do klęski Konfederatów. Otóż — wedle przepisów czy zwyczajów Montgomery — w autobusach, tramwajach i kolejach Murzyni zajmowali osobne ławki w tylnej części autobusu czy tramwaju. Po decyzji Sądu Najwyższego przepisy te, czy zwyczaje, były w oczywistej sprzeczności z prawami federalnymi. I kiedy szofer w autobusie wezwał pasażerkę-Murzynkę — która zajęła przednią ławkę — by się cofnęła do tyłu — ta odmówiła. Odmówili i inni Murzyni. Sprawy poszły do sądu miejskiego. Tymczasem bierny opór zaczął się szerzyć. Ludność murzyńska Montgomery zadecydowała bojkotować linie autobusowe aż do zniesienia odrębnych ławek i segregacji. Pastorzy murzyńscy stanęli na czele tego ruchu, którym kierował młody ksiądz — Martin Luther King. Murzyni Montgomery nie szerzyli nienawiści rasowej, niena-

wiści do białych, a przeciwnie, głosili wybaczenie tym którzy im praw odmawiali. Wiedzieli zresztą dobrze, że po swej stronie mają wielu białych z południa i część wpływowej prasy południa, a przede wszystkim poparcie władz federalnych i znacznej części opinii północy. Ruch biernego oporu wykazał zarówno umiejętność organizacyjną Murzynów amerykańskich, jak i zdolność do szerokiej akcji. I znów — stały za nimi organizacje murzyńskie i białe, o szerokiej sieci organizacyjnej i doświadczeniu w prowadzeniu wytrwałej walki.

Wiosną i latem 1960 pojawiły się nowe formy biernego oporu. W restauracjach i kawiarniach południa segregacja przetrwała. Tak więc pozostały odrębne restauracje i tzw. *lunchenette* murzyńskie i białe. Studenci uniwersytetów i kolegiów murzyńskich poczęli odwiedzać zakłady gastronomiczne przeznaczone jedynie dla Białych. Zasiadali przy barach ,,śniadankowych'' wielkich magazynów, w których można dostać bułkę z szynką, kawę czy lody. Są to popularne jadłodajnie, w których posiłki są dobre i tanie. Kelnerzy i kelnerki nie podawali jednak potraw Murzynom, ani nie odbierali od nich zamówień. Studenci nie ruszali się z miejsca, siedzieli tak godzinami. Na ataki fizyczne i wrogi tłum segregacjonistów odpowiadali spokojem i zachowaniem pełnym godności. Wielu z nich pobito. W miastach na północy rozpoczął się bojkot wielkich magazynów, które mają oddziały na południu i które na południu stosowały segregacje w swych jadłodajniach, zgodnie z miejscowymi zwyczajami. Przed sklepami tych kompanii w Nowym Jorku ukazały się pikiety złożone wyłącznie niemal z białych studentów. Pikietujący studenci obnosili tablice wzywające do bojkotu tych sklepów, które stosują segregację. Po szkołach i uniwersytetach studenci obnosili długie listy z tzw. *pledges* — moralnym zobowiązaniem bojkotu tych sklepów, wzywając kolegów do podpisu. Bojkot na północy i południu był dotkliwy dla wielkich przedsiębiorstw. Amerykanin — szczególnie robotnik i student — nie przekracza tzw. *picket line,* linii pikietujących w obronie praw robotniczych czy politycznych. Bierny opór ma też tradycję rodzimą, amerykańską, w teoriach i pismach Wiliama Penna i Thoreau.

CORE — Kongres Równości Rasowej — rozwinął sieć organizacyjną w całym kraju. Prowadzi on teraz zgraną i celową akcję oporu biernego. Zorganizowano szereg kursów, w których członkowie Kongresu Równości Rasowej szkolą się w biernym oporze. Główny nacisk tego treningu jest na spokój i opanowanie. Część studentów odgrywała rolę segregacjonistów, ubliżała i popychała tych uczestników kursu, których zadaniem było zachowanie w tej sytuacji spokoju, godności, powiedziałbym odnalezienie właściwego sposobu zachowania, w którym by uczestnik oporu zachował godność mimo zniewagi, bez uciekania się do jakiejkolwiek akcji fizycznej, a więc do bójki. W wielu miastach akcja CORE, po długiej co prawda walce, zakończyła się zwycięstwem.

W CORE nie ma komunistów — członkami CORE są postępowi studenci biali i czarni. Nie ma też komunistów w Związku Postępu Ludu Kolorowego. Komuniści w tej walce nie odgrywają, jak dotychczas, żadnej roli. Stanowią zresztą w Stanach niewielką grupę.

Tak więc powoli integracja posuwa się naprzód. Na te zagadnienia trzeba patrzyć odważnie i trzeźwo. Sto lat od czasów emancypacji to bardzo wiele i walka ta może postępuje za wolno. Niemniej postęp jest, ale są także problemy. Lata w szkołach o niższym poziomie, wieki niewolnictwa, pozostawiły swoje ślady. Integracja szkół stwarza problemy w klasie szkolnej, w nauczaniu. Integracja dzielnic murzyńskich i białych w miastach północy, gdzie dzielnice murzyńskie są na ogół odrębne, natrafia także na trudności.

Są to problemy, o których się dzisiaj nie mówi głośno na północy w obawie, by się nie narazić na zarzut ,,rasizmu'' czy ,,segregacjonizmu''. W szkołach integrowanych utrzymanie poziomu naukowego na poprzednim poziomie natrafia na trudności. Ostra krytyka rady szkolnej, której się zarzuca, że do szkół o większości dzieci murzyńskich wysyła się gorszych nauczycieli, jest z reguły nieuzasadniona. Szkoła składa się nie tylko z nauczycieli ale i z uczniów. Lata kiepskiej szkoły, brak zachęty i poparcia do nauki we własnym środowisku, brak ćwiczenia i doświadczenia w długim nużącym wysiłku umysłowym, problemy ekonomiczne, często, bardzo często — ciasne mieszkanie mają swój wpływ na postawę i zainteresowanie uczniów. Utrzymanie czystości i porządku na ulicach także nie zależy wyłącznie od zarządu sanitarnego. Dzielnica murzyńska Harlemu jest zaniedbana. Harlem jest częścią Manhattanu, najważniejszego i najbogatszego ,,grodu'' Nowego Jorku, który składa się z pięciu grodów. W Manhattanie są uniwersytety, banki, prasa, teatry i Narody Zjednoczone. Prezydentem Manhattanu był Amerykanin-Murzyn, Hulan Jack. Ale nieporządek, choć mniejszy, jest i na ulicach zamieszkałych przez ludność białą, a zatem całą ludność Nowego Jorku należałoby wychować.

Cóż tu wiele mówić — wystarczy przykład. Wracając wieczorem do domu taksówką, prosiłem taksówkarza, na Amsterdam Avenue, by przejechał ul. 84 między Amsterdam Ave a Columbus — niedaleko Broadwayu. Taksówkarz odmówił — ulica dla przejazdu, powiedział, niebezpieczna. W Nowym Jorku — na Wschód od Park Avenue — od 100 ulicy do 124, nocą ulice są, powiedzmy, niełatwe dla przybysza z innej dzielnicy. Policja wszystkiego nie może dopilnować. Nie jest też łatwo mieszkać i ludności napływowej, czy zadawnionej w tych dzielnicach. Oczywiście, zagęszczenie jest bardzo silne, szczególnie w tej części miasta. Jest to jedna z przyczyn napięć i agresji. Ale nie jest to przyczyna jedyna. Dzisiaj — sytuacja jest już zupełnie inna. Eksperci od spraw narodowościowych, opierając się na doświadczeniu, twierdzą, że w ciągu dwu pokoleń uda się stwo-

rzyć wspólny wzór kulturalny, uda się nową ludność zasymilować.

8. ,,*Baza*'' *społeczna ruchów integracyjnych*

Wzmożenia walki o równość rasową i jej sukcesu nie da się wytłumaczyć jedynie owymi trzema zasadniczymi elementami ruchów społecznych: faktem organizacji, ideologii i strategii oraz taktyki związków walczących o równouprawnienie rasowe. Organizacje polityczno-społeczne nie działają w próżni i nie można ich działalności analizować w oderwaniu od podłoża społecznego. Nie można też wytłumaczyć owego wzmożonego ruchu antysegregacyjnego wyłącznie układem klasowym, bo przewodzi mu przede wszystkim inteligencja, a znaczną rolę odgrywają ugrupowania religijne. Oczywiście są i elementy w ruchu segregacjonistów, które wytłumaczyć można podłożem klasowym. Na południu Murzyn reprezentuje tanią siłę roboczą, na północy jest konkurentem robotnika białego. Są i elementy psychologiczne: na południu biały, ubogi farmer (tzw. *red necks* — czerwone karki) albo *crackers*) ma świadomość wyższości klasowej tak długo, jak długo Murzyn zajmuje pozycję niższą. Te różnice klasowe były i przedtem, tym niemniej, może półświadomie, ale odgrywają rolę.

Dla jaśniejszego obrazu podzielić możemy przyczyny społeczne na zewnętrzne i wewnętrzne. Zewnętrznymi nazwiemy te, które nie mieszczą się w granicach Stanów. Narodziny nowych niepodległych państw murzyńskich, wzrost wpływu narodów kolorowych miał tu niewątpliwie swój wpływ i to wpływ podwójny. Pojawienie się bowiem narodów kolorowych na widowni wielkiej polityki światowej przemówiło do imaginacji mniejszości murzyńskiej w Stanach. Dało wielu poczucie dumy i mocy. Ale z drugiej strony, Stany Zjednoczone, które prowadzą wielką politykę światową w oparciu o narody kolorowe w Azji i Afryce, nie mogą tolerować w swych granicach rasizmu. Tak więc rozwój polityki światowej dostarczył mocnego argumentu i białym dziedzicom ruchów abolicjonistycznych, tzw. liberałom, którzy w Stanach — choć nie zawsze zorganizowani — mają potężny wpływ w prasie, nauce i na uniwersytetach. Sprawa równości rasowej jest bowiem nie tylko sprawą ludności kolorowej. Była ona zawsze w Stanach istotną częścią ideologii kół postępowych, zarówno na północy jak i na południu. Południowcy, którzy walczą o równouprawnienie rasowe są odważni, szczerze oddani i nie cofają się przed osobistymi trudnościami.

A teraz przejdźmy do przyczyn ,,wewnętrznych'' przyczyn społecznych. Pojawiły się nowe formy organizacyjne i ideologia, ale ideologia jest nie tylko produktem społeczeństwa. Ideologia jest także narzędziem, czynnikiem zmiany. Ideologia równości rasowej, miała i ma w tej chwili silny wydźwięk społeczny,

bo przemawia do istotnych interesów społecznych mas murzyńskich, co jej siłę jeszcze wzmacnia. Kombinacja tej ideologii z silną formą organizacyjną nadała jej charakter prawdziwej *idée force* — idei siły.

Do miast amerykańskich i do przemysłów napłynęły masy murzyńskie z południa. Mechanizacja rolnictwa wyrzuciła murzyńskiego robotnika rolnego, z plantacji południa, zaś ogromny rozwój przemysłu i wstrzymanie czy ograniczenie emigracji z Europy otworzyły ogromny rynek dla pracy nie kwalifikowanej. Przybysz z południa wzmocnił masy murzyńskie północy, zapełnił szeregi organizacyjne związków zawodowych, udzielił poparcia organizacjom antysegregacjonistycznym. Powiększył też liczbę murzyńskich wyborców, z którymi każde stronnictwo w Stanach liczyć się musi, przede wszystkim zaś tam, gdzie Murzynów od urny nie odgrodzono, lub tam, gdzie nie są oni politycznie bierni. Murzyni amerykańscy są przy tym jedyną społecznością murzyńską na świecie, która stworzyła liczną klasę inteligencji zawodowej. Murzyni amerykańscy mają więc szerokie rzesze profesorów uniwersyteckich, nauczycieli szkół średnich i powszechnych, lekarzy, adwokatów, sędziów i urzędników. Przykładowo wspomnę, że na wydziale socjologii w Brooklyn College, na jednym wydziale, mam czterech kolegów Murzynów. Nie znam uniwersytetu europejskiego jakiegokolwiek z krajów, które miały znaczne kolonie, o podobnej liczbie profesorów „kolorowych". Jak dotychczas nigdy w Europie nie napotkałem na profesora Murzyna. Na wydziale historii, uzdolniony historyk, amerykański Murzyn — jest dziekanem.

Żadna republika murzyńska ani też żaden inny kraj nie stworzyły lepszych warunków oświatowych dla społeczeństwa murzyńskiego niż Stany Zjednoczone. W roku 1940, 53,4 % młodzieży murzyńskiej liczącej od 5 do 25 lat znajdowało się w szkołach, białych było tylko o 5 % więcej tj 58,4 %. Z grubsza oszacować można liczbę Murzynów studentów kolegiów i uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych w roku 1950, na 120-180 tysięcy. W tym czasie wszystkich Murzynów w Stanach było 13 milionów. Włochy w roku 1950 miały 447 tysięcy studentów, zaś w roku 1952 Republika Federalna Niemiecka, wraz z Berlinem zachodnim 152 tysiące (wedle *World Survey of Education, UNESCO*, 1955). Przyznam, że jest niełatwo porównywać szkoły amerykańskie z europejskimi, bo system jest inny. Tym samym jest to bardzo prymitywne oszacowanie liczby studentów Murzynów.

c Nastroje

Pojawił się ponadto element trzeci, nieuchwytny — nazwijmy go nastrojem. Nastrój rewolucyjny, nastrój niepokoju, to zjawisko dziwne, które opisać niełatwo. Uchwycić je można

w zachowaniu, w wyrażeniach, nawet w spojrzeniu. Lat temu pięć czy sześć w pociągu Kolei Południowej, uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że nastroje się zmieniają. Jeździłem przez szereg lat do Virginii na wykłady. Przywykłem do bardzo spokojnego zachowania się pasażerów. Amerykanie, tak jak Anglicy, zachowują się bardzo spokojnie i z opanowaniem w kolei czy na statku. W wagonach Kolei Południowej pasażerowie zachowywali się jeszcze spokojniej niż na innych znanych mi liniach (może poza Maine-Central). A przecież tym razem posłyszałem głośną i ożywioną rozmowę między pasażerami Murzynami. Jeden z nich krytykował głośno, jakby pragnął, by i inni pasażerowie posłyszeli, działalność Związku Postępu Ludu Kolorowego, dowodził, że postęp integracji jest za wolny, że przejść trzeba do akcji bardziej dynamicznej, może bezpośredniej. Taka rozmowa w wagonie pociągu zmierzającego na południe, w Kolei Południowej — dla mnie, starego pasażera, była niezwykle znamienna. Ale pojawiły się też i inne znaki, także i na północy. W czasie semestru letniego, w Instytucie dla problemów rasowych i etnicznych, ujawnił się w dyskusji u studentów-Murzynów element nowy, którego dawniej nie zauważyłem. Studenci Murzyni są na ogół bardzo taktowni, opanowani i spokojni. Nie skarżą się na swój los na seminarium, w klasie, czy nawet przy kawie w studenckiej „kafeterii". A przecież w roku 1959 i 1960 tu i ówdzie odczuć można było skargę, czy coś w rodzaju ukrytej niecierpliwości, zahamowanej dobrym obyczajem. Niektórzy studenci, nauczyciele w jednej z lepszych szkół średnich, zapytywali jak należy postępować, by pozyskać studentów Murzynów. W szkole tej studenci Murzyni nie spotykali się z rasowymi uprzedzeniami, przeciwnie, nauczyciele czynili wysiłki, by okazać im życzliwość. A przecież, niektórzy wyczuwali jakąś ukrytą niechęć, która niekiedy ujawniała się w słowach. Również ton prasy murzyńskiej stał się bardziej agresywny. Ale stosunki między studentami białymi i kolorowymi pozostały równie, o ile nie bardziej serdeczne. Społeczeństwo murzyńskie wie także, że skuteczna walka była i jest możliwa tylko dzięki poparciu białej ludności.

10. *Biały i czarny szowinizm*

Obraz byłby niepełny gdyby nie wspomnieć elementów skrajnych, ugrupowań, które Amerykanin nazywa *fringe groups*. Ugrupowania te, w tej chwili słabe — czerpią siłę i wzmacniają się w okresie niepokojów. Są rasiści Ku-Klux-Klanu po stronie białej, ale są też i szowiniści po stronie czarnej. Na południu powstały oddziały *White Citizen Council,* które sprzeciwiają się integracji. Nie jest to jakiś ruch masowy, ani militarnie zorganizowany czy totalitarny, niemniej „Rada Białych Obywateli"

reprezentuje nieugiętą pozycję — ich celem jest utrzymanie segregacji. Wśród członków „Rady Białych Obywateli” są też robotnicy.

Istnieją murzyńskie ugrupowania rasistowskie czy nacjonalistyczne, głoszące nowe teorie, że rasa czarna jest rasą wyższą, czy też rasą ludzi dobrych, że wszelkie zło pochodzi od człowieka białego. W skrajnie nacjonalistycznych lokalach murzyńskich Murzyn — bo białego się tu nie dopuszcza — może kupować płyty gramofonowe z pieśniami propagującymi czarny szowinizm. W jednej z nich, o dobrej melodii i rytmie (słucha się tej pieśni z przyjemnością i niepokojem) powtarza się refren: „Raj białego jest piekłem czarnego”, a treścią pieśni jest opis okrucieństw człowieka białego i osiągnięć i dobroci człowieka czarnego. W radio przemawiają sympatycy czarnego nacjonalizmu, którzy nazywają białych „synami handlarzy” czy też synami „właścicieli niewolników”. Wydawnictwa czarnych nacjonalistów informują o wielkich dokonaniach rasy czarnej w dziedzinie nauki i sztuki. Dowiadujemy się więc, że pierwszą flagę wymyślili czarni — a miała ona kolor czerwony, czarny i zielony. Znajdziemy rysunek wielkiego statku i napis: „W roku 1619 statek holenderski, który zwał się Jezus, przybił do brzegu Jamestown, Virginia, i przywiózł pierwszych niewolników do Ameryki”. Czytamy, że czarny kler nakłania masy murzyńskie do bierności i cierpliwości wobec prześladowań i każe czekać na przyjście Jezusa. Edukacja Afrykańczyków, czytamy dalej, prowadzi w rezultacie do umysłowego niewolnictwa. Edukacja wytwarza umysłowych niewolników. („Black Glory in Retrospect”, New York). W tym samym wydawnictwie znajdziemy rasistowską krytykę rządu Ghany, który „zadziwia czarnych nacjonalistów: 1) tendencjami integracjonistycznymi, 2) plami honor i pamięć Garveya poprzez utworzenie linii okrętowej po społu z narodem czy ludem, który nie jest czarny” (z Izraelem). To już oczywiście argument rasistowski. Czarny rasizm, który odrzuca integrację i współpracę różnych grup rasowych.

Pojawiły się także ruchy muzułmańskie i świątynie muzułmańskie w dzielnicy murzyńskiej Nowego Jorku, czy Illinois. Niewielkie grupy Murzynów porzucają chrześcijaństwo, przechodząc na Islam. Chrześcijaństwo bowiem, głoszą, splamione jest niewolnictwem i segregacją. Chrześcijaństwo nie przyniosło, ich zdaniem, ulgi w doli murzyńskiej. Zapominają oczywiście, że niewolnictwo nadal istnieje w krajach muzułmańskich, i że jego zniesienie zawdzięczać należy wyłącznie krajom Zachodu, że ruch przeciw niewolnictwu wywodzi się z Anglii, Francji i Ameryki. Niewolnictwo zniesiono na tych obszarach właśnie, do których dotarła kultura Europy i Ameryki. Handel niewolnikami odbywa się po dziś dzień w Arabii Saudyjskiej, niewolnictwo dalej istnieje w Jemenie.

Na Morzu Karaibskim, na Jamajce, pojawił się znów ruch Rastafarów, jest to sekta polityczna, (trudno ruch ten nazwać

partią) — która ,,wierzy'' w świętość czy też nadziemskie właściwości... cesarza Etiopii. Sekty religijno-polityczne nie są zjawiskiem odosobnionym. Sekta ta reprezentuje skrajny murzyński nacjonalizm podobno garść czcicieli cesarza działa też w Harlemie.

Ruch ten dla nas ciekawy, bo pozwala spojrzeć, może i z bliska, w mechanizm tworzenia się mitu społecznego. Kiedy mój przyjaciel z Narodów Zjednoczonych zajechał niedawno do Addis Ababy, współpracownicy cesarza szybko pozdejmowali z ulic powieszonych oficerów, uczestników rebelii, którą jeden z dyplomatów porównał do rewolucji Dekabrystów. Bo i w Abisynii, w roku 1961, oficerowie chcieli obalić jeden z najbardziej absolutnych dzisiaj systemów w Afryce północnej. Mieszkańcy Nigerii, Conga czy Senegalu — pod kolonialnym zarządem Anglików, Francuzów czy Belgów — poczynili ogromne postępy w dziedzinie szkolnictwa, służby zdrowia, ekonomii. Niezależne ponoć — od 3000 lat cesarstwo afrykańskie, zajmuje jeden z najpiękniejszych i może najlepszych zakątków Afryki. Ale postępu tam niewiele. Jest to cesarstwo niemal feudalne. A przecież nikt nie krytykuje Abisynii czy Arabii Saudyjskiej — a przeciwnie — krytyka skierowana jest na narody kolonialne, które obok korzyści gospodarczych dla siebie, także Afryce coś dały. Natomiast Cesarz, stał się legendą i miłem.

Nie chodzi tu jednak o słabsze czy mocniejsze argumenty, bo w takiej walce politycznej i tak nikt nikogo nie przekona. Istotny jest mechanizm psychologiczny, który prowadzi do czarnego segregacjonizmu i szowinizmu. Rasizm czarny nie jest bowiem ulepiony z tej samej gliny co rasizm biały. Jest to rasizm ludzi odrzuconych, ludzi, którzy pragnęli kiedyś integracji, ale których znaczna część społeczeństwa białego odrzuciła, a część uważa za rasowo niższych.

Czarny nacjonalista szuka więc identyfikacji, identyfikacji swojej własnej, nie amerykańskiej. Stwarza mit społeczny Afryki — mit wielkiej i odrębnej kultury afrykańskiej. Ale i ta identyfikacja i ten mit są sztuczne — bo Murzyn amerykański jest istotną częścią narodu amerykańskiego i amerykańskiego krajobrazu, jego kultura jest częścią kultury amerykańskiej. Ludowa kultura murzyńska, powstała w niewolnictwie a potem w izolacji, jest ,,sub-kulturą'' amerykańską, tak jak góralszczyzna jest ,,sub-kulturą'' kultury polskiej. Murzyn-inteligent jest częścią inteligenckiej społeczności amerykańskiej i traci łączność z murzyńskim folklorem. Łączność amerykańskiego Murzyna-inteligenta z jazzem czy pieśnią murzyńską nie jest większa niż studenta amerykańskiego.

W tym zagadnieniu, może w tej niemożności całkowitej identyfikacji, leży duchowa tragedia Murzynów amerykańskich. Bowiem tak jak chłop polski może tylko identyfikować się z częścią polskiej tradycji i tylko część jej podziwiać — bo pańszczyzna nie jest okresem chłopskiego szczęścia — tak Murzyn

merykański nie może się utożsamiać z całą historią amerykańską, tym bardziej, że zakres identyfikacji Murzyna amerykańskiego jest jeszcze węższy, czasowo znacznie bardziej ograniczony, chociaż niemal od początku historii Ameryki odnajdujemy wolnych Murzynów.

2. *Przyszłość*

Ludność Nowego Jorku zmienia się szybko. Nowy Jork traci ludność białą, wzrasta ludność murzyńska i portorykańska. Wedle obliczeń Biura Planowania Nowego Jorku (z r. 1954) — w dziesięcioleciu 1950-1960, liczba białych mieszkańców Nowego Jorku zmniejszyła się o 750 tysięcy, Murzynów wzrosła o 350 tysięcy, a portorykańczyków o 100 tysięcy. W latach 1960-1970 przewidywany jest spadek liczby ludności białej o dalsze 650 tysięcy przy równoczesnym wzroście ludności murzyńskiej o 250 tysięcy, a portorykańskiej o dalsze 100 tysięcy. W roku 1950 — 85 procent młodzieży w wieku 5-19 lat należało w Nowym Jorku do rasy białej. Wedle obliczeń szacunkowych, stosunek ten zmieni się w roku 1970 na korzyść ludności kolorowej; tylko 60 procent dzieci i młodzieży w tych grupach należeć będzie do rasy białej.

Asymilacja ogromnej masy ludności napływowej, pochodzącej z obszaru Morza Karaibskiego, nawykłej do życia w innych warunkach, czy też nadciągającej masy ludności murzyńskiej z południa, która wieki spędziła w niewoli, nie zawsze jest sprawą łatwą, i prosta. Zagadnienie jest dwustronne — bez wysiłku ludności napływowej trudno je będzie rozwiązać.

Jakże na to reaguje ludność Nowego Jorku?

Część w spokoju uchodzi na przedmieścia i do sąsiednich stanów — a więc do Connecticut, New Jersey a nawet Massachusset. Stąd spadek mieszkańców pochodzenia białego. Także obserwuje się exodus z pewnych dzielnic Manhattanu. Ludzie przeprowadzają się do innych dzielnic.

Znaczna jednak część opinii publicznej, mimo trudności których ukryć się nie da, patrzy w przyszłość bez lęku i z optymizmem. Odpowiedź na to wielkie zagadnienie jest dziś jedna: musimy się uczyć żyć razem w dobrym sąsiedztwie, w przyjaźni. Należy badać warunki które takie współżycie ułatwiają. Pesymizmu nie ma.

Feliks GROSS

Wiersze anonima sowieckiego

NOTA TŁUMACZA

Nie są to pierwsze anonimowe wiersze sowieckich autorów, z jakimi zetknąłem się w ostatnich latach. Tyle, że na przykład krążące w odpisach „Stichi maskowskawo studienta" pochodzą z innego, wcześniejszego okresu, pisane były tuż po wojnie i w pełnym nasileniu stalinowskiej reakcji. Niektóre z zaprezentowanych tu utworów zaopatrzone są w daty, co do innych wolno jedynie domyślać się, że powstały mniej więcej w tym samym czasie, w każdym razie nie wcześniej, niż w pięcioleciu 1950-55.

Były to lata ze wszech miar znamienne. Całkowite zamrożenie życia literackiego, potem gwałtowny wstrząs, spowodowany śmiercią Stalina i gorszącą walką o władzę, wreszcie brutalna likwidacja obudzonych nadziei i rozpacz rozczarowania. Na swój własny, indywidualny sposób Anonim wiernie oddaje nastroje ogólne na tych trzech etapach. Wartość dokumentarna jego utworów jest niewątpliwa.

A co z wartością poetycką? Już w pierwszym zetknięciu się odniosłem wrażenie, że Anonim łatwiej wypowiedziałby się w prozie, że jego warsztat wierszopisarski jest dość nieporadny, że pomysły, niekiedy świetne, rzadko uzyskują kształt adekwatny. Niechlujność i prymitywność formalna, wspólne olbrzymiej większości poetów sowieckich, pośpiech, byle jakie rymy i asonanse, prozaizmy. W kraju, gdzie tak niewybrednie rymowana gawęda społeczno-polityczna, jak „Za dalą dal" Aleksandra Twardowskiego, otrzymuje najwyższe wyróżnienie literackie, nikogo to zadziwić nie powinno.

Tu i ówdzie jednak spotykamy doskonałe zwroty, otwiera się autentyczne wnętrze liryczne, błyska oryginalna, twórcza metafora. Ale nawet mając w ręku grudkę złotej rudy, Anonim ledwie obłupuje ją po wierzchu, nie szlifuje, nie wygładza, nie dociera do środka, najlepsze pomysły puszczając luzem („Kiedy

rozę rosyjską do łagrów wpędzono...", „Jak powstają wiersze"). Często dochodzi do głosu namiętna satyra i to, zdaje się, ryłby najwłaściwszy kierunek autora („Złe psy").

Przekładając te chropowate utwory, mimowoli myślałem o rozie Abrama Terca, którego dwa tomy ukazały się w „Biblio-ece Kultury*". Bo i pewne zbieżności tematyczne i sporo wspólnych chwytów stylistycznych i ten sam brak umiaru, świadczącego o pełni dojrzałości artystycznej. Wiersze o Żydach, a właszcza „Ballada", „Choroba" i „Klucz" przypominają Ter- i najbardziej.*

Nie insynuuję, że kilkanaście przełożonych wierszy wyszło pod pióra autora „Sąd idzie" i „Opowieści fantastycznych", twierdzam jedynie pewne analogie. Wiadomo dobrze, że nie wszyscy autorzy sowieccy, piszący w literackim podziemiu, chozą samopas. Inaczej było w okresie największego terroru stanowskiego, gdy paniczny strach sprawiał, że katakumby piarskie składały się z szeregu indywidualnych, nie komunikujących się ze sobą piwnic. Dziś istnieją już drobne grupy ludzi, tórzy przez sam fakt osobistego kontaktu muszą wywierać na ebie wzajemny wpływ. Można więc zaryzykować przypuszzenie, że wiersze poniższe wyszły z tego samego kręgu, w tórym obraca się człowiek, piszący pod pseudonimem Abrama 'erca.

Przekłady są możliwie wierne, aczkolwiek chwilami nie dość obrze oddające podkreśloną już kanciastość i chropowatość ryginału. To zrozumiałe. Tłumaczowi o wiele łatwiej podstaić się pod banalnie wygładzony styl, niż pod niedbający o porawność prymityw.

Szczerość Anonima jest bezsporna. Ktoś swego czasu podał wątpliwość sowieckie pochodzenie pism Abrama Terca, być oże więc zechce również zekwestionować i te wiersze, traktuc je jako apokryfy. Ale ich gorzki i namiętny autentyzm nie bawia się tego rodzaju podejrzeń. Fałszerze działają na zimno. ikt z pisarzy rosyjskich, przebywających od dawna poza Roą, nie byłby w stanie podrobić takich utworów. Więc też i okumentarnej ich wagi przekreślić ani zlekceważyć nie poobna.

Wiersze te kursują w niezliczonych odpisach po Związku owieckim. Szereg tych odpisów dotarło na Zachód, m.in. do nas.

J. Ł.



Wierzyłem wszystkim hasłom i za nimi
milczący-m szedł i aż do końca słuchał,
kiedy na stos swój wstępowały — w imię
ojca i syna i świętego ducha.

A jeśli w proch się rozsypała skała
i niema przepaść nam przecięła drogę,
jeśli nieszczęście i pomyłka mała,
trudno — ich winy wyprzeć się nie mogę!

1954

* * *

Wspomnienie na ćwiartkę strony
w cztery linijki wyrasta.
...Był, zdaje się, waszym znajomym,
z bardzo dziwnego był ciasta;
toż pamiętacie go pewnie,
wyście w nim mieli druha...
Pisarze mrugają rzewnie,
gładząc się czule po brzuchach.
Wzrok wspominają błyszczący
spod rozwichrzonej czupryny,
hulanki w noce gorące
i zachwyt tych chwil jedynych,
gdy każde słowo — jak atak
i wiersz wybuchał, jak mina...
a ja przekonywam, gadam,
w czterech linijkach wspominam.



Pisarze już wyszli na świecznik,
ty — w zapomnieniu i ciszy.
W grobie niż w druku bezpieczniej,
tyś czystszy od nas i wyższy.
Nic z ciebie, bracie, nie wyszło,
trawą i piachem cię zżarło.
Jak pies skowyczę i wyję
nad twoją głową umarłą.

1955

* * *

Kiedy prozę rosyjską do łagrów wpędzono,
walić las toporami, lub ziemi pruć łono,
kto sprytniejszy lekarzem się stał, lub szoferem,
lub śpiewakiem, aktorem, fryzjerem.

Każdy fach swój zapomniał od razu, bo mus!
Kogóż proza w nieszczęściu podeprze?
Nurt poezji porywał, kołysał i niósł
wątłe wióry, rozwiane na wietrze.

Przed porannym apelem,
ledwie zbudzi się świt,
układaliście wiersze na pryczach;
wynędzniałym i głodnym poezji tej rytm
w ciężkich marszach zamieniał się w zwyczaj.

Cały barak
się starał,
aby swego coś dać,
szeptał rymy i wciskał do zwrotek.
Albo władzy urągał i wierszem klął w mać,
lub rozlewał się w rzewną tęsknotę.

Z stuku łopat miarowy wyłaniał się jamb,
rytm rąbany, jak węgiel w kopalni.
Nie inaczej na froncie, gdy rodził go sam
krok żołnierzy — łoskotem chóralnym.

I za trochej bandyta cukrem płacił wam znów,
żeby pieśń brzmiała słodziej i rzewniej,
żeby trwała tak długo jak szmer nocnych słów,
od Pieczory i Leny rozlewniej.

1951

„JAK POWSTAJĄ WIERSZE"

Wiersz — jak żołnierz. Lecz nie! — jak politruk, ze schronu
co nadbiega, pokonując strach,
by oderwać od rąk, od dwóch rąk odmrożonych
wszystką ziemię. Wszystką glinę i piach.

Wiersz już wstał, ale słowa-żołnierze pokotem,
jak zalegly, tak powstać nie mogą.
Wspominają swe żony, chudobę i płoty...
On już wstał, a dokoła — nikogo.
Więc politruk... Nie — wiersz! — już się rzuca na słowa,
już z naganem na ku ziemi przykutych,
bije słowa kolbą po głowach,
ciężko kopie po nogach butem.

Już się słowa ze słownych okopów zrywają,
wypełzają ze wszystkich słowników
i za wierszem już biegną i w biegu śpiewają,
w matkę klną, zachrypnięte od krzyku.
I padają (......)), padają na wznak,*
umierają cicho i spokojnie.
Tak kompanię do natarcia podrywam
i tak
wiersz powstaje, jak atak na wojnie!

ŚMIERĆ STALINA

Człowiek wyszedł z domu w dniu dzisiejszym,
najwcześniejszej porannej godziny,
a powraca całkowicie inny,
zasmucony i znacznie mądrzejszy.

Czyta dziennik, rozklejony na słupie,
i ze wstydu, czytając, się mieni,
czuje się coraz głupiej,
nie on sam —
zawstydza go dziennik.

Chciałby kogoś za krtań garścią schwytać,
bić i dusić łgarza i łajdaka,
i nie szczędzić najostrzejszych pytań,
łzy ocierać, znów pytać i płakać.

Idzie człowiek, idzie ulicą
i w kałużach buty zmywa z pyłu;
zapisuje mu mandat milicjant —
bo dla niego nic się nie zmieniło.

1952

***

Wszyscy pod boga opieką,
od boga tak niedaleko.

Gdy wchodził na mauzoleum
popatrzeć w źrenice dziejom,
silniejszy, bardziej surowy

*) Słowo przekreślone w rękopisie.

był od starego Jehowy,
którego strącił w przepaść,
zniszczył, przepalił na kamień,
a potem wrócił do nieba
i wziął go na utrzymanie.

Wszyscy pod boga opieką,
od boga tak niedaleko.

Przechodzę kiedyś Arbatem,
przejechał bóg w autach pięciu.
Od strachu niemal garbata,
na wszystkie strony się kręcąc,
eskorta trzęsła się przy nim.
Zamglony poranek dymił —
późny i wczesny, a smutny;
bóg spojrzał wzrokiem okrutnym,
obejmującym wszystko,
wszechwładną, mądrą powieką...

Wszyscy pod boga opieką,
do boga zupełnie blisko.

***

Konie jedzą owies i siano.
Nie! Nieprawda! Kłamstwo! Propaganda!
Wszystko propaganda! Cały świat — propaganda!



Dzisiaj już w nic nie wierzę.
Oczom — nie wierzę.
Uszom — nie wierzę.
Pomacam — wtedy, być może, uwierzę, że bez oszukaństwa.

Przypominam posępnych Niemców,
smutnych jeńców z 45-go roku,
stojących na badaniu w postawie na baczność.
Pytam ich — odpowiadają.
— Wierzycie Hitlerowi? — Nie, nie wierzę.
— Wierzycie Goeringowi? — Nie, nie wierzę.
— Wierzycie Goebbelsowi? — To propaganda!
— A mnie wierzycie? — Chwila milczenia.

— Panie komisarzu, wam też nie wierzę.
Wszystko propaganda! Cały świat — propaganda!

Cztery sylaby — pro-pa-gan-da
huczą w mych uszach, po dziś.
Wszystko propaganda! Cały świat — propaganda!
Gdybym zamienił się w dziecko,
znowu wrócił do powszechnej szkoły
i gdyby mi powiedziano:
Wołga wpada do morza Kaspijskiego! —
uwierzyłbym, naturalnie, lecz przedtem
poszukałbym owej Wołgi,
spłynąłbym nią wraz z prądem ku morzu,
obmyłbym się jej wodą mętnawą
i może wtedy dopiero bym rzeczywiście uwierzył.



Konie, jedzą owies i siano.
Fałsz! W zimie, w 48-ym roku,
mieszkałem na chudej jak tyka Ukrainie.
Konie najpierw jadły słomę,
potem nędzne słomiane strzechy,
a potem je pędzono do Charkowa na śmierć.
Widziałem je własnymi oczami,
jak — poważne i surowe — błądziły
bez pośpiechu po śmiertelnym majdanie.
Chodziły, potem długo stały
i padały i długo leżały,
nie od razu konie umierały...

ŻYDZI

I

Żydzi nie orzą, nie sieją,
Żydzi w sklepikach handlują,
Żydzi najwcześniej łysieją,
Żydzi najwięcej rabują.

W złej wychowani wierze,
Żydzi — najgorsi żołnierze:
Iwan w okopach wojuje,
Abram na tyłach handluje.

Od lat najmłodszych te słowa
słyszę i tak mi się widzi:
nigdzie nie zdołam się schować
przed krzykiem — „Przeklęci Żydzi!"

Nie handlowałem ni razu,
na cudze nie byłem łasy,
a muszę nieść jak zarazę
to piętno przeklętej rasy.

Wróg mnie swą kulą ominął,
by nie skreślono z pamięci:
„Żydzi na wojnie nie giną!
Wszyscy wrócili nietknięci!"

II

Nam, Żydom, świetny wypadł los!
Fałszywy sztandar zdarłszy śmiało,
bez maski zło w nas biło wprost
i dobra już nie udawało.

Zanim się zaczął pierwszy spór
w krainie uroczyście głuchej,
już stał się nasz ostatni mur
punktem wytrwania i otuchy.



Nad falami, nad morzami
wicher się unosi,
lecz falami, a nie nami
szarpie i tarmosi.
Ciągle grozi: raz wywyższę,
raz poniżę falę.
Wszystko doskonale słyszę,
widzę doskonale.
Wywyższenie, poniżenie...
Wicher niełaskawy.
Patrzę już bez rozdrażnienia
na te wszystkie sprawy.
Wszak bywało znacznie gorzej,
lecz po każdym fakcie
tylko bajor przy bajorze

na szerokim trakcie.
Ale czemu w tym zamęcie
żar osikę opadł,
że zajęła się goręcej
niż naftowa ropa?
Żadnej racji jej nie dałem,
próżno mnie wołała,
toż nikomu nie sprzedałem
duszy ani ciała.
Lecą liście jak płomienie,
wicher niełaskawy...
Patrzę już bez rozdrażnienia
na te wszystkie sprawy.

BALLADA

Doba miała dwie godziny — nie więcej
lecz to były godziny sprawiedliwe.
Ból go coraz to obalał,
w męce,
żeby pisać, z łoża się podrywał.
Dłoni swych okaleczałe kłody
zaciskając w pięści, niby w kleszcze,
brał ołówek,
jak się chwyta oddech,
jeszcze wiersz, jeszcze jeden i jeszcze.

Nigdy się tak dobrze nie pisało,
jak dnia tego, gdy zbolałe ciało
ledwie żyło,
w tej konania chwili.
Wydawało się:
dwie zwrotki zostały,
aby w nieśmiertelność się wychylić.
Gniewnie i cierpliwie się wpatrując
w spieszącego się zegara owal,
jak żelazo na stal się hartuje,
najpiękniejszą balladę hartował.

W pokoiku swego cztery ściany,
skąd najszersza Moskwy panorama,
wpędził wrogów dwóch nieprzejednanych,
strutych nienawiścią taką samą.
Wszystko zużył, tak celując słowem,

by pozory różnic porozwalać,
do polityki przymusić jednakowej —
tą najlepszą, najmocniejszą z ballad.
Takie wściekłe im tempo narzucił,
by zatrzymać się nie mogli w biegu;
ciskał w nich minutę po minucie —
każda ponad
siedemdziesiąt
sekund.
Jak samolot
huczał wiersz na starcie,
motor drżał, jak wstrzymywany płacz.
Wydał rozkaz obydwu: „Latajcie!"
A sam sobie szepnął: „Patrz!"

CHOROBA

Wczesna starość, starość przedwczesna,
w ciągłych klęskach sterane życie.
Zmęczenie i trwoga i niesmak,
a wszystko jak drżące odbicie
twarzy
w szarej, mętnej kałuży,
w brudnej wodzie, spuszczonej z wanny.
Każdy dźwięk samego siebie głuszy,
wszystkie barwy jak mroczne łachmany.
Kurze skrzydła flaczeją, więdną,
u bezsilnych zwisają ramion.
Role, którem grał — drugorzędne. —
zjawiają się znowu i mamią.
I już wszystko mi teraz jedno
i słyszę: włosy także więdną,
zastygają w siwiznę biedną.
Wykończyłem się! Jestem jak miasto,
otwarte wrogom na ścieżaj.
Byłem niegdyś dumny, kanciasty,
byłem ludu swego żołnierzem.
Na kanapie leżę wygodnie.
Do szpitala chodzę na odmę.
Najpierw — rozkazy dawali.
Potem — ordery dawali.
Wszystko jak dłonią przykryte
bólem głowy — ciężarem grobu.
Strzaskane moje koryto —

siedzę przy nim, sam jeden ze sobą.
I tak me życie wypadło
na półmetku.
Wiek powodzenia.
Wszystko jedno! Wszystko do diabła!
Pluć na wszystko! Nic się nie zmienia!

Ze schodów schodzić nie umiem,
zasłaniam światło niemiłe.
W pokoju ciemnym, jak w trumnie,
łóżko i stół postawiłem.
Odwiedzają mieszkanie nasze
jakieś damulki z półświatka,
a ja komponuję kaszę —
wychodzi postna i rzadka —;
a ja nie czytuję gazet,
książki w połowie odkładam.
I pluję na wszystko razem.
Nieważne! Daremna rada!

KLUCZ

Miałem pokój z osobnym wejściem.
Byłem sam, w kawalerce żem mieszkał.
Gdy znajomy prosił o klucz, mówiłem: „Weźcie!"
Nie robiłem najmniejszych przeszkód.

Każdy kolega miał teściową i żonę,
podobne do siebie kubek w kubek,
zawsze takie same, jak deszcz monotonne,
nazbyt chude, lub zanadto grube.

Co rok starsze, brzydsze, bardziej szare,
synów i córki rodziły po kolei;
zamieniały się w symbol ciężarów,
w monumenty deficytów i kolejek.

Każdy z mych kolegów kochał swoją żonę,
mówili mi coraz częściej:
— Czemu się nie żenisz? Ech, nieopierzony!
Czy ty wiesz, co to rodzinne szczęście?

Żaden z mych kolegów nie kochał swej żony;
woleli dziewczęta z pięknymi oczami,

w które, skoroś raz zagłębiony,
spadasz, spadasz, jak rzucony kamień!

Byłem dyskretny — takie już zwyczaje moje —,
nie czyniłem żadnych głupich pytań,
po prostu dawałem im klucz od pokoju —
prosili, dawałem i — kwita!



Kobietom daj na tej ziemi
najwięcej szczęścia, Boże!
Lepiej już nam odejmij,
bylebyś im pomnożył.

Tego, co my znosimy,
nie zniosą, udręk bez miary;
więc łzy w ich oczach zatrzymaj —
w zielonych, ciemnych, szarych.

Daj radość dziewczęcej rzeszy
i narzeczonych zacnych
niech znajdą. — Bo samym, gdzież im! —
A Tobie... Tyś wszechmocny!

Czyż się nie wstydzisz, Boże,
gdy dziewczynisko płacze?
I czyż te łzy, o, Boże,
dla Ciebie nic nie znaczą?

Zamartwią się w swym bólu,
nic łzom ich nie pomoże.
Poratuj więc i ulecz,
bądź ludzkim, Panie Boże!

ZŁE PSY

Złe psy pilnują willi.
Spasione jak cielęta.
Aż do tej chwili
ta rzecz jest nierozstrzygnięta.

Złe psy sprawują spokojnie
wartę przed pięknym domem,
przewrotom, wstrząsom i wojnie
wejście surowo wzbronione;
luksus, bezpieczna wygoda,
niefrasobliwy gospodarz
słucha szczekania,
smaczną herbatę pochłania.

Nie pije, pochłania właśnie,
smakuje wonną herbatę,
a jednocześnie wyjaśnia
ludziom, pastwiskom i chatom,
że się zasłużył przed krajem,
że to za pracę
wille rozdają.

Zasłużył się, kombinator,
kumoter szydzący z ludzi,
on zapracował, a za to
jam nigdy rąk nie utrudził?!
Siedziałem za zapieckiem?
Włóczyłem się nieustannie?
Kiedyż w ojczyźnie sowieckiej
willę zbudują i dla mnie?

Pejzażem się nie zachwycę:
strumieniem, lasem, łąkami —,
ani wywieszę tablicę,
ostrzegającą przed psami.
Jodły zielone,
grzyby solone
nie dla mnie są oczywiście.
Czuwajcie, psy rozwścieczone,
śmiało mnie szarpcie i gryźcie!

***

Proszę o płaszcz, bez numerka,
widocznie, gdzieś go zgubiłem,
widocznie, nie wziąłem w ogóle,
proszę, bo inni zabiorą.
Proszę o płaszcz, bo ktokolwiek

gotów bezczelnie oszukać,
znajdzie numerek gdziekolwiek,
weźmie, a potem go szukaj.

A jak wygląda ten płaszcz?
Ten? Wasz? Czy tamten wasz?
Ach, nie! To dla elegantów —
Z wełny! Z weluru! Z szewiotu!
Mój płaszcz — cały w twardych kantach,
służy już roczek dziewiąty.
A kolor?
Kolor brązowy,
z sukna. A sukno jakie?!
O, nie do zdarcia, wojskowe,
na całe życie z hakiem.

Czy nie o odcieniu mysim?
Czy ten, co na ścianie wisi?
Cóż znowu! A to mi zaszczyt!
Proszę o płaszcz oficera.
Zwyczajnych żołnierskich płaszczy
nigdy! — Ni dawniej, ni teraz!
Bo mój jest płaszcz oficerski,
z sukna,
zaś kolor węgierski,
brązowy kolor, jak gwasz!
Taki to jest ten mój płaszcz!

Ech, co tu gadać z pijanym!
Bierzcie stąd wasze łachmany!

***

Coś nowego na świecie, coś więcej...
Pieśni pragną nasi rówieśni!
Wyciągają się ku strunom ręce,
nieciekawy jest świat bez pieśni!
Wilgoć wiosny i wiatr nad nami...
I jak dawno zetlały pergamin
zeszłoroczne czernią się trawy.
Ludziom znowu przyśniły się pieśni,
chcą zabawy!

Idę, idę i światem przechodzę,
ten instrument chcę znaleźć po drodze,
ową lirę, czy jak zwie się teraz,
aby dłońmi drżącymi jej dotknąć,
aby poznać natchnioną samotność.
Szum jak przypływ przybiera...
Miasta, piachy idące ku skałom...
Ludziom pieśni się znowu zachciało.
Oto one
te struny —
czy z żeliwa, czy z miedzi instrument? —,
jak przewody telefoniczne,
każda struna cieniutko się wiąże
— Trąć mnie! — każda uprasza ślicznie,
alem trącić jeszcze nie zdążył —,
słyszę —
szum przygłuszany,
jakby gdzieś, wśród mglistych tumanów,
za napiętą membraną,
wstawał rab, w łachmany odziany,
trędowaty leczył swe rany,
wyszedł z grobu bez winy skazany,
i że ożył, sprawy sobie nie zdaje:
— To ja jestem — powiada —, tom ja jest...!

Każde drzewo w liść się rozzielenia
i szczecina w pędzle się zamienia,
pęka płótno, jakby je kto rozciął,
nie ma więcej brudu, ni pleśni.

Życie znów jest twórczością,
ludziom znowu zachciewa się pieśni!

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI

artofla

I

Mija właśnie 25-ta rocznica śmierci Wiesława. A ja w mię-
czasie powoli dorobiłem się. Pracuję zawodowo w małej fa-
czce obrabiarek pod Londynem. Wakacje już od kilku lat spę-
m na południu Francji, myślę o kupnie domu. Mam pełne
fanie szefa, który obiecał mi w przyszłym roku znaczną pod-
żkę. Teraz więc bardziej niż dotychczas zacząłem odczuwać po-
ebę odwiedzenia ostatniego miejsca spoczynku mojego brata,
rego losem Pan Bóg tak tragicznie pokierował. Spencer spy-
mnie przy piwie dokąd się w tym roku tak wcześnie wybie-
n. Odpowiedziałem, że na narty do Bawarii. Był tam z żoną
ka lat temu i to dało mu teraz okazję do rzewnego wspomina-
Faschingu i wybitnych zalet Maibocku.

Według przewodnika interesująca mnie miejscowość przed-
viała się reprezentacyjnie:

MURNAU: 2249 stóp nad poziomem morza. 5600 mieszkań-
. Uzdrowisko położone nad Staffelsee. Stara dzielnica bogata
historię; artystyczne malowidła na ścianach domów są bardzo
rakterystyczne. Ratusz. Stary zamek. Teatr chłopski. Sporty
dne.

Nazajutrz zamówiłem u Cooka bilet Victoria-Monachium.
brałem drogę przez Francję.

W przeddzień wyjazdu Spencer zaprosił mnie na obiad do
re & Hounds, *Beef i yorkshire pudding* popijany jasnym duń-
n bardzo mi smakował. Spencer żalił się jednak cały czas na

kurczące się eksporty do Ameryki Południowej. *My dear Ski*
mówił z pełnym przekonaniem w głosie, ci Niemcy nas wykończą
zanim zdążymy się przebudzić z tej piekielnej apatii. Mój agen
w Caracas jest do bani, ani rząd ani bank nie da mi pożyczki n
inwestycje, robotnicy, jak sam dobrze wiesz, strajkują co drug
dzień, dla samego już chyba sportu. Co ja mam robić? Trzymam
się oczywiście, co się nie sprzeda Brazylijczykom, można opyli
Australianom lub jakimś ciemnym w Afryce, ale to długo ni
potrwa — i tam nas Niemce wywęszą. To jest naród!

— Amerykanie im pomagają — wtrąciłem nieśmiało. Poz
tym harują jak woły, ale pozbawił ich Stwórca humoru: wol
trzymać z wami!

Spencer nie zainteresował się jednak bliżej moim kompl
mentem i gadałby chyba o wiele dłużej, gdybym mu nie przyp
mniał, że ze względu na dyscyplinę pracy, przerwy obiadowej ni
należy zbytnio przeciągać. W drodze do warsztatów opowiad
mi jeszcze o sprawności Afrika Korps.

Pociąg odchodził po południu. Rano spakowałem neseser z
świńskiej skóry i zamówiłem worek kartofli u Garmonsway
Sons Ltd. Potato Merchants. W autobusie i kolejce podmiejski
miałem z nim trochę kłopotu, bo przeliczyłem się z własnym
siłami, ale nie mogłem się już wycofać z powziętej decyzji.
Victorii wyruszyliśmy punktualnie o 4.30. Z dworca na mol
przy którym przycumowany był statek, miałem kawał drogi. Ka
tofle dokuczały niesamowicie, pocieszałem się jednak, że to prz
cież dla Wiesława. Na komorze celnej urzędnicy przyglądali n
się z wielkim zainteresowaniem, ale żaden nic nie powiedział.

Bagaż zdeponowałem na pokładzie pod ławką i poszedłe
do baru, gdzie wdrinknąłem dwa skocze. Nawiązałem przy okaz
rozmówkę z dyrektorem londyńskiego domu mód w drodze d
Paryża. Uskarżał się na mgłę wokół Orly, która zmusiła go d
podróżowania w towarzystwie różnego tałatajstwa i zuchwał
swołoczy. Pocieszałem go, że przecież to nie potrwa długo: la
chwila będziemy w Boulogne. Tymczasem usiedliśmy w kąci
a Harry Parks zaczął mi pół szeptem opowiadać pikantne ska
daliki implikujące *entourage* de Gaulle'a. To go wprawiło w d
bry humor i zapomniał zupełnie, że znajduje się na statku pełny
porykującego bydła. Czułem się zaszczycony jego koleżeńskośc
i po jakimś czasie zdobyłem się na odwagę i zafundowałem m
małe piwo, które też on, nie okazując zbytniej niechęci, przyjął

Zbliżaliśmy się do przystani, więc przeprosiłem Parksa, m
wiąc, że muszę uaktywnić bagaż. Ofiarował mi pomoc — sa
podróżował tylko z torbą podręczną — z której ja, ze zbyt oste
tacyjną może determinacją, zrezygnowałem. Żywiłem oczywiśc
nadzieję, że się już nie zobaczymy, lecz pech chciał, że spotkal

y się znów na komorze celnej. W pierwszej chwili nie zauważył nie i już miał odejść, unosząc swój krzyżem kredowym zeszpe- ny tobołek, gdy horpyna za ladą zwróciła się do mnie tonem ebywale opryskliwym:

— *Mais que c'est qu'il y a dans ce sac?*

— *Pom-pom de terre* — wykrztusiłem, wyskrobując z siebie sztki zardzewiałej francuszczyzny.

Baba zarechotała, wysunęła łapsko i pomacała wór. Popatrzy- na mnie chwilę, znów zarechotała, postawiła krzyżyk i ryk- ła:

— *Allez, allez, vite!*

Złapałem kurczowo wór (skórzaną świnię ciągnął tragarz, cz wora za żadne skarby nie chciał tknąć) i ruszyłem szybko wyjściu. Po drodze rozpoznałem przerażoną twarz Parksa, a y odwróciłem się w drzwiach, zauważyłem jak sprężystym kro- em zmierzał do budki telefonicznej.

Pociąg paryski stał obok naszego, więc co prędzej wyszuka- n sobie dziuplę i zaszyłem się w niej, ufając, że pozostanę nie- strzeżony przez Parksa aż do odejścia pociągu. Wnet zasnąłem.

O świcie obudziły mnie strzały. Okazało się, że byliśmy na anicy niemieckiej. Rewidowano bagaż i sprawdzano paszporty. mojego przedziału weszło właśnie dwóch strażników granicz- ch. Zainteresowali się oczywiście workiem, który kazali ściąg- ć z bagażnika i odplombować. Zajrzeli do środka i zasalutowali:

— *Alles ist in Ordnung,* Mr Fortescue, *danke schön.*

Skorzystałem z okazji, by ich zapytać, co to były za strzały. osły blondyn przybrał ton służbowy:

— Rozstrzelaliśmy trzech przemytników polskich. Tego ańtwa nikt nigdy nie nauczy porządku i odpowiedzialności ołecznej.

— Jak to, tak od razu? Nie myjecie ich przedtem?

— O nie, czasu nie ma.

— To ciekawe.

— Żywimy niezdolnych do pracy ale prawie co noc musimy zelać jak do królików. Wschód i komunizm, *yours truly,* Sir rtescue!

— *Sieg heil!* — odkrzyknąłem dziarsko i zakryłem się powrotem płaszczem, gdyż mimo ogrzewania w przedziale było łodno od tego ciągłego otwierania drzwi.

Po godzinnej drzemce poszedłem się trochę ogarnąć. Opu- liśmy właśnie Ulm i lecieliśmy na pełnych obrotach do Augsbur- , wagon trząsł niemiłosiernie, nie mogłem trafić do pissuaru i ka razy zaciąłem się przy goleniu.

W jadalnym zamówiłem angielskie śniadanie. Podali *le lon frappé, le délice de sole américaine* i *la poire comice hava-*

naise: byłem pod wrażeniem wyśmienitej obsługi, więc rozdałem DM 5. — w napiwkach. Kiedy wstałem od stolika, kłaniano się i szeptano: *thank you so much,* Lord Fortescue. Przyznać muszę, że byłem zażenowany — takie demonstracje są stanowczo w złym smaku

W przedziale zabrałem się do studiowania gazety porannej porzuconej przez jakiegoś towarzysza podróży: sprawa Berlina, uciekinierzy z NRD, zwiększenie produkcji w zakładach VW, strajk w Siemens AG, rozwiązłość seksualna młodego pokolenia, przygotowania do festiwalu w Bayreuth. Pilnie przestudiowałem zapowiedzi atrakcji w nocnych lokalach, gdyż obiecywałem sobie mile spędzić wieczór w Monachium, choć orientowałem się, że takie zachowanie nie jest chyba w duchu przedsięwziętej przeze mnie pielgrzymki.

II

Gdy wjeżdżaliśmy na dworzec główny w Monachium ranek zimowy był kruchy jak świeżo otworzona paczka kornflejksów. Z pewnym zdziwieniem zauważyłem na naszym peronie orkiestrę strażacką.

I właśnie w chwili gdy wysiadam z wagonu, podchodzi do mnie elegancki otyły pan i pyta czystą polszczyzną:

— Pan Turowski...?

— Yes... tak!

— Strasznie mi miło... Witamy Pana w imieniu burmistrza i Rady Miejskiej stołecznego miasta München.

Dał znak kapeli, która, jak sobie właśnie uprzytomniłem, stała tuż za mną. Nieznajomy informuje mnie dalej zniżając głos:

— To na Pańską cześć, a właściwie na cześć Pańskiego ś.p. Brata. Orkiestra zagra Marsz Żałobny Fryderyka Chopina.

Schylamy głowy. Dźwięki orkiestry wybijają się ponad łoskot wekslowanych wagonów i zapowiedzi z biura zawiadowcy stacji.

III

Po chwili znów ktoś puka. Wchodzi staruszka opatulona w chusty i szale.

— Niech będzie pochwalony — mówi.

— Pochwalony — odpowiadam.

— Wybaczcie Paniczu, że ja Was tak prywatnie nachodzę, .e wszyscy Swoi tu o Was już wiedzą, więc mnie wydelegowali, y Was powitać i słowa współczucia wyrazić z powodu śmierci Vaszego brata, któren od Niemca zabit. Boże, zlituj się.

— Barko Przymierza, Wieżo z kości słoniowej — odpowia-am i dalej jej z całego serca dziękuję. A ona już się w fotelu ɔzsiadła i bystrym okiem luksusowy pokój w Vierjahreszeiten ada. Lustruje też w milczeniu mój rozpakowany bagaż, aż wzrok ej na worek pada. Spojrzy na mnie pytająco i zanim zdołam dpowiedzieć, wykrzyknie:

— To w tej Anglei wciąż taka bieda! Jeśli Wam jeszcze iemniaków trzeba, to ja się Wam o nie po bardzo niskiej cenie ystaram.

Ja znów jej z całego serca dziękuję i mówię, że to dla brata. 'ytam się też, jak im się wśród Niemiaszków wiedzie. Ona na ɔ, że bezbożny naród, że jej Syna na Starówce granatem rozer-vali, ale że się przyzwyczaiła, a w Anglei to wszystko ciągle na artki.

Telefon portiera oznajmia nowego gościa, więc dzielimy się zybko opłatkiem i daję jej na drogę dwa kartofle, by na plebanię aniosła lub wśród dzieci rozdała.

Babuleńka wychodzi, wchodzi Dürkopp, ten przedstawiciel ady Miejskiej, który mnie witał na dworcu. Przypomina mi, e jest dopiero wczesne popołudnie i że mam czas wolny aż do rieczora. Koncert kameralny w Residenz o 19.30, potem *tournée* o Schwabingu, potem kolacyjka w ekskluzywnym lokalu. Dziew-zęta występujące w *tableau parisienne* są naprawdę bezkonku-encyjne. Rano o 10.00 wycieczka do Schloss....

Tu mu przerywam i przypominam, że przyjechałem złożyć ołd pamięci mego Brata.

— Z workiem kartofli?

— Cóż w tym złego?

— Dość osobliwe.

— Niecodzienna śmierć.

— Jaka?

— Zastrzelony podczas próby ucieczki.

— Bywały dziwniejsze wypadki. Na przykład w Dachau.

— Tak czy inaczej: śmierć.

— Więc dlaczego ziemniaki?

— Kolumbowy dar zza morza.

— Hm. Mnie w Warszawie syna w benzynie spalili. Opo-viadano mi, że nie od razu umarł.

— Pan powiedział, że blondynki?

— Mogą być blondynki.

— Dobrze się prowadzą?

— Wspaniale.
— Dziękuję wam, Herr Dürkopp.
— Ja Panu dziękuję.

IV

Minęło 20 minut od wyjścia Dürkoppa, ale wolę nie ryzykować. Wychodzę bocznymi drzwiami i każę się wieść na dworzec. Pospieszny na południe odchodzi o 3.17. Łapię go w ostatniej chwili, wór wciągam już w biegu. Po antrakcie podmiejskich dzielnic i brązowych zimowych gajów wydostajemy się nad Starnbergersee. Stalowa tafla wśród świerków, kresów jej okiem nie sięgniesz. Oto po ciężkich chwilach przedzierania się przez igliwo lasów, podszycia pokrzyw, gęstwiny borówek, trzęsawiska i dżungle zadrutowanych, zabarykadowanych ulic, nagle — thalassa! thalassa! Śpiew wiatrów szmer fal!

Jezioro znów przesłoniły pagórki i kępki drzew. Teraz stukot kół na zwrotnicach, budki dróżników i wreszcie niska platforma z gotyckimi szyldami: „Murnau". Stacyjka niezbyt imponująca, szara i obdrapana. Wagony towarowe na bocznicach i czubate góry węgla.

Ściągam wór na ziemię, a potem sięgam po neseserek. Trzymam go kurczowo w lewej ręce, prawą ciągnę wór ku drzwiom. W tej chwili pociąg, który od kilku już minut zwalniał bieg, staje ze zgrzytem. Rzuca mnie na ławkę po prawej stronie i wór wyślizguje mi się z ręki. Mając rękę wolną, naciskam klamkę, która jednak zacięła się! Tracę cierpliwość. Zamiast iść do następnego przedziału, mocuję się z zamkiem, wreszcie opuszczam szybę, by spróbować od zewnątrz lub ewentualnie zawołać tragarza. Chłodne powietrze orzeźwiająco przecina twarz. Klamka z zewnątrz jest równie krnąbrna. Tragarzy nie widać, ale pod gankiem stoi zawiadowca stacji z dziecinnym semaforem w ręku. Staram się zwrócić jego uwagę, lecz on odwraca się i daje znak motorniczemu. Ruszamy. Oblewa mnie zimny pot, chwytam za worek i z wielkim trudem podciągam go na wysokość otwartego okna. Mój wagon jest jednym z ostatnich, więc dopiero w tej chwili przesuwamy się pod gankiem. Właśnie wybiega na peron otyła Bawarka a ja resztką sił wypycham worek za okno. Pada ciężko i pęka, rozsypując zawartość pod nogi kobieciny, która wystraszona zaczyna się cofać. Ja krzyczę:

— *C'est pour vous, Citoyenne, pour vous et vos enfants!*

Na co ona odkrzykuje:

— *Du verfluchte polnische Schweinerei!*

I jeszcze woła i wymachuje, wytykając mnie palcem zawiadowcy stacji, który rozkłada ręce bezradnie, a potem oboje kucają by przyjrzeć się moim ziemniakom z bliska. Tu pociąg skręca i stacja znika mi z oczu.

Zasuwam okno i siadam na drewnianej ławce. Nareszcie jestem lekki i wolny. Biorę do ręki neseser, by się przekonać o jego lekkości. Nasycam się i upajam tą lekkością.

Góry są coraz bliżej i zasłaniają siniejące wieczorem niebo. Tor wije się. Szosa dotychczas odległa, biegnie obok nasypu. Zaglądam do wnętrz ścigających się z nami aut. Jedziemy teraz zupełnie wolno i nawet nie spostrzegam kiedy stajemy w Garmisch. Wysiadam i przed dworcem zaczynam się rozglądać, namyślając się, gdzie szukać noclegu. Idę wolnym krokiem, rzucając pobieżnie okiem na wystawy turystycznych pamiątek. W myśli kłania mi się Spencer więc kupuję mu miniaturowy kufel z nadrukiem *Trunk macht frei.*

Zmierzch zapada szybko i tylko na ośnieżonych wierzchołkach pali się słońce. Wyczuwam obcą obecność przytłaczających mnie gór. Za budynkiem dworca i olśnioną neonami siecią trakcji majaczy ściana jeszcze okrutniejsza. Neseser zaczyna mi ciążyć niczym wór buraków.

Adam CZERNIAWSKI

Archiwum polityczne

Nowy protest intelektualisty

Poniżej drukujemy tłumaczenie listu Ernsta Blocha do Prezesa Akademii Nauk we Wschodnim Berlinie, w którym Bloch wyjaśnia przyczyny, jakie skłoniły go do decyzji, by nie wracać do Lipska z Niemiec Zachodnich, gdzie ostatnio chwilowo przebywał.

Ernst Bloch należy do grona najwybitniejszych współczesnych znawców i interpretatorów myśli Marksa. Bloch opuścił Niemcy w 1933 roku i przebywał na emigracji w Szwajcarii, Francji, Austrii i Czechosłowacji, a od 1938 roku w Stanach Zjednoczonych. W 1949 roku otrzymał i przyjął zaproszenie do objęcia katedry filozofii w Lipsku. Czytelnik znajdzie w liście Blocha krótki opis jego doświadczeń w latach 1949-1961. Należy dodać, iż datą przełomową, wspomnianą w liście, był rok 1956. Wiek i sława nazwiska uchroniły Blocha przed aresztowaniem w związku ze sprawą Haricha. Jednak od tej chwili żył on w odosobnieniu, pozbawiony katedry, możliwości publikacji i czynnej pracy naukowej. Jednocześnie czasopisma i dzienniki wschodnio-niemieckie zamieszczały częste ataki i rzucały potępienia na głowę filozofa, na które Bloch nie miał możności udzielenia odpowiedzi. Dwóch uczniów Blocha skazanych w procesie Haricha na kilka lat więzienia, po odcierpieniu kary schroniło się w Niemczech Zachodnich.

W ostatnich miesiącach Adam Schaff ogłosił kilka artykułów uzasadniających pogląd, iż jedynie marksizm-leninizm jest w stanie zapewnić urzeczywistnienie humanistycznego socjalizmu. Pozostawiamy jego umiejętnościom dialektycznym przeprowadzenie dowodu, iż warunkiem niezbędnym realizacji humanistycznego socjalizmu jest prześladowanie pisarzy, za życia i po śmierci, jak to ma miejsce w Rosji Sowieckiej, oraz więzienie i uniemożliwienie działalności filozofom i intelektualistom, jakie praktykowane są na Węgrzech i w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a ostatnio — niestety — i w Polsce.

Do

Prezesa Niemieckiej Akademii Nauk, Prof. Dr. Hartke
w Berlinie

Marquartstein (Obb.), 19 września 1961

Czcigodny Panie Prezesie,

Od maja 1949 roku, po powrocie z emigracji w Stanach Zjednoczonych i po przyjęciu powołania na katedrę filozofii w Lipsku, żyłem w państwie, które później przyjęło nazwę Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

W pierwszych latach mej działalności cieszyłem się nieskrępowaną wolnością słowa, publikacji i nauczania. Ten stan rzeczy ulegał coraz bardziej zmianom w latach ostatnich. Znalazłem się w sytuacji przymusowego odosobnienia, nie miałem możliwości nauczania, kontakty ze studentami zostały przerwane, moi najlepsi uczniowie byli prześladowani i karani, możliwości działalności publicystycznej przestały istnieć. Nie mogłem ogłaszać artykułów w żadnym czasopiśmie, a dom wydawniczy *Aufbau* w Berlinie nie wywiązywał się ze swych zobowiązań, poręczonych umową, w stosunku do moich dzieł. Tak powstała dążność, by przez przemilczanie pogrzebać mnie za życia.

Natomiast uniwersytety, czasopisma i mój wydawca w Niemczech Zachodnich od pewnego czasu otwarli przede mną możliwości nauczania, publikowania i kontynuowania bez przeszkód mojej dotychczasowej pracy.

Po wydarzeniach 13 sierpnia, które każą oczekiwać, iż osoba samodzielnie myśląca nie ma już w ogóle prawa żyć i działać w NRD, nie mam zamiaru narażać samego siebie i mej pracy na poniżające warunki. W 76 roku życia podjąłem decyzję, by do Lipska nie wracać.

Z tej też przyczyny z prawdziwym żalem muszę powiadomić Czcigodnego Pana Prezesa, iż nie będę mógł uczestniczyć w przyszłości w zebraniach Niemieckiej Akademii Nauk, której jestem członkiem.

Z wyrazami szczególnego szacunku

Ernst BLOCH

Inferno

Arminowi Dross z przyjaźnią

Nie ma w bogatej i kolorowej historii europejskiej analogii do metamorfozy jakiej uległ Berlin na przestrzeni zaledwie siedemnastu lat. W biografii Adolfa Hitlera pióra Helmuta Heibera — wśród wielu dokumentarnych zdjęć szczególnie warta obejrzenia i zadumy jest fotografia przedstawiająca widmowego Führera na tle widma Berlina. To był kwiecień 1945 r. Koniec Berlina stolicy anty-Europy. Dziś Berlin przemienił się w swoją wczorajszą antytezę — w Partenon zachodniej cywilizacji, za który warto umierać.

Owego pamiętnego kwietnia 1945 roku w Torgau, w samym środku Niemiec i w centrum Europy spotkały się armie dwóch poza-europejskich potęg, Związku Sowieckiego i Stanów Zjednoczonych. Wśród wiwatów i ogólnej fraternizacji zadzierzgnięto wówczas „gordyjski węzeł" kwestii niemieckiej. Rosja bowiem po latach wygnania wróciła w triumfie na scenę europejską.

„Kwestię niemiecką" w perspektywie rosyjskiej można ująć w kilku zdaniach. Związek Sowiecki dąży do ustabilizowania swojej hegemonicznej pozycji w Europie wschodniej. Moskwa pragnie zdobyć uznanie dla reżymu Ulbrichta bo uznanie NRD byłoby równoznaczne z zalegalizowaniem podziału Niemiec.

Europa środkowo-wschodnia może być dominowana albo przez Niemcy albo przez Rosję. Czerwona Armia, przy wybitnej pomocy Zachodu, zlikwidowała wiekowy „Drang nach Osten", a trwały podział Niemiec ma w oczach Moskwy ubezpieczyć jej zdobycze.

Publicyści amerykańscy i brytyjscy wykazują często brak orientacji w kontynentalnej polityce rosyjskiej. To są wszystko „dalsze ciągi" historycznego dramatu, który dla Amerykanina czy Anglika jest czymś obcym i niezrozumiałym.

To co Niemcy przeżywają dziś — my już mamy dawno za sobą. Czesław Miłosz w jednym ze swych szkiców drukowanych w „Kulturze" zwrócił uwagę na fakt, że dawna Rzeczpospolita Polska — w jej granicach z 1772 — jako państwo obecne w odczuciu swych obywateli zaczęła się rozpływać dopiero po roku 1863. I równie słuszną jest uwaga, że antypolskie wiersze Puszkina były fragmentem rozprawy z rywalem o panowanie nad wschodnią Europą. Rywalem pokonanym, ale nie pogodzonym ze swoim losem. Jeszcze kijowska wyprawa Piłsudskiego należy do tego kontekstu historycznego. Była dziełem „niepogodzonych".

Oderwanie od Niemiec Prus Wschodnich, Pomorza i Śląska było nie tylko akcją odwetową. Rosji chodziło przede wszystkim o wydarcie Niemcom raz i na zawsze historycznej bazy wypadowej „Marszu ku Wschodowi".

Czy zalegalizowanie podziału Niemiec leży w naszym interesie? Nim odpowiemy na to pytanie należy spokojnie stwierdzić, że międzynarodowe zalegalizowanie podziału Niemiec byłoby równoznaczne z uznaniem hegemonicznego stanowiska Rosji w Europie środkowo-wschodniej na czas nieokreślony.

W warszawskim miesięczniku „Sprawy Międzynarodowe" z sierpnia bieżącego roku ukazała się obszerna rozprawa pt. „Sytuacja prawna Niemieckiej Republiki Demokratycznej". Autor — p. Ludwik Gelberg — stara się udowodnić, że wszystkie zastrzeżenia natury prawnej wysuwane w Niemczech zachodnich przeciw uznaniu NRD są pozbawione podstaw.

Ale zagadnienie leży gdzie indziej. Jeżeli mocarstwa zachodnie (jak do tej pory) wzbraniają się uznać NRD czynią to nie dlatego, że rząd wschodnio-niemiecki jest bardziej satelicki niż rząd czechosłowacki — ale dlatego, że mocarstwa za-

chodnie traktatem paryskim z października 1954 zobowiązały się popierać dążenie Niemiec do zjednoczenia. Zobowiązały się również w tym samym traktacie do uznawania rządu w Bonn jako jedynego legalnego rządu niemieckiego.

Innymi słowy mocarstwa zachodnie złamałyby przyjęte zobowiązania gdyby w negocjacjach z Sowietami, poza plecami swojego sojusznika niemieckiego, zaoferowały uznanie rządu NRD.

Nie przesądzamy w tej chwili istoty rzeczy, tj. problemu czy należy czy nie należy uznać NRD. Jedno natomiast jest pewne: należy dotrzymywać umów zawartych ze sojusznikami. Umowy sojusznicze nie są ślubami wieczystymi i mogą być zmienione. Ale zasadnicza zmiana w tekście umów paryskich wymagałaby negocjacji ze stroną zainteresowaną, tzn. z Niemcami zachodnimi.

W moim przekonaniu rewizja traktatów paryskich z 1954 jest koniecznością. Polityka amerykańska w stosunku do Niemiec ulega wahaniom. Odnosi się również wrażenie, że istnieją poważne różnice w tej sprawie pomiędzy pewnymi biurami Departamentu Stanu a Białym Domem.

Jednym z głównych doradców prez. Kennedy'ego na czas ,,potrzeby berlińskiej'' został były sekretarz stanu, Dean G. Acheson. Jego tajny raport — według J. Allsopa z ,,New York Herald Tribune'' — stanowi teoretyczną podstawę polityki amerykańskiej w stosunku do kompleksu zagadnień: Berlin-Niemcy-Rosja.

Acheson reprezentuje pogląd że Chruszczow przyjmie każde ustępstwo zaoferowane przez Zachód ale, że głównym jego celem jest rozbicie, względnie osłabienie NATO i skompromitowanie Ameryki w oczach świata.

Jeżeli ocenę Achesona uznamy za słuszną — problem NATO i spoistości tego sojuszu urasta do pierwszorzędnego znaczenia.

Z punktu widzenia światowej polityki amerykańskiej, Europa wschodnia dominowana przez demokratyczne Niemcy byłaby niepomiernie bardziej pożądana, niż Europa wschodnia dominowana przez komunistyczną Rosję.

Politykę amerykańską należy oceniać amerykańskimi kryteriami. Tylko politykom emigracyjnym wydaje się zawsze, że obowiązkiem każdego zachodniego męża stanu jest dbać o polskie interesy. Niepodległa Polska potrzebna jest tylko nam, a nie Europie. W epoce kiedy państwo polskie nie istniało, Europa przeżywała jeden z najwspanialszych okresów w swoich dziejach.

Plan odrzucenia Rosji na granice z 1939 roku i zamiana Rosjan na Niemców jako hegemonów w Europie wschodniej — może być doktryną amerykańską, ale nie może być doktryną NATO. Ani Anglia ani Francja nie podpiszą się pod tą koncepcją.

Nie można mówić o spoistości danego sojuszu jeżeli cele sprzymierzonych mocarstw są rozbieżne.

Już po wyborach w Niemczech amerykański Departament Stanu wydał broszurę pt. „Berlin 1961". Na okładce tego dokumentu zamieszczono mapę z napisem „Germany" wykraczaczającym daleko poza Odrę. Na polskich ziemiach zachodnich figuruje napis: „Under Polish administration". Broszura jest wydawnictwem oficjalnym, rozsyłanym przez ambasady i poselstwa amerykańskie.

W prasie brytyjskiej politycy i posłowie do Izby Gmin wystąpili z serią zapytań pod adresem Waszyngtonu czy przynależność do NATO nakłada na członków sojuszu obowiązek poparcia „prowokacyjnej niemieckiej polityki zagranicznej".

Odpowiedź brytyjska w tej sprawie jest zdecydowanie negatywna.

Patrząc na Europę z perspektywy Waszyngtonu można przyjąć pogląd, że na starym kontynencie plus wyspy brytyjskie wszystko jest przegniłe i dekadenckie z wyjątkiem Niemców. Idąc po tej linii można dojść do wniosku, że w Europie jedyną dynamiczną i ofensywną formą antykomunizmu jest rewizjonizm niemiecki. Jeżeli jednak Amerykanie kiedykolwiek doszliby do takich wniosków — NATO trzeba by zastąpić sojuszem amerykańsko-niemieckim.

Przed kilku tygodniami miałem możność przeprowadzenia dłuższej rozmowy z jednym z amerykańskich ekspertów od spraw Europy środkowo-wschodniej. W opinii mojego rozmówcy, Amerykanie ściśle rozróżniają pomiędzy postulatem zjednoczenia Niemiec a programem rewizjonistów. Postulat zjednoczenia uważany jest za moralnie słuszny i usprawiedliwiony. Co więcej, Amerykanie sądzą, że są zobowiązani podtrzymywać wśród Niemców wiarę w zjednoczenie.

Program rewizjonistów — z wyjątkiem pewnych kół zdecydowanie pro-niemieckich — nie cieszy się w Ameryce ani moralnym ani politycznym poparciem.

Ale Amerykanie na ten zespół spraw patrzą z zupełnie innej perspektywy niż my. W pewnym momencie mój rozmówca uderzył niecierpliwie dłonią w stół i powiedział: „pierwszy raz w dziejach Europy wielkie europejskie miasto przecięto murem. Ze Wschodu ciągną transporty wojsk. Nie wiadomo czy jutro świat nie zacznie się walić na nasze głowy, a pan w kółko mówi o Wrocławiu".

Czyj świat? Pierwszy raz w historii — świat amerykański. Nam już raz świat walił się na głowy, ale wówczas to był nasz świat. W Ameryce nawet jedna cegła nikomu nie spadła na głowę. Dla Amerykanów mur Ulbrichta jest pierwszy w dziejach. Ale dla nas nie. Taki sam mur odgradzał ghetto warszawskie i również był dziełem Niemców.

W rozmowach z Amerykanami wyczuwa się natychmiast owe różnice w perspektywie. W ich odczuciu to jest wojna globalna i wszystko jest dobre, co jest antykomunistyczne. Nasz polski, „parafiański" stosunek do Wschodniej Europy często niecierpliwi ich i irytuje.

Można przyjąć przesłankę, że anty-komunizm na kontynencie należy mobilizować nawet za cenę popierania terytorialnych roszczeń niemieckich. Ale w takim wypadku należy przeanalizować dwa punkty. Milczące, półoficjalne poparcie nie zadowoli maksymalistów niemieckich. Oficjalne uznanie tych roszczeń — a więc zidentyfikowanie ich z celami polityki amerykańskiej — doprowadziłoby do rozkładu NATO ponieważ ani Anglia ani Francja nie poprą takiego programu. Rewizjonizm bowiem to nie tylko polski Wrocław ale i *sowiecki Królewiec.*

O ile w teorii można sobie wyobrazić pokojowe, stopniowe zjednoczenie obu republik niemieckich w konsekwencji neutralizacji — o tyle rewindykacja Wrocławia czy Królewca możliwa jest tylko poprzez wojnę.

Stabilizacja sytuacji w Europie przynajmniej na pewien okres czasu — wymagałaby wyjaśnienia i dokładnego zdefiniowania pozycji Niemiec w NATO.

Jeżeli Amerykanie nie podejmą w tym kierunku wysiłku — jeżeli wbrew własnej opinii w Stanach Zjednoczonych popierać będą rewizjonistyczne dążenia niemieckie — to w rezultacie zamiast neutralistycznych Niemiec doczekają się kiedyś neutralistycznej Anglii.

Być może że z czysto wojskowego punktu widzenia dwustronny sojusz wojskowy amerykańsko-niemiecki posiadałby większą wartość niż NATO. Byłby to sojusz ofensywny, w którym talenty niemieckie zabłysłyby pełnym blaskiem. Ale wojna w Europie byłaby wówczas nieuchronna.

W tym miejscu dłuższy margines pod adresem przyjaciół i czytelników ,,Kultury'' w zachodnich Niemczech. W rozmowach i w korespondencji często pada pod naszym adresem zarzut, że nie chcemy uznać prymatu anty-komunizmu nad nacjonalizmem. Nie chcemy z Niemcami maszerować ramię przy ramieniu, bo dzieli nas Wrocław. Natomiast polscy ,,niezłomni'' stawiają sprawę antykomunizmu na pierwszym miejscu i wskutek tego nie doradzają Niemcom neutralizmu, lecz przeciwnie cieszą się z każdej nowej dywizji niemieckiej, która wzmacnia siły wolnego świata.

Przyznajemy, że nie stawiamy znaku równania pomiędzy anty-komunizmem, a wolnością, bo łatwo można sobie wyobrazić antykomunistyczną Europę, w której brakłoby miejsca dla wolnej i niepodległej Polski.

Lecz w tej sprawie chodzi o inny punkt. Obóz ,,niezłomnych'' wywodzi się z szkoły politycznej Józefa Piłsudskiego i świadomie i podświadomie dąży do powtórzenia sytuacji z 1918 roku. Ideałem ,,niezłomnych'' byłoby aby Niemcy zostały zrównane z ziemią przez Sowiety, a Sowiety pobite przez Amerykę. Do tego ideału neutralizacja Niemiec oczywiście nie prowadzi. Przeciwnie, tę wizję urzeczywistnić można tylko przez rozbudowę Bundeswehry, wyposażenie Niemiec w bronie atomowe i torpedowanie każdej szansy odprężenia.

Z punktu widzenia tradycyjnej polityki polskiej — równoczesna likwidacja obu „kamieni młyńskich", które w przeszłości ścierały na miazgę naszą państwowość — stanowi rozwiązanie klasyczne.

W polskiej perspektywie sytuacja jest podobna do układu w roku 1914. Zarówno wówczas jak i dziś, Rosja i Niemcy znajdują się po przeciwnych stronach. Rosjanie wyrzynający Niemców, a Niemcy wyrzynający Rosjan — to jest sytuacja „wyśniona" przez poetów. Związek Sowiecki jest dostatecznie silny, by powalić Niemcy (jak dotąd nigdy powalone nie były) — a Stany Zjednoczone są dostatecznie silne, by z kolei powalić Związek Sowiecki. To jest koniunktura nie do zmarnowania. A że przy tej okazji zginęłoby 60 a może 70 milionów ludzi (ufajmy: głównie Rosjan i Niemców) to trudno. Gdzie drwa rąbią tam wióry lecą.

Emigracyjni tradycjonaliści polscy, którzy współczesną sytuację rozpatrują przez pryzmat przeszłości — nie mają i nigdy już mieć nie będą wpływu na bieg wydarzeń politycznych. Ale tradycjonaliści niemieccy, którzy również patrzą na obecną sytuację przez pryzmat przeszłości — mogą któregoś dnia wywrzeć decydujący wpływ na politykę Federalnej Republiki.

Pewni moi znajomi niemieccy wysuwali koncepcję „zakładnika". Teoria „zakładnika" przewiduje, że w razie wybuchu wojny Sowiety z uwagi na NRD i swoje własne dywizje na ziemiach niemieckich będą unikały zniszczeń ponieważ ich głównym celem byłoby inkorporowanie nietkniętej Federalnej Republiki do NRD, Niemcy w takiej sytuacji podporządkowaliby się spokojnie reżymowi okupacyjnemu i czekali cierpliwie na ostateczne zbombardowanie Moskwy, Leningradu i wielkich sowieckich centrów przemysłowych. W chwili upadku Związku Sowieckiego — ale nie wcześniej — w Niemczech wybuchłoby ogólno-narodowe powstanie, którego zbrojne ramię sięgnęłoby po „zrabowane niemieckie ziemie".

Zarówno polscy jak i niemieccy tradycjonaliści starają się wtłoczyć obecną — całkowicie bez precedensu — sytuację w stare sztance nacjonalistycznych polityk. Efekt tych poczynań bywa czasem wręcz surrealistyczny — ponieważ to co 25 lat temu było politycznym realizmem dziś często jest absurdem.

Na marginesie dodam, że w mojej opinii Ulbricht nie przeżyłby trzeciej wojny światowej. Gdyby w konsekwencji działań wojennych Rosjanie okupowali całe Niemcy — nie oszczędzaliby nikogo i niczego. Rozwiązaliby niemiecką partię komunistyczną oskarżając ją o nacjonalistyczny spisek. Ulbricht i jego KC przekonaliby się, że całe życie byli agentami Adenauera. Partia Ulbrichta w razie wojny nie stanowi rękojmi powodzenia koncepcji: „dobrzy" Niemcy przeciwko „złym" Niemcom. Natomiast podtrzymywanie statusu partii Ulbrichta utrudniałoby stosowanie totalnej, terrorystycznej polityki w stosunku do całych Niemiec. W tym samym dniu, w którym rozpoczęłyby się działania wojenne — Moskwa, Warszawa, Praga — dokonałyby

propagandowej ekshumacji Hitlera, obozów koncentracyjnych, SS — rozpalając nienawiść do Niemców do białości. Nie byłoby to trudne, bo pokolenie które walczyło przeciw Trzeciej Rzeszy — jest jeszcze ciągle pokoleniem rządzącym we wschodniej Europie. Skłonny jestem przypuszczać, że w razie wybuchu wojny los Niemiec byłby straszny.

Niemcy i Polacy muszą znaleźć wyjście z inferna narodowych imponderabiliów. Byłoby rzeczą nierealną domagać się od Polaków i Niemców, by istotne interesy narodowe podporządkowali nadrzędnej racji antykomunizmu. Tym bardziej, że antykomunizm politycznie jest wartością zmienną i niestałą. Oznacza wolność dla zachodniego Berlina, ale nie dla wschodniego Berlina. Grozi wojną atomową w razie zamachu na wolność połowy miasta, godząc się równocześnie na niewolę drugiej połowy tego samego miasta.

Antykomunizm tylko dla małych i średnich narodów ma stanowić nadrzędną rację stanu. Ta reguła nie obowiązuje natomiast wielkich mocarstw, które są jak najdalsze od poświęcenia narodowych imponderabiliów na ołtarzu antykomunizmu.

Tylko w czasie wojny — zakładając, że wojna toczyłaby się konwencjonalnie i stroną zwyciężającą byłyby niemieckie dywizje NATO — mogliby Niemcy uskrzydlić swój nacjonalizm ideologią antykomunistyczną. Ale tę samą wojnę polscy antykomuniści, uwarunkowani tradycją polskich narodowych imponderabiliów, widzą w zupełnie innej perspektywie. Liczą na wykrwawienie i upadek obu naszych historycznych mocarstw zaborczych, tzn. Niemiec i Rosji.

Nie łudźmy się. Antykomunizm nie oferuje żadnego wyjścia z inferna narodowych imponderabiliów. Nie ma żadnych szans abyśmy pogodzili się jako antykomuniści. Jeżeli mamy się pogodzić musimy się pogodzić *jako Niemcy i Polacy.*

Znaczny procent Polaków w kraju i w wolnym świecie jest przeciwnikiem zjednoczenia Niemiec. Niemcy podzielone, przynależne do dwóch zwalczających się bloków, są oczywiście słabsze od Niemiec zjednoczonych. Z uwagi na polskie interesy należy się więc opowiedzieć za Niemcami podzielonymi.

Wierność imponderabiliom nie może być równoznaczna z zasadą *right or wrong — my country.*

W moim przekonaniu ci Polacy, którzy są przeciwnikami zjednoczenia Niemiec, nie mają prawa domagania się od Niemców zachodnich uznania granicy na Odrze i Nysie. Nie można odmawiać Niemcom prawa do Lipska czy do Drezna i równocześnie żądać od nich uznania polskich praw do Wrocławia. Nie można walczyć o prawo do samostanowienia dla narodu polskiego i równocześnie odmawiać tego prawa połowie narodu niemieckiego. Odmawiając Niemcom prawa do samostanowienia i zjednoczenia rezygnuje się z możliwości porozumienia z narodem niemieckim. A naszym celem winno być szukanie tego porozumienia.

Jest już najwyszy czas by Polacy i Niemcy zerwali z trady-nalistycznym pojmowaniem swych wzajemnych stosunków. zestańmy myśleć o wojnie, którą Niemcy widzą jako restaura- *Drang nach Osten*, a Polacy jako himmlerowskie ,,finalne kończenie'' kwestii niemieckiej.

Czy musi tak być? Może musi tak być, ale jako niezależny blicysta uważam za swój obowiązek powiedzieć obu zaintere-wanym stronom, że z wielką korzyścią mogłoby być zupełnie aczej.

Niemiecka Republika Federalna winna nie tylko uznać gra-ce na Odrze i Nysie, ale zrezygnować uroczystym aktem z zystkich terytorialnych pretensji tak w stosunku do Polski, z Czechosłowacji i Rosji. Dobrowolne, niewymuszone uznanie anicy na Odrze i Nysie oceniono by w Europie wschodniej ko szczery i autentyczny zwrot w tradycyjnej polityce nie-eckiej. Owa re-orientacja w tysiącletniej polityce niemieckiej stosunku do europejskiego Wschodu spowodowałaby z cza-m re-orientację narodów wschodnio-europejskich *vis-à-vis* Nie-ec. Ów proces przemiany trwałby bardzo długo ale z czasem się wykrystalizował.

Problem zjednoczenia Niemiec, Niemiec pokojowych nie łaszających pretensji terytorialnych pod niczyim adresem — dłby się wówczas naszym wspólnym problemem.

To tylko obłąkany niemiecki rewizjonizm powoduje, że zywista wspólność naszych interesów nie dochodzi do głosu być może nigdy do głosu nie dojdzie). Niemcy wschodnie są ństwem satelickim — tak jak satelitami są Polacy, Czesi Węgrzy. Dążenie do zjednoczenia — odseparowane od rewi-nizmu — jest moralnie i politycznie nie do zaczepienia. Tak jęty ruch zjednoczeniowy budziłby sympatię wśród narodów chodniej Europy, które zdają sobie sprawę, że dopóki zjed-czenie Niemiec nie jest pogrzebane i ich los nie jest przypie-ętowany.

W moim przekonaniu Niemcy nigdy nie miały takiej szan-w stosunku do wschodniej Europy jak obecnie. Ich jedynym walem była i jest Rosja. Niemcy nie mogą zagrozić Rosji i swoimi dywizjami ani swoim sojusznikiem amerykańskim, óry nie poświęci ani jednego żołnierza, by przybliżyć Niem-w do Królewca. Niemcy mogliby zagrozić Rosji, gdyby sate-twu przeciwstawili wolność i samostanowienie. Ale proste stawienie tych słów wyda się czytelnikowi we wschodniej ropie komiczne, ponieważ ze słowem Niemcy od stuleci auto-atycznie kojarzymy zabór, okupację i niewolę.

I tu tkwi ów totalny błąd niemieckiej myśli politycznej. mo Clausewitzów, Bismarcków, sztabów generalnych, mimo niewających ,,cudów gospodarczych'' — Niemcy są tym, co glicy określają słowem *failure* — są narodem, któremu mimo siąca zalet nigdy nic się nie udaje.

Międzynarodowe uznanie NRD, które obawiam się jest tyl-kwestią czasu — stanowić będzie oficjalną pieczęć na akcie

uznania przez Zachód sowieckiego imperium satelickiego. Ale dziennikarze i fotoreporterzy będą mogli od czasu do czasu odwiedzać zachodni Berlin. Wolność bez przyszłości dwóch milionów zachodnich berlińczyków uspokoi sumienie Zachodu. Nie było kapitulacji. Skapitulowaliśmy w sprawie stu milionów wschodnio-Europejczyków, ale dwa miliony zachodnich berlińczyków mogą czytać „New York Times'a" od świtu do nocy.

Sojusznikami Niemców w ich samotnej (i coraz bardziej samotnej) walce o wolność i zjednoczenie mogliby być wschodni Europejczycy. Ale Niemców nie interesuje wolność. Ich interesuje Wrocław i Królewiec. Królewiec!

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika londyńska

POLSKIE CIĄGI

Na emigracji trzeba w pewnym momencie wybrać pomiędzy dwoma ciągami rozwoju myśli politycznej. Polska biała emigracja — śladem rosyjskiej białej emigracji — podtrzymuje ciąg tradycji epoki przedwojennej. Lecz w kraju cyfra ludzi dla których 2-ga Rzeczpospolita jest czymś więcej niż historycznym terminem topnieje z każdym miesiącem. Ciągłość tradycji epoki przedwojennej nie jest dziś kwestią polityczną lecz biologiczną. Z każdym miesiącem ubywa ludzi, dla których owa tradycja jest żywym wspomnieniem i z każdym miesiącem przybywa ludzi, dla których dwudziestolecie jest już tylko historią.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że na skutek zmienionej sytuacji w Europie środkowo-wschodniej mamy w kraju drugie, pełniejsze wydanie „Października". Kto by wówczas doszedł do głosu — kto byłby dynamem ewolucji na drodze ku socjalizmowi demokratycznemu? Jest oczywiste, że przywódcami ruchu odnowy i reformy byliby nie towarzysze i rówieśnic[y] Pużaka, lecz ludzie średniego i młodego pokolenia.

Komunizm w bloku wschodnim można obalić tylko siłą — to znacz[y] na drodze zbrojnej interwencji, która oznaczałaby wojnę. Jeżeli do wojn[y] nie dojdzie komunizm nie upadnie i młode pokolenie będzie musiało sam[o] wypracować swoje zbawienie.

Wiele dziesiątków rozmów jakie przeprowadziliśmy z komunistami i z nie komunistami na przestrzeni ostatnich kilku lat — utwierdzają mnie w przekonaniu, że potencjonalnych rewizjonistów w partii i poza partią jes[t] legion. Są ludzie, którzy nie odesłali legitymacji partyjnej w nadziei, że przyjdzie chwila, kiedy będzie można podjąć i poprzeć ruch zmierzając[y] do zdemokratyzowania partii. Wówczas od siły liczebnej potencjalnych rewi[-] zjonistów będzie bardzo wiele zależało.

Starsi panowie na emigracji, którzy powtarzają, że w Polsce nic si[ę]

ie zmieniło — stwierdzają tylko, że oni się nie zmienili. W rzeczywistości niany są olbrzymie. Młodzi ludzie uformowani i wykształceni w Polsce udowej — często odkrywają swoją „inność" i odrębność dopiero zagranicą.

Jest wielu stypendystów polskich w Stanach Zjednoczonych. Wszyscy uszczają Stany Zjednoczone jako przyjaciele Ameryki, ale nie jako zwonnicy ustroju kapitalistycznego. Znaczny procent dopiero w Ameryce uświamił sobie, że choć nie są komunistami są za socjalizmem. Pokolenie wyztałcone w Polsce Ludowej pojęcie demokracji instynktownie, niejakie tomatycznie, kojarzy z socjalizmem — nigdy z kapitalizmem. Komunizm h nie zjednał dla swojej teologicznej doktryny, ale akceptacja krytyki katalizmu wśród tego pokolenia jest niemal powszechna.

Jeżeli nie będzie wojny nie będzie i wyzwolenia siłą. Jeżeli nie będzie yzwolenia siłą liczyć możemy tylko na zmiany w układzie wschodnioropejskim, które umożliwiłyby ewolucję w państwach bloku wschodniego w szczególności w Polsce. Jesteśmy jak najdalsi od „neo-mesjanizmu" - sądzimy jednak, że przy sprzyjających warunkach Polska mogłaby odeać czołową rolę w ruchu reformacyjnym.

Ruch reformacyjny uwarunkowany jest trzema czynnikami: a) sytuacją wnętrzną, b) naporem społecznym, c) fermentem w partii.

W moim przekonaniu w kraju istnieją w stanie potencjalnym warunki ymienione w punktach b) i c). Gdyby Polska mogła się w przyszłości znaźć w pasie państw neutralnych — względnie, gdyby Polska, Czechosłoacja i Węgry miały możność zdobycia statusu zbliżonego do statusu Finndii — wówczas zarówno ferment w partii jak i reformistyczny napór opii społecznej doszłyby do głosu.

Musi być zachowana proporcja pomiędzy możliwościami, które oferuje niana sytuacji zewnętrznej a górną granicą liberalizacji ustroju. Status Finlandzki" czy neutralny stwarzałby pewne możliwości stopniowej ewolui, ale o ściśle wyznaczonej górnej granicy.

Co innego są koncesje, a co innego są reformy. W okresie odwilży aździernikowej przyznano szereg koncesji ale nie podjęto żadnej zasadniczej formy. Charakter reformistyczny miały rady robotnicze, które zdławiono samych początkach ich działalności.

Komunizm w Polsce może być zreformowany tylko przez komunistów, e partia nie podejmie żadnych reform bez naporu społeczeństwa. Dlatego stępem do reform są koncesje. Liberalizacja prasy, złagodzenie cenzury, niezależnienie nauki od dyktatu i kontroli partii — to są podstawowe konesje konieczne do przemiany potencjalnego naporu społecznego w napór tywny.

Im partia korzysta z silniejszego poparcia z zewnątrz — tym mniej musi liczyć z poparciem wewnętrznym, tj. ze strony społeczeństwa. I odwrote jeżeli stopień poparcia z zezwnątrz maleje trzeba poprzez kolejne koncee szukać większego poparcia wewnątrz, ze strony własnego społeczeństwa.

Ceną, którą partia płaci za poparcie z zewnątrz jest zależność. Im silejsze i skuteczniejsze poparcie — tym większa zależność. Innymi słowy ełna zewnętrzna asekuracja możliwa jest tylko za cenę satelictwa.

W polskiej partii komunistycznej jest wielu komunistów, którzy — gdyby kład sytuacji na to zezwalał — zapłaciliby chętnie koncecjami za popare społeczeństwa jeżeliby w zamian za to mogli uzyskać większy stopień ezależności od Moskwy.

Nikt nie jest satelitą z powołania. Satelitą jest się z konieczności. Tylko dogmatycy, reakcjoniści, stalinowcy — którzy wiedzą, że poważniejsza „odwilż" stanowiłaby kres ich kariery — drżą na samą myśl zwiększenia stopnia niezależności Polski od Moskwy.

Ci polscy komuniści, którzy byliby gotowi przyznać społeczeństwu pewne koncesje w sytuacji oferującej Polsce większą niezależność od Rosji — nie są socjal-demokratami. To są tylko zwolennicy „polskiej drogi do komunizmu" oraz Polacy na dnie duszy tradycyjnie antyrosyjscy.

Wyobraźmy sobie dla ilustracji następującą sytuację. Polska znajduje się w pasie państw neutralnych. Gdyby wówczas Moskwa wystąpiła z gwałtowną krytyką jakiejś decyzji polskiego KC — przywódca partii, który by w imię polskiej niezależności zdobył się na odważną postawę wobec Rosji jednego dnia urósłby do rangi bohatera narodowego. Komuniści to wiedzą i w zmienionej koniunkturze umieliby grać na tych uczuciach.

Droga do demokracji jest u nas daleka, ponieważ dzięki historycznemu uwarunkowaniu Polacy przez słowo „wolność" rozumieją „niezależność". Łatwo godzimy się z dyktaturą, byle dyktator był super-polski i super-niezależny. Przez wolność rozumiemy zawsze niepodległość. A przez niepodległość rozumiemy niezależność od zaborców, tj. od Rosji i od Niemiec

Wróćmy do przykładu, który powyżej przytoczyłem. W sytuacji kryzysu i napięcia z Moskwą przywódca komunistyczny, który by stanął twardo na stanowisku anty-rosyjskim — byłby w społeczeństwie polskim niepomiernie popularniejszy od polityka nie-komunistycznego, który by doradzał ugodę i kompromis. Bo wówczas komunista byłby za niepodległością, a więc za wolnością, której Polacy nie kojarzą z demokracją, a jedynie z niezależnością od zaborców.

Zmiana układu zewnętrznego zmiejszająca stopień zależności od Rosji przyniosłaby koncesje i ogólną liberalizację. Ale od liberalizacji i „odwilży" do demokracji w Europie środkowo-wschodniej droga jest bardzo daleka

Każda dyktatura w Polsce czerpie swą moc i usprawiedliwienie z sytuacji zewnętrznej. Dyktatura komunistyczna dyskontuje po tej linii stanowisko obu tradycyjnych państw zaborczych. Stanowi ochronę przed bezpośrednią interwencją sowiecką wzoru węgierskiego i równocześnie pełni straż na Odrze i Nysie.

W takich warunkach ustrój jest funkcją polityki zagranicznej. Jeden z naszych sąsiadów, po oderwaniu od Polski jednej trzeciej terytorium, wymaga byśmy byli komunistami — drugi nasz sąsiad doradza nam ustrój demokratyczny i proponuje byśmy oddali mu jedną trzecią naszego obecnego terytorium. Jest dla mnie zagadką, że na emigracji są Polacy, którzy uważają że największe nieszczęście jakie by nas jeszcze mogło spotkać to byłby status neutralny, który by Polskę nieco chronił przed pełnymi inicjatywy sąsiadami

Ustrój Polski jest bezpośrednio związany z każdorazową teorią bezpieczeństwa. W naszych warunkach względy bezpieczeństwa idą zawsze przed postulatami ustrojowymi. Społeczeństwo godziło się na monopartyjne rządy BBWR wierząc, że ten typ władzy i ustroju zdolny będzie zapewnić skuteczniejszą obronę i bezpieczeństwo niż skłócone wielopartyjne sejmy, niezdolne do wyłonienia stałej parlamentarnej większości. Dziś społeczeństwo w kraju godzi się na dyktaturę komunistyczną w przekonaniu, że dopóki żadne z mocarstw zachodnich wraz z Niemcami nie uznało granicy na Odrze i Nysie — *de facto* jedyną gwarantką tej granicy jest Rosja.

W dzisiejszym świecie — determinowanym bez reszty równowagą sił pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem — bezpieczeństwo małych i średnich państw przybiera dwojaką formę. Albo trzeba się włączyć do jednego z bloków — albo trzeba szukać statusu neutralnego. Nie mamy żadnej szansy wyboru sojuszników. W najlepszym razie przy sprzyjających okolicznościach zdobyć możemy status neutralny i na tej drodze osiągnąć pewien stopień niezależności od Rosji.

Ewolucja komunizmu w Polsce zależeć będzie od sytuacji zewnętrznej. I to tym bardziej, że Polacy bez sprzeciwu podporządkowują sprawy wolności wewnętrznej (demokracja) postulatom bezpieczeństwa na zewnątrz.

Mitologizowanie polityki ,,niepodległościowej" prowadzi do rozbrojenia emigracji. Od fikcyjnych ,,prezydentów" (jedno czy trój-osobowych) wiedzie prosta droga do zarobkowej, pogodzonej z losem Polonii.

W takiej sytuacji emigrant, który już wyrósł z skostniałego legalizmu ma do wyboru dwie drogi: albo ubity trakt polonijny, albo współpracę z instytucjami krajowymi na ich warunkach.

I to stanowi istotę obecnego kryzysu emigracyjnego. Temu zagadnieniu poświęcimy odrębny artykuł w następnym numerze ,,Kultury".

STAWAR I INNI

Autor dłuższego artykułu o Stawarze w ,,Neue Zürcher Zeitung" — przyrównał go do głośnych apostatów: Koestlera, Borkenau'a, Dżilasa.

Wydaje mi się, że jest to zasadniczo nieporozumienie. Stawar nie był apostatą. W ,,Glossach" — pisanych na obczyźnie w ostatnich tygodniach życia — Stawar nie tylko nie zapiera się marksizmu, lecz przeciwnie broni go przed krytyką. Wyznaje również czytelnikowi co go urzekło w marksizmie. ,,Chodzi nie o zbieranie doświadczeń, interpretowanie faktów, ale — by użyć wyrażenia ze sfery estetycznej — o zdolność komponowania ich. Niezaprzeczenie ta potrzeba porządkowania, komponowania zjawisk stanowi organiczną cechę natury ludzkiej... Nie wszystkie doktryny, nie wszystkie ideologie społeczne mają taką zdolność porządkowania, komponowania, integrowania zjawisk. Marksizm posiada owe właściwości kompozycyjne w niezwykłym stopniu".

To jest hołd złożony marksizmowi jako ,,systemowi zamkniętemu". Tylko ,,systemy zamknięte" jak marksizm czy katolicyzm zaspakajają ową wrodzoną naturze ludzkiej tęsknotę do syntezy.

Nie podzielam opinii Stawara i sądzę, że przede wszystkim chodzi o zbieranie doświadczeń i interpretowanie faktów, a nie o komponowanie. Trzeba jednak powiedzieć, że z książki bije niezmierna intelektualna uczciwość. I owa absolutna niezdolność do *double-talk* zaprowadziła w końcu Stawara zagranicę.

Stawar przeprowadza logiczną i nieubłaganą krytykę stalinizmu, XX Zjazdu KPZS — oraz ,,chruszczowizmu". Nie mógł mieć nadziei wydania swej pracy w Kraju. Miał do wyboru albo zdecydować się na serię kompromisów albo na walkę. Wydając książkę zagranicą odcinał sobie drogę powrotu i z tego z całą pewnością zdawał sobie sprawę. Gdyby żył, kto wie czy nie byłby pierwszym polskim marksistą emigrantem.

Jestem przekonany, że znaczny procent marksistów-intelektualistów w Polsce podpisałoby się pod poglądami Stawara. Znam osobiście i takich, którzy w swej krytyce systemu idą znacznie dalej. Ale każdy z nich woli raczej milczeć, albo pisać pod cenzurę niż wyjechać czy publikować zagranicą.

Współcześni marksiści — w przeciwieństwie do swych rewolucyjnych antenatów — są niezdolni do emigracji. Jeżeli ktoś ląduje na Zachodzie jest już byłym marksistą, który wszystkiego się wypiera i od wszystkiego odcina. Stawar stworzył precedens.

Jedną z głównych przyczyn owej utraty ,,zdolności emigracyjnej'' u marksistów jest swoista parafiańszczyzna. Parafia, w której ugrzęźli jest wielka, ale niemniej to jest tylko parafia. Marksistów-intelektualistów nie interesuje właściwie konflikt epoki. Konflikt Wschód-Zachód. Ich interesują tylko i wyłącznie wewnętrzne konflikty Wschodu, a przede wszystkim wiecznie bulgocący kocioł rosyjski.

U Stawara problem konfliktu Wschód-Zachód w ogóle nie istnieje.

Nie ma dyskusji z byłymi kochankami na temat obiektu ich uczuciowego zaangażowania. Oni wiedzą lepiej, oni wyczuwają, oni rozpoznają najintymniejszy odcień. Nikt ich nie przekona, że choć Historia w pewnym procencie składa się z osobistych dramatów — osobistym dramatem nie jest.

Młodsze pokolenie marksistów jest oczywiście znacznie mniej skompleksowane. Ale i młodzi marksiści pochłonięci są całkowicie ideologicznymi napięciami i konfliktami wewnątrz obozu państw socjalistycznych. Charakterystyczną w tym względzie jest uwaga Richtera o Leszku Kołakowskim, którą cytuje (w ,,Bezdomnej Lewicy'') Tadeusz Nowakowski.

O Stawarze wielu aparatczyków powie, że zdradził, że przestał być marksistą.

Kiedy przestaje się być marksistą? Czy wówczas gdy zdradza się własne marksistowskie przekonania — czy też wówczas gdy dochowując wierności sobie samemu łamie się dyscyplinę partyjną?

Stawar, sumienny badacz i krytyk tego centralnego problemu — swą śmiercią i książką dał na to jasną odpowiedź.

MIT UPADŁ

W dniu w którym ,,Tygodnik Powszechny'' w artykule wstępnym nawoływał emigrację do propagowania zapoznanej na Zachodzie kultury polskiej — głośno było o literaturze polskiej w prasie światowej. Wszystkie wielkie pisma europejskie i amerykańskie przyniosły wiadomość o aresztowaniu Jerzego Kornackiego i Hanny Rudzińskiej. Cóż za wspaniała propaganda! My, biedni emigranci, nie możemy nawet porównywać naszych skromnych możliwości ze środkami propagandowymi, jakimi dysponuje wszechpotężny aparat partyjny. Jednym ,,ukazem'' postawili na nogi całą prasę światową. Głośno było o Polakach i o ich zapoznanej literaturze.

W przeciwieństwie do emigracyjnych ,,niezłomnych'', którzy od samego początku Październik uważali za ,,bluff'' — tłumaczyliśmy cudzoziemcom, że w Polsce Ludowej jest jednak inaczej. Przekonywaliśmy, że w Polsce więźnia politycznego Władysława Gomułki — nie ma więźniów politycznych. Nikogo się nie więzi za jego przekonania.

Niżej podpisany na tych łamach argumentował z patosem, że sprawa Pasternaka byłaby w Polsce nie do pomyślenia. Opowiadałem z przejęciem znajomym cudzoziemcom, że Pasternakowi wysłano z Warszawy depeszę gratulacyjną.

U nas inaczej. Tak, jest cenzura — ale z pisarzy nikt nie robi kryminalistów — nikt nie grzebie w ich biurkach — łapsy policyjne nie wertują w ich prywatnych papierach i pamiętnikach.

Wielki mit upadł. „Aparatczycy", którzy zadecydowali o nakazie aresztowania Kornackiego i Rudzińskiej — nie są nawet w stanie pojąć wymiaru klęski propagandowej, jaką poniosła nie literatura polska lecz Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Już nam żaden cudzoziemiec nie uwierzy, że w Polsce inaczej. U nas kropka w kropkę tak samo, tak samo.

JAMES BURNHAM O „KULTURZE"

W „National Review" ukazał się dłuższy artykuł poświęcony „Kulturze" — pióra Jamesa Burnhama. Czytelnikowi niewtajemniczonemu może wydać się dziwne, że prawicowe pismo poświęca nam całą stronę i obsypuje pochwałami, które w pewnych wypadkach wypływają z niezawinionych nieporozumień. Nasi wrogowie — zapewne — wykorzystają tę okazję by udowodnić czarno na białym powiązania „Kultury" z „zimno-wojennymi" instytucjami amerykańskimi.

Nic nas nie łączy z „National Review", która jest pismem antyliberalnym i prawicowym w przeciwieństwie do „Kultury", która jest pismem liberalnym i lewicowym.

Nie łączy nas nic z „National Review", ale łączą nas więzy wieloletniej przyjaźni z Jamesem Burnhamem.

Burnham, jako prawicowiec i intelektualista amerykański, patrzy na wiele zasadniczych spraw zupełnie inaczej niż my. Ale zawsze szanował nasze przekonania i był wiernym i bezinteresownym przyjacielem.

Pewnym ludziom trudno jest pojąć, że stosunki z przyjaciółmi można układać inaczej niż według politycznego klucza. Ale poza kluczem jest jeszcze człowiek.

Liberalizm stosowany w praktyce umożliwił zespołowi „Kultury" okazać życzliwą pomoc polskiemu marksiście Stawarowi w ostatnich miesiącach jego życia. Ten sam liberalizm umożliwił nam w serii Biblioteki „Kultury" wydać obok dwóch książek Jamesa Burnhama ostatnie pisma Andrzeja Stawara.

Ci, którzy potępiają nas za liberalizm — nie zdają sobie sprawy, że ów liberalizm stanowi tajemnicę sukcesu „Kultury". Ludzie żyjący w więziennych celach podziałów ideologicznych w momentach kryzysu dostrzegają czasem, że liberalizm nie jest poglądem politycznym tylko kulturą pojmowania poglądów politycznych. I dlatego z nami a nie z innymi szukają kontaktu. Gdybyśmy nie byli pismem liberalnym Stawar byłby się do nas nie zwrócił i nie okazał wielkiego zaufania.

James Burnham nie podziela naszych wszystkich poglądów, a jednak przygotowując książkę pt. „What Europe thinks of America" — zaprosił do współpracy Józefa Czapskiego i mnie. W moim eseju, który ukazał się

w cytowanej książce — przedstawiłem dokładnie polityczne ,,credo" ,,Kultury". Burnham, który był wydawcą tej książki, nie domagał się żadnych zmian i nie skreślił jednego wiersza — co wydawcy często robią.

W artykule Burnhama o ,,Kulturze" jest wiele rzeczy nieścisłych, które wypływają z przesadnej oceny naszej roli. Ale warto podkreślić motyw i intencję artykułu. Zgodzi się z nami Czytelnik, że nie jest rzeczą codzienną poświęcić w piśmie amerykańskim całą stronę dziejom jednego z polskich pism emigracyjnych.

Burnham jest oburzony — oburzony do żywego, że nam nikt stale i wydatnie nie pomaga. Głównym źródłem finansowym ,,Kultury" — pisze Burnham — są jedyne wpływy z prenumeraty pisma i indywidualne wpłaty na Fundusz ,,Kultury" pochodzące przeważnie od emigrantów wschodnio-europejskich. Możliwości ,,Kultury" są absurdalnie ograniczone... *by the financial anemia.*

I w tym miejscu kurtyna idzie do góry. Burnham zwraca się z apelem do swoich czytelników, by na jego ręce przekazywali czeki nie mniejsze niż na 500 dolarów, które on wpłaci na Fundusz ,,Kultury".

Jesteśmy finansowo ,,anemiczni", ale niezależni i takimi pragniemy pozostać. A Burnhamowi jesteśmy wdzięczni za jego gest, podyktowany uznaniem i przyjaźnią.

LONDYŃCZYK

Zmiany struktury ludnościowej w Polsce (1)

Odmienność współczesnej Polski od przedwojennej nie jest wyłącznie następstwem zmiany ustroju. Naturalnie jest to czynnik bardzo ważny, istotny, ale nie jedyny. Byłoby ogromnym uproszczeniem — niestety stosowanym — utrzymywać, iż wszystkie przeobrażenia jakie zaszły, są bądź ujemne, bądź wynikiem programowej działalności rządzącej partii komunistycznej. Najgłębsze przemiany zaszły w strukturze społecznej ludności. Są one tak wielkie iż ściślejsze będzie nazwanie tego procesu rewolucyjnym.

Polska nie jest zresztą jedynym krajem, który taką rewolucję przeszedł, ale rozegrała się ona inaczej. Pozostawmy na uboczu kraje typowo emigracyjne, dostosowane do przyjmowania wielkiej masy różnorodnej ludności i absorbowania jej w stosunkowo krótkim czasie, gdyż istnieją w nich specyficzne warunki, a ponadto napływ ludności z zewnątrz jest regulowany. Wręcz ogromne migracje wewnętrzne odbyły się w ZSSR. Nie był to ruch dobrowolny, lecz przymusowy, ale — obok przesuwania ludności ze względów politycznych i narodowościowych — industrializacja kraju spowodowała ruch o charakterze gospodarczym. Nastąpił odpływ ludności wiejskiej do miast, powstały nowe ośrodki przemysłowe.

Migracja w Polsce rozpoczęła się w tragicznym wrześniu 1939 r. i miała oczywiście charakter czasowy, ale wypadki wojenne tę czasowość przedłużyły. Dalej, wcale poważny odsetek ludności znalazł się dobrowolnie czy przymusowo poza granicami państwowymi.

W czasie wojny, w okresie okupacji, dokonały się pierwsze przemiany oblicza społecznego ludności. I jakkolwiek odbywały się pod naciskiem, pod naporem konieczności, tym niemniej jed-

nak pozostawiły głęboki ślad. Więcej, przygotowały glebę do następnej fazy.

W formie niezwykle radykalnej rozerwane zostały tradycyjne podziały stanowe, grupowe, zawodowe. Za jednym zamachem zniknął tak głęboko zakorzeniony, przede wszystkim wśród inteligencji zawodowej, światopogląd emerytalny, rzekomy brak talentu i wstręt do handlu. Okazało się nagle, że Polska posiada najlepszych, najsprytniejszych kupców, ba, spekulantów. Te talenty zresztą odegrały ogromną rolę w utrzymaniu kraju przy życiu.

Społeczeństwo wykazało zdolność dostosowania się do najtrudniejszych i do najbardziej nieprzyjaznych warunków. Przeprowadzono już wówczas przewartościowanie niejednej wartości.

Na tle szoku psychologicznego, w następstwie klęski wrześniowej i okupacji, deprecjacja poszczególnych wartości posuwała się często zbyt daleko. Zasadnicze jest jednakże samo poderwanie względnie rozerwanie poprzednio obowiązujących norm. Bez tego proces przeobrażeń po wojnie musiałby mieć inny przebieg.

Położenie przymusowe

Polska w nowych granicach musiała politycznie znaleźć się w orbicie sowieckiej. ,,Ustawić Polskę w takich granicach oznaczało uczynić z niej siłą protektorat rosyjski, niezależnie od tego czy jej rząd był komunistyczny czy też nie. Nie mogę powiedzieć czy Churchill i Roosevelt zdawali sobie z tego sprawę, w każdym razie przykro mi to oświadczyć — propozycja przesunięcia Polski na Zachód przy absolutnym nieuwzględnieniu stabilności Europy wschodniej w przyszłości oraz przy jaskrawym zaprzeczeniu zasad Karty Atlantyckiej, stanowiącej dzieło Roosevelta i Churchilla, pochodziła raczej od nich aniżeli od Stalina''. (George Kennan: *Russia and the West under Lenin and Stalin,* str. 61).

Kraj znajdował się nie tylko w gruzach, w chaosie ale i w ruchu. Przewalały się przezeń w różne strony setki tysięcy i miliony osób. Nie tu miejsce na analizę wartości i przydatności ówczesnej administracji państwowej, nastawienia do niej społeczeństwa ani też na naświetlenie jej poczynań na różnych odcinkach, gdyż interesuje nas wyłącznie proces osiedlania się ludności.

Administracja centralna i terenowa wydawały różne instrukcje, ale w pierwszym okresie powojennym miały one minimalny praktyczny wpływ na kierunek osiedlania się. Odbywał się samowolny proces, w którym dużą rolę odgrywała przypadkowość.

Elementy przemian

Zmiany w składzie ludnościowym, w jej strukturze zostały spowodowane następującymi czynnikami: a) przesunięciem gra-

nic, b) repatriacją i reemigracją, c) urbanizacją i industrializacją, d) zmianą ustroju, e) całkowitą niemal eksterminacją ludności żydowskiej przez Niemców.

Rosja zajmując niemal połowę dawnego obszaru Polski ani mogła ani chciała zachować jej rdzennie polską ludność. Gdyby więc nawet nie istniała ze strony tej ludności aż nadto zrozumiała tendencja opuszczenia tych obszarów, zostałaby do tego zmuszona. Repatriacja była ponadto konieczna dla obsadzenia wyludnionych obszarów, które odpadły od Niemiec i znalazły się w granicach Polski.

Odpływ ludności niemieckiej rozpoczął się wprawdzie wraz z wycofywaniem się wojsk niemieckich, ale trwał jeszcze kilka lat. Jak wynika z aktualnej oceny polskiej, na terenie ZSSR już po zakończeniu ostatniej repatriacji 1959 r., znajduje się 1.380.000 Polaków (1). Zważywszy iż na dawnych obszarach Polski pozostała raczej nieznaczna ilość, należy przypuszczać, że gros Polaków znajduje się w głębi ZSSR.

Ilościowo nieduże ośrodki polskie w państwach, które znalazły się w bloku sowieckim, zostały w większości repatriowane. Powróciła część emigrantów z Francji i Niemiec, a wreszcie jeńcy, wywiezieni na roboty oraz część żołnierzy wojsk polskich walczących na Zachodzie. Nie brakło reemigracji, liczebnie b. ograniczonej, ze wszystkich nieomal krajów.

W podobnej jak Polska sytuacji gdy chodzi o napływ różnorodnego elementu, (jednakże jednorodnego narodowo) znalazły się dwa kraje: Niemiecka Republika Federalna i Izrael. Porównawcze zbadanie tych procesów byłoby niezwykle interesujące. Zwrócimy jedynie uwagę na pewne podobieństwa i różnice. Ludność polska wracająca na dawne terytorium państwowe, które opuściła wskutek wypadków wojennych, nie stanowiła żadnego problemu ani nie stawała przed nim. Wykluwały się one dopiero później. Tego typu repatriantów poza jeńcami wojennymi — nie miały ani Niemcy ani Izrael. Ale do tych wszystkich państw przybywała ludność o różnych zapleczach, odmiennych tradycjach i zwyczajach.

Kolonizacja Ziem Zachodnich

W Polsce istniał, niezwykle ważny politycznie i gospodarczo, problem zaludnienia i faktycznego włączenia Ziem Zachodnich do obszaru państwowego i narodowego. Ziemie te stały się obszarem kolonizacyjnym w najszerszym tego słowa znaczeniu. W pierwszym zresztą okresie z wszystkimi ujemnymi właściwościami. Niezależnie jednak od tego terenu kolonizacyjnego pozostały obszar także był nie wolny od ruchów ludnościowych. Nawet turysta zdoła bez trudności ustalić, iż w każdej

*) M. Kiełczewska-Zaleska, A. Bonasewicz: *Rozmieszczenie Polaków zagranicą*. Problemy Polonii Zagr., T. I. Warszawa, 1960.

miejscowości w Polsce znajduje się znaczny odsetek niedawno osiedlonych. W Warszawie wynosił on np., według danych powszechnego spisu ludności z dn. 3 grudnia 1950 r., 22,9% a w Łodzi 34.9%.

Siłą faktu procesy przemian w strukturze ludnościowej wyglądają inaczej na Ziemiach Zachodnich aniżeli w pozostałej części Polski. Na Ziemiach Zachodnich bowiem formowała się dopiero społeczność polska, i to z tak rozmaitych, pod każdym względem, elementów i w tak specyficznych warunkach, iż bez przesady można powiedzieć, że powstała tam istotnie nowa formacja społeczna.

Obraz demograficznych zmian na Ziemiach Zachodnich dają w pierwszym rzędzie źródłowe prace pp. Bogusława Wełpy, Leszka Kosińskiego, Krystyny Pudło i Adama Jelonka zamieszczone w tomie ,,Problemy rozwoju gospodarczego i demograficznego Ziem Zachodnich w latach 1945-1958''. (Poznań, Instytut Zachodni 1960 r.). Inni autorzy, no i oczywiście publikacje statystyczne, dostarczają wcale obfitego materiału, pozwalającego na wyciągnięcie jednego podstawowego wniosku: problem zaludnienia został nieomal w pełni pozytywnie rozwiązany. W 1939 r. na obszarze Ziem Zachodnich mieszkało około 8,500,000 osób, a w końcu 1959 r. ok. 7,500,000, podczas gdy w 1946 tylko 2,600,000. Ostateczne wyrównanie stanu ludnościowego winno nastąpić w ciągu kilku lat, głównie już jako wynik przyrostu naturalnego. Nie od rzeczy będzie tutaj wspomnieć, że około 2,000,000 mieszkańców tego obszaru to dzieci i młodzież na nich urodzona. Miasta Szczecin i Wrocław, co rzuca się w oczy przechodniowi, to ośrodki o największej ilości dzieci i młodzieży.

Żywotność mitów

Nic bardziej nie utrzymuje się jak legendy. Głoszą one np., że Wrocław zaludniony został przez lwowiaków, że trzon osadników to tak zwani Zabużanie a więc repatrianci z obszarów zagarniętych przez ZSSR. Rzeczywistość przedstawia się inaczej.

,,Ogólnie stwierdzić więc można na podstawienia zestawienia danych o pochodzeniu regionalnym ludności Wrocławia z różnych źródeł, że w końcu 1947 roku 70-75% mieszkańców tego miasta byli to przesiedleńcy z Polski centralnej i dawnych województw zachodnich, 20-23% stanowili repatrianci ze Związku Radzieckiego. Pozostałe grupy ludności stanowili reemigranci z innych krajów europejskich i pozaeuropejskich, oraz ludność miejscowa. Każda z tych grup stanowiło 1-2% ogółu mieszkańców miasta''. (Irena Turnau: Studia nad strukturą ludnościową Polskiego Wrocławia, Poznań, Instytut Zachodni, 1960 r.).

Ta sama autorka, analizując tabele statystyczne oraz wyniki ankiet odnośnie miejsca zamieszkania przed przybyciem do Wrocławia wywodzi:

,,Na podstawie najogólniejszej analizy wyników badań odnoszących się pochodzenia regionalnego ludności Wrocławia w roku 1947 stwierdzić należało, że rozwiały one mit o utworzeniu tego miasta przez repatrianów ze Związku Radzieckiego, przede wszystkim zaś z byłego woj. lwowiego. Mit ten jest popularny dotychczas wśród pewnej części mieszkańw Wrocławia. Uzasadnia go znaczna część inteligencji, która przybyła Wrocławia z większych miast dawnych ziem wschodnich, przede wszy zim Lwowa i Wilna''.

Tworzenie polskiego Wrocławia zaliczyć należy do dzieła oicznego. Pozostanie to jednym z największych osiągnięć. ramatyczny przebieg tego dzieła przebija się z kartek pękatego mu wspomnień pt. ,,Trudne dni'', Wrocław 1945 r. we wspomnieniach pionierów. Z 39 autorów wspomnień nie więcej aniżeli ęciu przybyło z woj. lwowskiego.

Specyfika osiedlenia Wrocławia, jego następny rozwój, poga na tym, iż około 40% mieszkańców przybyło bezpośrednio wsi.

,,Na podstawie uzyskanych materiałów, odnoszących się do pochodzea mieszkańców Wrocławia w latach 1947-48, stwierdzić można z wszelką wnością, że poważna ich część od 33 do 40% przybyła do tego miasta zpośrednio ze wsi. Przewaga przesiedleńców tego typu przybyła do Wroawia z województw: poznańskiego, łódzkiego, kieleckiego, krakowskiego, eszowskiego i lubelskiego. W grupie repatriantów ze Związku Radziecego wyróżniają się, przewagą osadników pochodzących ze wsi, dawne ojewództwa: tarnopolskie i nowogródzkie, słabo zagospodarowane w okresie ędzywojennym''. (I. Turnau, j.w. str. 63).

Procent ludności z małych miasteczek wynosił 15,4% a ze ednich 36,2%.

W 1939 r. Wrocław liczył 639,700 mieszkańców, a w ostatm okresie wojny około miliona. Kiedy dr Bolesław Drobner zejmował miasto z rąk sowieckiego komendanta wojennego maja 1945 r. znalazł je w 65% w gruzach a szereg budynków onęło, inne spotykał ten sam los w następnych dniach i tyodniach.

,,Wrocław pierwszych pionierskich miesięcy podobny był istotnie do u, w którym równie łatwo dostać kulą zza węgła, jak nożem w plecy. piališmy z karabinami przy łóżku''. (Stanisław Kulczyński: Grupa naukowo-kulturalna w pracy zbiorowej ,,Trudne dni'', str. 125).

W 1947 r. ludność tego miasta wynosiła ok. 250.000 to jest . 100,000 więcej aniżeli w 1945 r. z tym, iż skład ludności egł zmianie. Obecnie mieszka tam ponad 350.000 Polaków. rocław jest jednym z tych wielkich miast, który nie osiągnął ludnienia przedwojennego.

Szczecin w chwili obejmowania przez administrację polską dniu 8 lipca 1945 r. liczył 84,000 mieszkańców w porównaniu 383,000 w 1939 r. a na dzień 31.12.1959 r. według szankowych obliczeń Głównego Urzędu Statystycznego, 255.100.

Dane liczbowe

Z oficjalnych zestawień statystycznych dotyczących ruchu ludności wynika, że z obszarów wschodnich, zajętych przez ZSSR, przybyło do Polski w ramach pierwszych umów repatriacyjnych ponad 1,700.000 osób, podczas gdy

„od lipca 1945 do końca 1949 r. przez punkty Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na granicy zachodniej wróciło do Polski 1,482,042 osoby. Ponadto w okresie od lipca 1945 r. wróciło z Zachodu, przede wszystkim z Niemiec, według szacunków Ministerstwa Komunikacji około 800 tys. ludzi". Ryszard Zieliński: *Ruchy migracyjne między Odrą a Bugiem w latach* 1939-1950, Poznań 1960 r. Wydawnictwo Zachodnie).

Bardzo wymowną ilustracją ruchów migracyjnych jest analiza zasiedlenia Ustki, małego nadmorskiego miasta rybackiego w woj. koszalińskim przeprowadzona przez Zygmunta Duczewskiego (*Przebieg zasiedlenia Ustki w latach* 1945-46, Studia i materiały do dziejów Wielkopolski i Pomorza, tom I, zesz. 2, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Poznań 1956 r.).

Opierając się na zestawieniach dokonanych z księgi meldunkowej autor dowodzi, że przybyła tam dosłownie ludność z wszystkich części Polski.

„Na 2.306 osób zameldowanych w latach 1945-1946, których miejsce pochodzenia można było dokładnie ustalić, największa ilość (blisko 3/5) przypada na byłe tzw. województwa centralne, tj. warszawskie (623), łódzkie (110), kieleckie (350), lubelskie (187) i białostockie (81). Razem z województw tych osiedliło się 1351 osób. Z byłego woj. pomorskiego osiedliło się 327 osób, poznańskiego 101, krakowskiego 89, śląskiego 19. Z woj. rzeszowskiego (część, która należała do byłego woj. lwowskiego) 129. Z byłych terenów państwa polskiego, które weszły w skład ZSRR 290 osób (Ukraińska SRR 23, Białoruska SRR 163, Litewska SRR 54)" (Dulczewski: j.w. str. 262-3).

Formowanie się społeczeństwa

Na Ziemie Zachodnie, w pierwszych latach osiedlania, przybyło ponad 4,500.000 Polaków nie tylko z różnych części kraju, ale i innych państw. Mało tego, znakomita większość uruchomianych zakładów przemysłowych nie posiadała kwalifikowanych robotników. W niektórych odsetek sił roboczych, przybyły bezpośrednio ze wsi, wynosił, jak np. w przemyśle tekstylnym w Wrocławiu, do 80%. Nowa Huta pod Krakowem, która powstała nieco później rekrutowała swoich robotników również ze wsi. Podobnie działo się i dzieje w całej Polsce.

Na Ziemiach Zachodnich proces był bardziej złożony, gdyż tam dochodził element politycznego scalenia terytorium z całością kraju, należało wytwarzać nową świadomość w osadnikach. Adaptacja była wieloraka, nie tylko osadnicy musieli przysto-

ować się do nowych warunków bytu i pracy, ale terenu, środowiska i ludności autochtonicznej — chociażby najszczuplejszej — musieli przełamywać swoje bardzo wąskie regionalne przyzwyczajenia itp., musieli się zlać w jedną masę narodową i wytworzyć własne oblicze. Ten proces wydaje się już ukończony.

,,Pojęcia adaptacja społeczna, więź lokalna, integracja społeczna, autochtonizacja — odzwierciadlają etapy zrastania się ludności osiedleńczej z nowym środowiskiem społeczno-geograficznym. Od początkowej potrzeby zwykłego, zewnętrznego ,,przystosowania się" osadnika do nowych warunków (adaptacja) dochodzi z biegiem czasu do ścisłego zespolenia z nowym środowiskiem, zżycia się z jego mieszkańcami i poczuwania się do odpowiedzialności za jego rozwój gospodarczy i kulturalny (autochtonizacja)... Społeczeństwo Pomorza Zachodniego jest przykładem zdolności i przedsiębiorczości polskich osadników, którzy potrafili podjąć i opanować technicznie i kulturalnie trudne i odpowiedzialne zadania zagospodarowania Pomorza i jego wybrzeża". Z. Dulczewski: *Tworzenie się nowego społeczeństwa na Pomorzu Zachodnim*, referat wygłoszony na Międzynarodowej Konferencji Pomorzoznawczej we wrześniu 1960 r. w Szczecinie. Streszczenie w miesięczniku ,,Szczecin" Nr 6/7 z 1960 r.).

Już sama migracja wystarczyłaby do zmiany oblicza społecznego ludności, ale dopiero procesy industralizacji i urbanizacji dokonały tego w rozmiarach i zakresie rewolucyjnym. Naturalnie Polska nie jest jedynym ani też pierwszym krajem o podobnych przemianach. Wręcz przeciwnie niemal wszystkie państwa przeszły rewolucje przemysłowe, znają okresy gwałtownych zmian struktury gospodarczo społecznej, gorączkę budowy nowych miast, wielkie przesunięcia mas ludności. Ale to w niczym nie narusza ani zmienia fenomenu polskiego, ani jego swoistości. Niewątpliwie ogromny wpływ wywarł fakt, że te przemiany toczą się w okresie głębokich przemian na całym świecie, w latach ogromnych osiągnięć technologicznych, naukowych, kiedy właściwie wszystko na całym świecie jest w stałym ruchu.

Przemiany na wsi

Także wieś polska, albo raczej przede wszystkim wieś, owa najbardziej konserwatywna jednostka społeczno-gospodarcza, została wciągnięta w proces radykalnych przemian. Jeśli nawet przeciętny obserwator może stwierdzić łatwo, że poziom stopy życiowej wzrósł w porównaniu z okresem przedwojennym, to dopiero bliższe zapoznanie się daje pełny obraz. Wiemy, że około 3.000.000 ludności wiejskiej w pełni lub częściowo zatrudnionych jest poza rolnictwem. Niektórzy w ogóle odpłynęli ze wsi, inni jeszcze mieszkają. Szacunek przeprowadzony na podstawie ankiety Instytutu Ekonomiki Rolnej w 1957 r. wykazuje, że około miliona rodzin chłopskich tzn. 27 % wszystkich rodzin chłopskich czerpie większość dochodów z pracy poza gospodarstwem. Ale to nie wyczerpuje całości, gdyż dalszych około 20 %

rodzin czerpie część dochodu z innych źródeł. A więc około połowy rodzin chłopskich wiąże swoje dochody z pracy poza gospodarką, co oczywiście wywiera ogromny wpływ na gospodarcze, społeczne i kulturalne oblicze wsi.

Nie sposób w tym miejscu przedstawić statystycznego obrazu tych przeobrażeń i szczegółowych analiz. Zainteresowani znajdą je w publikacjach: ,,Zagadnienia Ekonomiki Rolnej i Wieś Współczesna'' a w szczególności w pracach: Bogusława Gałęskiego, Marii Czerniawskiej i Anny Szemberg. Ta ostatnia w rozdziale większej pracy, w całości jeszcze nie ogłoszonej, ,,Zmiany struktury agrarnej a zarobkowanie ludności'' wywodzi m.in.:

,,Problem zarobkowania rodzin chłopskich nie jest więc problemem na krótką metę. Nie jest też problemem nowym. Kilkadziesiąt lat temu wskazywali klasycy literatury marksistowskiej, że rozwój wielkiego przemysłu nie oderwie od razu i całkowicie rolnika przekształconego w robotnika od ziemi, a nawet odwrotnie, spowoduje powstawanie wciąż nowych, własnych lub dzierżawionych, działek ziemi, stanowiących miejsce zamieszkania i uzupełnienie dochodu. Ten typ ewolucji dokonywał się w państwach będących dziś na najwyższym stopniu uprzemysłowienia, a wówczas stawiających pierwsze kroki w tej dziedzinie. *Wprawdzie był to inny etap rozwoju sił wytwórczych i inny ustrój społeczno-ekonomiczny, ale ta prawidłowość rozwojowa w dziedzinie wpływu uprzemysłowienia na zmiany w strukturze obszarowej wsi potwierdza się i w naszych warunkach.*

Można by to sformułować następująco: na wczesnym etapie uprzemysłowienia, kiedy rozwijający się przemysł nie jest w stanie wchłonąć *całej nadwyżki siły roboczej ze wsi, nieuchronnym zjawiskiem w dziedzinie struktury obszarowej wsi jest powstanie dużej ilości gospodarstw, w których głowy lub członkowie rodzin zarobkują poza własnym gospodarstwem rolnym.* (Podkreślenia moje B. H.)

Etap, kiedy obok rozwijającego się, a nawet już rozwiniętego dużego przemysłu istnieje liczna grupa drobnych gospodarstw półrolniczych-półrobotniczych (pracowniczych), nie jest etapem szybko przemijającym. Zjawisko to, chociaż w jego ramach dokonują się ciągłe zmiany jest dziś w pewnym stopniu trwałą cechą struktury wsi wielu państw wysoko uprzemysłowionych, a więc nie można go ograniczać tylko do wczesnego etapu uprzemysłowienia, chociaż niewątpliwie jest ono najbardziej masowe i wykazuje najszybsze tempo rozwoju właśnie we wcześniejszym okresie industrializacji''. (*Wieś Współczesna* Nr 3, 1961 r.).

Ta ocena jest wielce charakterystyczna, gdyż równa się faktycznemu przekreśleniu dawnych tez komunistycznych o przebudowie rolnictwa.

Rola chłopa-robotnika na wsi

Maria Dziewicka stawia sprawę tę jeszcze wyraźniej odpowiadając na rozpowszechniony pogląd głoszący, iż chłopi-robotnicy są ,,czynnikiem hamującym socjalistyczną przebudowę wsi'', gdyż nie odgrywają pozytywnej roli w gospodarstwie rolnym,

ę są związani z wsią ale kierują swoje zainteresowania do asta. Ponadto są najbardziej konserwatywnym elementem, yż pragną zachować dla siebie cząstkę gospodarki rolnej. W n sposób przyczyniają się do rozdrobnienia gospodarstw łopskich a ponadto odpowiedzialni są za bezplanowe zabuwanie osiedli.

Dziewicka nie przeczy, iż w tych zarzutach jest część praw-, ale zdaniem jej ubytek rąk rolniczych zmniejsza przeludenie agrarne, co jest zjawiskiem dodatnim. Najważniejsze dnak jest to, że wskutek tego procesu istnieje na wsi ludność lnicza i nierolnicza. Działają gałęzie obsługujące rolnictwo co owoduje lepszą ogranizację pracy, co pozwoli na przejście ,,wyższych form gospodarowania''.

Następnie wywodzi:

,,Penetracja na wieś miejskiego stylu życia, sposobu myślenia, który ąże powstawanie dochodu raczej z pracą i jej wydajnością niż z ziemią niejsza tradycjonalne przywiązanie do ziemi i indywidualnej gospodarki nej...

Przeszkodą na drodze do socjalistycznej przebudowy wsi jest niewątwie niechęć chłopów do zmiany tradycyjnego sposobu gospodarowania radycyjnego sposobu życia. *Ich lęk przed spadkiem dochodu, utratą osobij niezależności, prawa do dysponowania swoim dochodem i swoim czan, nieumiejętność organizowania pracy zespołowej.* Ważne jest jednak istnieją inne wzory życia. (Podkreślenia moje B. H.).

Już są; wzrost liczby nierolniczej ludności na wsi, i to nieraz reprezentących już wyższą stopę życiową i większą swobodę dysponowania swoim asem stwarza nowe wzory. Prowadzenie indywidualnego gospodarstwa rolgo przestaje być jedynym możliwym i jedynym dobrym sposobem życia. *ż samo zjawienie się na wsi ludzi, związanych dyscypliną pracy zespoej, uczestniczących w szerszym kręgu społecznym, czerpiących dochód z posiadanych hektarów, żyjących ,,po miejsku'' rozbija patriarchalną ołeczność wiejską. Wcale nie chodzi o to, że jak sądzono dawniej, chłopiotnicy są najbardziej postępowym elementem wsi, że staną jako robotnicy czele przebudowy wsi. Wydaje się, że nic takich twierdzeń nie uzadnia. Ale przez samo swoje istnienie, przez samą swoją pozycję społecz-, dają poglądową lekcję znaczenia społecznego podziału pracy, innych, za prowadzeniem indywidualnego gospodarstwa rolnego, wzorów życia racy''.* (Podkreślenia moje (B.H.) (,,Wpływ wykształtowania się grupy łopów-robotników. *Wieś Współczesna* Nr 5 1961 r.).

Teoretycznie rozumowanie prof. Dziewickiej jest bezbłędne, e — jak dotychczas — obraz praktyczny jest inny i jest wątplie czy jej pogląd trafi do przekonania chłopom, bo *decydujący st tutaj czynnik psychologiczny.*

Vpływ na miasto

Obok wpływu chłopa-robotnika na wieś istnieje także wcale ęboki wpływ na miasto, spotęgowany faktem przejścia znaczj liczebnie masy na stałe do miast i osiedli przemysłowych.

Te świnki i kozy w wannach to jeden z zewnętrznych, jaskrawych przejawów, ale jest ich znacznie więcej i bardziej poważnych. Adaptacja chłopa, który całkowicie przeszedł do miasta i osiedlił się w nim postępuje względnie szybko. Warsztat pracy odgrywa tu decydującą rolę. Tam gdzie ilość ziomków jest mała, zrywa się szybko nie tylko więź z dawną zbiorowością, ale przełamują się zwyczaje i obyczaje. Urok obyczajów miejskich działa wpierw silniej na dziewczęta i kobiety. Pragną się jak najszybciej upodobnić do otoczenia. Mężczyźni są bardziej oporni, ale gdy poczynią pierwszy krok, to następne idą grubo szybciej aniżeli u kobiet.

Z wywiadów przeprowadzonych w różnych miastach zdaje się wynikać np., że młode dziewczęta ze wsi częściej zmieniały warsztaty pracy, a nawet rodzaj zatrudnienia, miały większą ambicję awansu społecznego, podczas gdy mężczyźni zdradzali skłonność do trwania przy pierwszych warsztatach pracy. Innym rysem kształtującym przemiany społeczne jest to, że ta warstwa, ściślej jej dzieci, zasila kadry nowej inteligencji w większym stopniu aniżeli wieś, jakkolwiek udział tej stale się zwiększa. W czasie dwukrotnych podróży po Polsce w 1958 i 1960 r. nie napotkałem wsi, która by nie dostarczyła miastom jakichś pracowników umysłowych względnie milicjantów i żołnierzy służby stałej w różnych stopniach.

(Dokończenie nastąpi)

Benedykt HEYDENKORN

Najnowsza historia Polski

·abotaż czy wypadek

W kwietniowym numerze „Kultury" (dla nas w Australii ł to numer czerwcowy), pisze Franciszek Kalinowski o kata-ofie w Gibraltarze, że „Był to jeden z bardzo wielu wypadków :niczych, których całkowicie nigdy nie zdołano wyjaśnić". latego też — dopóki nie znajdzie się wyjaśnienia — nie da ę wykorzenić dość powszechnych podejrzeń o „brudną robo-". Sam pan Kalinowski wydaje się mieć wątpliwości, skoro ·wiada: „Co do mnie, to zgadzam się z opinią brytyjskiej komi- i sądzę, że sabotażu nie było". A zatem tylko sądzi, głowy nie dał, bo tak reasumuje wyniki przeprowadzonych docho-eń: „fizyczna możliwość sabotażu istniała, ale akt sabotażu ·rowadzony na podstawie badań do steru wysokościowego jest :hnicznie trudny do wyobrażenia w szczególnych warunkach w czasie ograniczonym do 15 sekund". Innymi słowy, sabo-ż był możliwy, ale wymagał więcej czasu i wyobraźni... sabo-żysty.

W istocie, dokonanie sabotażu było tak dziecinnie proste, uwłaczałoby zawodowej dumie szanującego się zamachowca. -zypadek zrządził, że potrafiłbym spowodować katastrofę Libe-tora, która by miała, słowo w słowo, następujący przebieg: Samolot wystartował zupełnie normalnie, wzniósł się na około ·o stóp, silniki — wszystkie cztery — pracowały doskonale, ɔ czym przeszedł w lekki lot nurkowy...". Tu przyznaję, że - zawdzięczając panu Kalinowskiemu — po raz pierwszy nat-nąłem się na dokładny opis tragicznego startu i dopiero teraz ·ogę nadać uprzednim domysłom formę tezy.

Zacznę od osobistego doświadczenia. 19 sierpnia, 1944 ku, na lotnisku Maison Blanche (Algieria), odebrałem Liberatora

---

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność torów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

przeznaczonego dla dywizjonu współpracy z krajem, stacjonowanego w Brindisi (Włochy). Drugim pilotem był chorąży Jastrzębski, nawigatorem — porucznik Wojtanowicz, mechanikiem pokładowym — sierżant Masłoń. Albo nie miałem ,,radioty'', albo zapomniałem wpisać jego nazwisko do ,,log book'u'' i dziś już nie pamiętam. Ponieważ manipulacje mechanizmem blokowania sterów wykonuje mechanik, więc podkreślę, że Masłoń zęby zjadł w swojej specjalności. Miał za sobą nie byle jaką praktykę. Właśnie skończył kolejkę operacji na Liberatorze, w załodze samego ,,Cesarza'' (mjr. Stanisław Król, dowódca polskiej eskadry specjalnej), pod czujnym okiem wytrawnego pilota, chorążego ,,Kuby'' Kłosowskiego (jedyny podoficer odznaczony krzyżem Virtuti Militari IV klasy). Prawdopodobieństwo, że Masłoń coś sknoci, było mniej więcej takie, jak pomyłka w pacierzu u statecznej dewotki

Samolot był oblatany poprzedniego dnia, busola skompensowana i zbiorniki wypełnione paliwem. Na stoisku (,,punkt rozproszenia'' jest wprawdzie wiernym tłumaczeniem angielskiego ,,dispersal point'', ale brzmi sztucznie, natomiast istniejący wyraz ,,stoisko'' jest tu użyty synonimowo, ale doskonale określa miejsce dla ,,stojącego'' samolotu) — na stoisku wypróbowałem silniki: grały, jak świeżo nastrojone organy. Stery zablokowane, co pomaga w kołowaniu, bo wystarczy lekko nacisnać hamulec prawego lub lewego koła i maszyna skręca w pożądanym kierunku. Toczymy się po betonowych arteriach lotniska i zatrzymujemy na skraju rozpędni (mój pomysł na tłumaczenie angielskiego terminu ,,runway''), pod kątem prostym do kierunku startu. Następuje seria czynności pokładowych. Melduję gotowość i dostaję z wieży kontrolnej pozwolenie na start. Ostatni rzut oka na tablicę rozdzielczą i skinieniem głowy daję mechanikowi znak do odblokowania sterów. Ujmuję manetki gazu, pcham do trzech czwartych mocy i — naśladując fason Zbyszka Szostaka (zginął w locie do Warszawy) — zwalniam hamulce, daję silnikom z jednej strony pełny gaz. Liberator ostrym łukiem wpada na rozpędnię. Piętnaście, dwadzieścia stopni zanim przyjmie prosty kierunek — pełny gaz pozostałym silnikom. Bezwładność masy prostuje start. Szybkość rośnie błyskawicznie, ciągnę ku sobie drąg steru wysokości, samolot odrywa się od ziemi. Krótko mówiąc, na wypróbowanym samolocie najnormalniejszy w świecie start. Mechanik chowa podwozie, ja włączam sobie neutralny kontakt automatycznego pilota.

Wtem skręca mi się w dłoniach koło sterowe, samolot przechyla się na skrzydło. Oblewa mnie zimny pot i resztki włosów stają dęba. Co się dzieje? ,,Odblokuj stery!'' ryczę do Masłonia. Nonsens — stery zostały odblokowane na ziemi, w przeciwnym razie start był niemożliwy. Ale kto tam rozumuje w panice? Grat mi się wali, nie mogę wyprostować steru. Silniki na małym skoku grzmią, a maszyna z częściowo wypuszczonymi klapami traci szybkość. Sekunda, dwie i rąbniemy na ziemię. A już

włem po lotach operacyjnych i lada dzień miałem popłynąć do nglii. Co za parszywe szczęście! Przed rokiem byłem zestrzeny nad Francją, udało mi się uniknąć niewoli i wróciłem do lackpool, gdzie mogłem zapijać szkocką wodnistym piwem ɔ końca wojny. To zachciało mi się dalej latać i teraz, na upim przelocie, jeszcze głupsza śmierć... Laik nie zrozumie, jak lot jednym spojrzeniem potrafi ogarnąć dziesiątki zegarów, skazówek i światełek na tablicy rozdzielczej. To przychodzi wprawą i dzięki temu mogę dziś wyjaśnić katastrofę w Gibralrze. Jeden „guziczek" nie był w na swoim miejscu: kontakt zechylenia w automatycznym pilocie był włączony. Wyłączym. Wątpię czy nawet mechanik spostrzegł co się stało, gdyż szystko jest dobre, co się dobrze kończy, a mnie było później styd o tym wspomnieć.

Gdybym, przed zauważeniem pozycji wspomnianego „guczka", rozwalił maszynę i jakimś cudem ocalał, to byłbym po ziś dzień najświęciej przeświadczony, że przyczyną „kraksy" usiała być niewytłumaczalna wada w urządzeniu blokowania erów. Tymczasem rzeczywistym powodem było przypadkowe łączenie automatycznej kontroli lotek. Tu postaram się, bez nikania w zawiłości techniczne, opisać działanie automatu steɔwania „Spery", który był stosowany w samolotach amerykańskiej konstrukcji, a więc i w Liberatorze.

Samoczynne sterowanie, zwane w anglosaskiej gwarze loticzej „George" (próbowałem to przechrzcić na Felusia, ale ez powodzenia, i pozostał dżordż), służy do trzymania samolotu równowadze i na wytkniętym kierunku. Jest to znakomite dogodnienie, nader pożyteczne w długich lotach, kiedy odchyleie kursu o jeden tylko stopień daje milę morską zboczenia z tray, na każde sześćdziesiąt węzłów. Przy szybkości, powiedzmy, wustu węzłów i po dziesięciu godzinach (przeciętny czas lotu p. z Włoch do Polski w owych czasach), stanowi to poważny łąd. Oczywiście, człowiek nie byłby w stanie usiedzieć tak ługo, wślepiony w igłę busoli. Na upartego, można sobie porazić bez dżordża, bo nawigator stale oblicza pozycję samolotu dyktuje pilotowi konieczne poprawki kursu. Ale tych poprawek est znacznie mniej, gdy „prowadzi" dżordż, a jednocześnie ilot oszczędza swoją sprawność fizyczną i mentalną na te moenty lotu, w których od jego bystrej percepcji i prawidłowej eakcji będzie zależał los wyprawy, załogi i sprzętu.

Jak z elementarnej mechaniki wiadomo, masa wprowadzona odpowiednio szybki obrót dokoła swej osi — zachowuje rówowagę. Zanim jeszcze nauka dostrzegła to zjawisko, znana była abawka dla dzieci, tzw. bąk. Nazwa przyjęta od owada, który – z zawrotnym ruchem skrzydeł — potrafi zawisnąć w jednym unkcie przestrzeni. Zresztą, może było odwrotnie i owad dotał miano od zabawki. Tak czy owak, ktoś wreszcie poszedł o rozum do głowy i wynalazł żyroskop. Właśnie żyroskop staowi zasadę samoczynnego sterowania. Przez stosowne połącze-

nie sterów, przewodami ciśnienia cieczy lub gazu, z komorą żyroskopu — jakiekolwiek odchylenie samolotu od środka ciężkości masy jest natychmiast korygowane. Samolot, jak każda bryła, ma trzy osie: pionową, poprzeczną i podłużną. W stosunku do tych osi odbywa się skręcanie, wznoszenie względnie opadanie i przechylanie. W dżordżu ,,Spery'' statyczność na każdej z tych osi jest kontrolowana oddzielnie. To znaczy, można uruchomić sterowanie np. kierunku, bez angażowania automatu steru głębokości i lotek.

Manipulacja, przy włączaniu dżordża, wymaga odrobiny skupienia, ale jest prosta. Na tablicy rozdzielczej wygląda to z grubsza w ten sposób: pionowy pręt, długości trzech, czterech cali, jest włącznikiem żyroskopów i — w pozycji wyłączonej — zabezpiecza trzy sztyfty, które są kontaktami automatu, dla poszczególnych osi sterowania, mianowicie — licząc od góry — przechylenia, kierunku i głębokości. Po włączeniu żyroskopów, zapalają się trzy światełka, umieszczone w pokrętłach kontroli stateczności na trzech osiach masy samolotu. Każdemu pokrętłu odpowiada sztyft-kontakt samoczynnego sterowania. Owe światełka sygnalizują pilotowi, że w poprzednim locie — głównie na skutek zużycia paliwa — środek ciężkości uległ przesunięciu i dżordż wymaga uregulowania, dla ciężaru po uzupełnieniu zbiorników. Kręcąc kolejno pokrętłami aż światło zgaśnie, nastawia się od nowa stateczność maszyny. Kiedy światło zgaśnie, samolot jest wyważony na danej osi, włącza się odpowiedni kontakt, sterowanie przejmuje dżordż. Podczas lotu w miarę spalania benzyny, co jakiś czas dżordż nie wytrzymuje zmiany napięcia w przewodach ciśnienia na którejś z osi, i zapala się ostrzegawcze światełko. Trzeba podregulować świecące pokrętło. Jasne jest, że — po zużyciu, dajmy na to, trzech tysięcy galonów paliwa — regulacja samoczynnego sterowania różni się dość radykalnie od regulacji na początku lotu.

W moim przypadku, włączając pręt-kontakt żyroskopów, zawadziłem o sztyft-kontakt przechylenia i włączyłem samoczynne sterowanie lotek. Było ono nastawione dla statyczności po wielu godzinach lotu, i w tym układzie dżordż przejął prowadzenie. Na szczęście, przechylenie samolotu nie pociąga za sobą gwałtownej utraty wysokości, a szybkość po starcie przewyższa na tyle krytyczne minimum, że miałem czas dostrzec przyczynę swojego predykamentu.

Twierdzę, że — po starcie w Gibraltarze — pilot włączył żyroskopy samoczynnego sterowania i, fatalnym trafem, jednocześnie uruchomił automat steru głębokości. Nie potrzeba być ani konstruktorem, ani pilotem, a wystarczy chłopski rozum, żeby przewidzieć, co się w takim wypadku stanie. Pomińmy działanie dżordża na innych osiach i rozpatrzmy tylko oś poprzeczną. Zbiorniki paliwa mieszczą się w skrzydłach Liberatora a skrzydła znajdują się, mniej więcej, w jednej trzeciej długości kadłuba od dziobu. Czyż środek ciężkości, przy pełnych zbior-

nikach, wypada z grubsza również w jednej trzeciej z przodu samolotu. (Właściwie o środku ciężkości możemy zapomnieć, pamiętajmy tylko położenie skrzydeł z ciężarem paliwa). Otóż w locie do Gibraltaru pilot na pewno używał dżordża. W miarę spalania benzyny, malał ciężar w skrzydłach i przednia część samolotu stawała się lżejsza i — jak to mówią — maszyna z równowagi przechodziła w ,,ciężką na ogon''. Dżordż do czasu trzymał poziom, po czym ostrzegał światełkiem, że ma dość pilot regulował stateczność steru głębokości. To znaczy siły automatu przemieszczał w taki sposób, żeby odjąć napięcia w tyle, a dodać w przodzie. Innymi słowy, na pożytek dżordża, robił maszynę ,,ciężką na łeb''. Po dolocie do Gibraltaru, ten ,,ciężar na łeb'' był maksymalny.

Przed wylądowaniem pilot wyłączył dżordża, ale maszyna była prawie pusta i dżordż był nastawiony, żeby pchać jej łeb w dół, bo pod koniec lotu była bardzo ciężka na ogon. Następnego dnia, po napełnieniu zbiorników, odbył się start. Jeśli tak można powiedzieć, to z punktu widzenia dżordża nic się nie zmieniło. Wobec tego, kiedy Liberator oderwał się od ziemi i pilot włączył żyroskopy — nieświadomy że obsunął mu się palec i że jednocześnie uruchomił samoczynne sterowanie głębokości — dżordż momentalnie podusił maszynę na łeb, a pilot miał tylko czas pomyśleć, że ,,zablokowało'' mu stery. Kwestia zablokowania sterów, jako domniemana przyczyna katastrofy, stanowczo odpada. Blokowanie może nastąpić jedynie w neutralnym ustawieniu opierzenia sterującego. Liberator, będąc trzykołowcem, nawet na ziemi stoi w płaszczyźnie lotu poziomego. Gdyby więc, powiedzmy, mechanik pokładowy zaczepił czymś o rączkę mechanizmu blokującego i, jakimś mało prawdopodobnym zbiegiem okoliczności, stery znalazły się w sam raz w położeniu umożliwiającym blokowanie, to samolot mógł jedynie przejść w lot poziomy. O ile stałoby się to w chwili chowania klap, to koniec mógł być tragiczny, ale wyglądałby inaczej od opisanego przez naocznych świadków. Maszyna zapadłaby się do wody, jak kamień, a nie przeszła w lot nurkowy. Zresztą stwierdzono, że klapy nie wchodziły w grę. Nie waham się obciążyć winą wyłącznie dżordża, chociaż był mi wiernym kompanem i — z wyjątkiem figla w Maison Blanche — mam mu wiele do zawdzięczenia.

Zachodzi pytanie, dlaczego ta możliwość nie była brana w rachubę. Przecież konstrukcja automatu ,,Spery'' i sposób jego działania były dobrze znane, przynajmniej brytyjskiej komisji dochodzeń. Trudno przypuścić zwykłe przeoczenie i z pewnością dżordż był również poddany badaniom. No tak, ale dżordż (gdyby nawet zachował się w nienaruszonym stanie) działał przecież poprawnie, a chodziło tylko o położenie półcalowego sztyftu na tablicy rozdzielczej, przed jej zgruchotaniem. Fabryczna specyfikacja przewidywała ewentualne trudności dla pilota, w wypadku nieprawidłowego zachowania się automatu, i dla-

tego instrukcja zalecała włączanie żyroskopów dopiero na wysokości tysiąca stóp. Może ktoś tam i przestrzegał to zalecenie, ale w powszechnej praktyce było włączanie zaraz po starcie. (Zapomniałem podkreślić wcześniej, że włączenie żyroskopów nie ma nic do czynienia z usterzeniem i — przed włączeniem kontaktów stateczności — pilot ma całkowitą kontrolę sterów). Fakt nieprzestrzegania instrukcji miał swoje usprawiedliwienie (o ironio!) w dodatkowej gwarancji bezpieczeństwa, która polegała na tym, że samoczynne sterowanie ,,Spery'' może być przezwyciężone siłą mięśni dorosłego mężczyzny. Właśnie ta ,,gwarancja'', w dużym stopniu, przyczyniła się do tragedii w Gibraltarze. Albowiem w świadomości pilota nie groziło żadne niebezpieczeństwo ze strony dżordża, bo przecież — jeśliby zaszła potrzeba — można automat przemóc. Nie próbowałem, ile do tego trzeba siły, ale przekonałem się na własnej skórze, że — gdy człowiek nie zdaje sobie sprawy, iż dżordż działa — ster jest tak sztywny jak zablokowany.

Pozostaje mi jeszcze wyjaśnić, dlaczego w moim przypadku zostały zaangażowane lotki, a w gibraltarskiej katatrofie — ster głębokości. Rzecz znamienna, że sposób włączania neutralnego kontaktu żyroskopów był podyktowany możliwością nieostrożnego włączenia któregoś ze sztyftów-kontaktów samoczynnego sterowania. Dlatego, włączając kontakt neutralny, pilot posługiwał się jego dolnym, albo górnym końcem. Należałem do tych, którzy używali górnego, w sąsiedztwie kontaktu lotek; inni posługiwali się dolnym, przy kontakcie steru głębokości. To zależało, z czyjej kto wyszedł szkoły. Na początku ta różnica w manipulacji wyszła stąd, że zwolennicy górnego końca przewidywali mniejsze ryzyko w wytrąceniu samolotu z równowagi poprzecznej, podczas gdy zwolennicy końca dolnego byli zdania, że — na wypadek wytrącenia z równowagi pionowej — człowiek rozporządza większą siłą muskułów, bo cały tułów pomaga pchać ster od siebie, albo ciągnąć na siebie. Oczywiście, z czasem nikt nie zastanawiał się nad tym, a po prostu naśladował swojego instruktora, nabierał nawyku i nie postało mu w głowie, że w ogóle mógłby włączyć dwa kontakty równocześnie. Pilot Prchala musiał być z ,,dolnej'' szkoły.

Wbrew temu, co pisze Franciszek Kalinowski, techniczne spreparowanie sabotażu było śmiesznie łatwe. Wystarczyło przykleić przezroczystym plastrem kontakt steru głębokości do kontaktu żyroskopów, a doświadczony pilot, ze specjalnej eskadry do ,,przewożenia'' V.I.P., na pewno włączy dżordża tuż po starcie. Ponieważ plaster odkleiłby się w wodzie, więc do łatwizny dochodzi jeszcze gwarancja absolutnej tajemnicy. Właśnie dlatego sabotaż jest wykluczony. Zamachowcy płatni i ideowi działają wprawdzie z ukrycia, ale i ze skrytą nadzieją, że bodaj przyszłość wspomni ich imię. Poza tym, żeby wpaść na taki pomysł, trzeba by samemu przeżyć podobne doświadczenie i znać odruchy pilota w takiej sytuacji.

Na pozór wynika z tego, że zaszedł błąd pilotażu. Z tym nie zgodzi się żaden pilot. Gdyby jednak taki był wyrok opinii publicznej, to pilot urasta do roli nadczłowieka, względnie precyzyjnego instrumentu do latania, bez ustroju nerwowego, bez uczuć, bez wyobraźni, bez jakiejkolwiek ludzkiej niedoskonałości.

Bolesław KORPOWSKI

Książki

Gdy czekano na upadek Warszawy

Jan Andrzej Betley znany był już wśród polskich czytelników, interesujących się historią, ze swego referatu o polonikach rękopiśmiennych angielskich i holenderskich doby powstania listopadowego ogłoszonego w VII Rorczniku Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Komunikat ten powstał na marginesie jego badań nad wpływem wojny polsko-rosyjskiej z roku 1831 na dyplomację zachodnią.

Obecnie ogłosił on drukiem owoc swych kilkuletnich poszukiwań archiwalnych (1). Autor postawił sobie za zadanie zbadanie w jaki sposób belgijskie i polskie powstania wpłynęły na ówczesne posunięcia dyplomacji europejskiej; logika zebranych dokumentów zmieniła zagadnienie na opisanie w jaki sposób dyplomacja zachodnia wykorzystała polską wojnę do ugruntowania belgijskiej niepodległości.

Po pobieżnym przedstawieniu sytuacji politycznej po przewrocie lipcowym w Paryżu, Betley uwydatnia na wstępie zwrot w stanowisku Rosji po nocy listopadowej. Mimo niechęci do króla Francuzów car zajął pozycję wyczekującą. Chciał wprawdzie interweniować na samym początku by choćby siłą przywrócić tron Bourbonom, ale wobec niechęci Londynu, Berlina i Wiednia do awantury wojennej uspokoił się i czekał na dalszy bieg wypadków. Dopiero wydarzenia brukselskie wstrząsnęły nim prawdziwie. Przedstawiły mu się od razu jako początek ogólnej rewolucji. Przyśpieszył przygotowania do interwencji zbrojnej, nie kryjąc się przed stolicami zainteresowanymi ze swymi zamiarami. Niemniej stanowcza była Francja, która zawiadomiła rząd petersburski, iż wejście armii rosyjskiej do jakiegobądź państwa niemieckiego równowałoby się wypowiedzeniu wojny.

(1) J.A. Betley: *Belgium and Poland in international relations* 1830-1831. Mouton and Co. Haga, 1960, str. 298.

Groźba ta przyszła jednak do stolicy mikołajowskiej już po 29 listopada.

Polskie powstanie związało ruchy wszystkich trzech państw zaborczych. Odbiło się to od razu na konferencji londyńskiej, zwołanej dla znalezienia wyjścia z impasu belgijskiego. Mimo początkowego oporu zgodziły się one 20 grudnia na podpisanie protokółu, który przewidywał niepodległość Belgii. Uradowani tym Belgowie oficjalnie już zaczęli przepowiadać, iż jako wolny naród chcą mieć prawo przyłączenia się do Francji. Rozgniewało to dyplomację angielską, a lord Grey, premier brytyjski, nalegał na Rosję by ta szybko skończyła z Polską: ,,uderzcie mocno a szybko'' — powtarzał do pani Lieven, żony ambasadora moskiewskiego (str. 80). Gdy następnie konferencja londyńska wypowiedziała się za kandydaturą orańską na tron brukselski i gdy to spotkało się z ostrym protestem francuskim, Grey ponownie wyrażał swój głęboki smutek, iż wszystkie trzy państwa wschodnie miały ,,związane ręce''. ,,I nie ma żadnej nadziei na szybkie polepszenie'' — dodawał; raporty z Petersburga donosiły, iż nie należy się spodziewać armii rosyjskich nad Wisłą przed końcem lutego. Francuzi z kolei zaproponowali podział Belgii, Anglicy ocenili to jako dalszy krok Paryża w wyzyskiwaniu sytuacji powstałej z polskiego ruchu zbrojnego. Sam Nesselrode, rosyjski minister spraw zagranicznych, oświadczył ministrowi holenderskiemu: ,,pozwólcie nam przezwyciężyć trudności wynikłe z powstania nad Wisłą, a przemówimy w sprawach europejskich językiem godnym naszej pozycji''.

O ile Rosjanie, Anglicy i Holendrzy czekali niecierpliwie na polską klęskę, to Francuzi bali się jej, trwożyła ich myśl, iż 150.000 armia Mikołaja znajdzie się w ,,sercu Europy'', gotowa do dalszej akcji. Wszelkie ich sugestie pod adresem Wiednia, a przede wszystkim Londynu, by wspólnym wystąpieniem dyplomatycznym uratować Królestwo przed zupełnym zdruzgotaniem spotkały się z niepowodzeniem. Anglia bała się o Belgię, a Austria o Włochy, w których doszło już do pierwszych niepokojów. Metternich pisał nawet do cara, przypominając mu o istniejących zobowiązaniach pomocy w wypadku konfliktu francusko-austriackiego. Toteż spodziewając się szybkiego zwycięstwa, dyplomacja rosyjska zaczęła znowu przemawiać językiem gróźb krytykując jednocześnie zapadłe decyzje w sprawie belgijskiej. ,,Stanowisko Rosji nie może być bardziej wojownicze'' — pisał Maison z Wiednia pod koniec lutego. Mortemart donosił zaś do Paryża z Petersburga, iż jedynie obawa przed interwencją francuską w Polsce skłoniła Mikołaja do uznania Ludwika-Filipa. Jednocześnie ambasador ubolewał w swoich raportach, iż Polacy nie potrafili wykorzystać błędów strony przeciwnej dla odniesienia większego sukcesu militarnego.

Bitwa grochowska nie zakończyła wojny, kilka tygodni potem podniosła się Litwa i przyszły Iganie. Wybuch rosyjskiej nienawiści do Polski i barbarzyńskie traktowanie jeńców na

rozkaz osobisty Mikołaja zaostrzyły sytuację (str. 130-3). Palmerston, brytyjski minister spraw zagranicznych, stwierdzał otwarcie: ,,zwycięstwa Skrzyneckiego'' dają nową pewność Francji i utrudniają dojście do ,,sprawiedliwego'' (czytaj angielskiego) rozwiązania sprawy belgijskiej. W rozmowie z Walewskim podkreślił, iż Polacy nie mogą liczyć na żadną interwencję Londynu. Anglia, ze względu na Francję, musi być w jak najlepszych stosunkach ze wszystkimi trzema mocarstwami rozbiorczymi. Nie krył się zresztą wobec Wielopolskiego i Walewskiego z opinią, iż powstanie wybuchło na rozkaz Francji. Drugim powodem wstrzemięźliwości brytyjskiej był fakt, że zwycięstwa polskie nie miały charakteru decydującego, a więc, podkreślał minister, jeszcze nie nadszedł czas na wmieszanie się stron trzecich.

Zwycięstwa polskie usztywniły stanowisko Belgów, którzy nie tylko odrzucali wszelką myśl jakiegokolwiek związku z Holandią ale coraz natarczywiej domagali się przyznania im Luksemburga. Klęska pod Ostrołęką przekonała ich, iż nie mogą przeciągać struny. Jeden z wysłanników rządu brukselskiego zwrócił się nawet do Walewskiego by ten, korzystając z olbrzymiej popularności sprawy polskiej, starał się wpłynąć na belgijską opinię publiczną by przyjęła nowe warunki układu i umożliwiła w ten sposób mocarstwom zachodnim zajęcie się Polską. Zadania tego podjął się z sukcesem Roman Załuski.

Francja, uwolniona chwilowo od bliskich trosk belgijskich zajęła się od razu daleką wojną nad Wisłą. W pierwszych dniach lipca zaproponowała Anglii wspólny front w Petersburgu, by uchronić Polskę od zniszczenia, wspomniała nawet o możliwości wysłania okrętów na Bałtyk. Anglicy odmówili. ,,Bez zgody Londynu Francja nic nie zrobi'' — stwierdzali polscy dyplomaci nad Sekwaną. Niezrażony odmową, Paryż w drugiej połowie lipca jeszcze raz wystąpił z inicjatywą wspólnej akcji, tym razem doczekał się odpowiedzi, którą musiał określić jako bezczelną. Wiadomości o propozycji francuskiej przedostały się jakoś na zewnątrz i Palmerston pośpieszył uspokoić Rosjan, iż nie potrzebują się obawiać żadnego wystąpienia ze strony jego rządu. Toteż ambasador francuski nie wiele mógł zdziałać w Petersburgu i wszystkie jego próby ratowania Polski nie zdały się na nic.

,,Los nasz zadecyduje się nad Wisłą'' powtarzali sobie Holendrzy. Po bitwie ostrołęckiej poczuli się o wiele pewniej, odrzucili proponowany im układ i rozpoczęli 2 sierpnia działania zbrojne przeciwko Belgom, Francuzi odpowiedzieli wkroczeniem od południa. Anglicy zarzucili Holendrom, iż za wcześnie rzucili wyzwanie Francji, nawet jeżeli Warszawa już padła, należało trochę odczekać, aż wiadomość ta wywrze wpływ na ogólną sytuację (str. 199). Gdy okazało się, iż nadzieje te były przedwczesne Grey nalegał do pani Lieven na jak najszybsze zwycięstwo rosyjskie i zdobycie stolicy nadwiślańskiej.

Interwencja francuska w Belgii zaniepokoiła także Prusy. Bały się one by, usadowiwszy się między Moselą i Renem, Francuzi nie zażądali od nich ścisłej neutralności wobec wojny w Polsce. Neutralność taka znaczyła wtedy przepuszczenie przez swe terytorium broni i amunicji. „Jedynej rzeczy, która brakuje Polakom by przepędzić Rosjan z ich ziemi" — jak notował Talleyrand, ambasador francuski w Londynie.

W międzyczasie przyszły na zachód wiadomości o niepokojach wśród wojskowych kolonii rosyjskich. Paryż jeszcze raz na początku września zwrócił się do Londynu z propozycją wspólnego wystąpienia na rzecz Polski. I tym razem Palmerston odmówił. W cztery dni potem Moskale zajęli Warszawę.

Autor stwierdza na zakończenie, iż brak ściślejszej współpracy między Londynem a Paryżem był główną przyczyną dlaczego te dwie stolice nie wmieszały się w sprawy polskie. Wmieszanie takie niewątpliwie „przyniosłoby korzyść Polsce" i nie zawierało ryzyka wojny. Uchroniłoby poza tym Warszawę od nieszczęsnych wypadków sierpniowych. Jeżeli chodzi o wysłanie floty na Bałtyk, to Francja bała się uczynić to sama, a Anglia zbywała milczeniem wszelkie na ten temat aluzje. Prawdziwą przyczynę tego bezwładu podaje jednak autor na samym początku swej pracy, gdy stwierdza, iż „zainteresowanie mocarstw zachodnich w istnienie polskiej niepodległości nie wykraczało poza ramy (zwykłej) sympatii" (str. 21). W stwierdzeniu tym, dodajmy, leży klucz do zrozumienia polityki tych mocarstw wobec sprawy polskiej niepodległości, i to nie tylko w latach 1830-31, ale w całym okresie od roku 1772 do chwili obecnej. Niewielu myślało podobnie jak Talleyrand, który żałował, iż Napoleon nie zdołał odbudować państwa polskiego, tworzącego „najlepszą barierę dla rosyjskiej zaborczości" (str. 85). Tragiczne przeznaczenie Polski spełniło się więc i w roku 1831. Walką swą przyniosła wolność innym, a sama popadła w jeszcze większe jarzmo rosyjskie, tak było w r. 1794, tak będzie w r. 1863.

Książka ta zawiera dużo nowego materiału, wymieńmy kilka najciekawszy wiadomości: już 25 października 1830 r. Mikołaj zawiadamiał Wilhelma holenderskiego o mobilizacji swych wojsk (str. 43). Należy przypuszczać, iż ten podał zawartość listu dalej do Paryża i Londynu. „Journal de Saint-Pétersbourg", oficjalny organ rządu wydawany po francusku, podał zawiadomienie o mobilizacji dopiero 15 listopada, a więc 6 dni później niż reszta prasy rosyjskiej (str. 49). Raport posła holenderskiego w Berlinie z końca listopada 1830 r. mówi o agentach *du comité directeur de Paris,* działających gorączkowo na terenie Niemiec (str. 57). Byłoby dziwne gdyby komitet ów nie starał się rozciągnąć swych wpływów i na Polskę.

Książkę zamyka 14 załączników i dwie mapy, jedna Niderlandów z lat 1815-1830, druga Polski z okresu 1772-1830.

Praca oparta jest na archiwach dyplomatycznych londyń-

skich, paryskich i haskich oraz na dostępnych papierach prywatnych brytyjskich dyplomatów, porozrzucanych po całej południowej Anglii. Brak jest wszelkiej wzmianki o korespondencji Weyera z Brukseli i teczkach Russella z Londynu, widocznie uprzystępnienie ich przyszło za późno. Bibliografia zawiera wszystkie ważniejsze pozycje związane z tematem, ale brak niektórych uderza mimo to w książce o tak dużej wartości naukowej (2).

Z innych zarzutów należy wymienić następujące: dziwi Posen zamiast Poznań na mapie Polski. Chcielibyśmy znać nieco więcej szczegółów o zanotowanym przez posła holenderskiego incydencie w teatrze warszawskim między oficerami polskimi i rosyjskimi w pierwszej połowie listopada 1830 r. (str. 50). Autor stale pisze, iż Praga leży na lewym brzegu Wisły, tymczasem leży ona na prawym. Nie podaje szczegółów ukazu Mikołaja, tyczącego traktowania jeńców, który wywołał takie oburzenie całej cywilizowanej Europy, także kilka razy powołuje się na polską wzmiankę w mowie Ludwika-Filipa, ale ani razu jej nie cytuje. Niepotrzebnie w jednym przypisku podaje źródła do kilku osobnych faktów, dla przykładu przypisek 27 na stronie 151 jest niemal krzyżówką niezbyt łatwą do rozwiązania. Odpowiedź hrabiego St. Leu znajduje się w bibliotece polskiej w Paryżu w teczce 359: Funkcja O'Sullivana de Grass jest podana błędnie, był on sekretarzem poselstwa holenderskiego w Petersburgu (str. 296). Indeks nie zawsze jest dokładny: Ancillon powinien być 32-33 a nie 31-32, brak w nim nazwisk Frickera i Havillanda ze strony 269. Są to zresztą drobne pomyłki bez większego ciężaru gatunkowego. Jedynie dwa zarzuty są nieco poważniejsze: autor nie widział z francuskich archiwów dyplomatycznych serii *Mémoirs et Documents;* w przedstawieniu sytuacji europejskiej nie pisze, iż bitwa grochowska uratowała Francję przed wypowiedzeniem wojny przez Austrię na tle sprawy włoskiej. Po bitwie Metternich przez cały niemal marzec i połowę kwietnia czekał z kolei na wypowiedzenie francuskie.

W granicach sobie zakreślonych Betley przedstawił interesujące go zagadnienie chyba w sposób wyczerpujący. Nie wydaje się, by niedostępne jeszcze papiery prywatne mogły zmienić w sposób zasadniczy ogólny obraz powiązania walki Polaków z ugruntowywaniem się niepodległości Belgów. Jest to jednocześnie najobszerniejsza praca z dziejów dyplomatycznych wojny

---

(2) Żeby nie być gołosłownym oto kilka prac opartych przeważnie na materiale źródłowym: seria artykułów o powstaniu listopadowym J. Rappoporta w „Le Monde Slave", 1931-37. J.E. Swain: *Talleyrand and the independence of Belgium,* 1951. A Beales: *Wellington and Louis-Philippe,* 1830, „History" t. XVIII, 1933. H. d'Ursel: *La candidature du duc de Leuchtenberg au trône de Belgique,* „Correspondant", kwiecień 1925. L. Arrigon: *La duchesse de Dino à Londres,* 1830-34, „Revue des Deux Mondes", luty 1949, kwiecień-maj 1951. C. Piccioni: *Le général Sébastiani,* „Revue d'histoire diplomatique", t. XLIV, 1930.

polskiej z roku 1831. Wartość jej podnosi jeszcze to, iż ukazała się po angielsku; bez przesady można stwierdzić, iż obok francuskiego artykułu M. Kukiela (3) będzie ona na dłuższy czas dla historyków zachodnich jedynym źródłem wiadomości o tym zagadnieniu. Dla historyka polskiego jest ona cennym uzupełnieniem poprzednich prac Askenazego, Dutkiewicza i Kukiela i daje nam o wiele lepsze zrozumienie zmagań dyplomatycznych o Polskę w roku zrywu listopadowego.

Autor nie wyzyskał obecnie całego zebranego materiału, z niecierpliwością czekamy więc na dalsze jego prace nad tym ważnym dla nas tematem.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

Homo theatralis Leopoliensis

Ossolineum wydało pamiętnik Henryka Cudnowskiego: *Niedyskrecje teatralne* (1). Jest to część całości zamierzonej na trzy tomy. Ogłoszony tom pierwszy odsłania wartości, które zasługują na kultywowanie, zdradza też jaskrawe braki, których należało by unikać. Można było uniknąć już w tomie wydanym obecnie.

Żeby zacząć od autora, wydawnictwo uznało za potrzebne poprzedzić jego pracę reklamowym wstępem (Jana Trzynadlowskiego) a zaniedbało powiedzieć kim on jest, jak wygląda jego zapis służby, jego tytuł pamiętnikarski. Z dorywczych wzmianek rozproszonych w tekście dowiadujemy się, że Cudnowski (jego rodowe nazwisko brzmiało: Cudek) jest ,,lwowianinem z krwi i kości''. Zaczął jako aktor pod Pawlikowskim i Solskim we Lwowie w pierwszych latach tego stulecia, próbował dramatopisarstwa, był reżyserem i przedsiębiorcą teatralnym. Przez jakiś czas sekretarzował w teatrze Zapolskiej (z tej epoki pochodzi jej opinia: ,,Jakim cudem Cudek to zrobił... zaczynam wierzyć, że Cudek jest cudowny''), dwukrotnie kierował sceną w Przemyślu, niedługo przed pierwszą wojną i tuż po niej, był związany z rozmaitymi imprezami objazdowymi m.in. z zespołem Jaracza, w sumie spędził *on the road* — jak mówią Anglosasi — dwa dziesiątki lat. Należy się spodziewać, że z jego wspomnień urośnie dwudziestowieczny odpowiednik dopiero nie-

(3) M. Kukiel: *La révolution de 1830 et la Pologne*, ,,Revue internationale d'histoire politique et constitutionnelle, 1955.

(1) Henryk Cudnowski: *Niedyskrecje teatralne*. Ossolineum, Wrocław 1961. Str. 432 × 31 ilustracji.

dawno w całości wydanej a dotyczącej ubiegłego stulecia książki Stanisława Krzesińskiego „Koleje życia czyli materiały do historii teatrów prowincjonalnych” (Warszawa 1957). Pozwolą one wglądnąć jakby w poszycie, w trudne bytowanie teatru na prowincji. Pamiętniki Krzesińskiego i Cudnowskiego może nie przez przypadek zaczynają się od tych samych słów: „Urodziłem się w Warszawie” — „Urodziłem się we Lwowie...”.

Druga pretensja do wydawnictwa mierzy — w jego nadmierny liberalizm wobec tekstu 75-letniego autora. Nie przeszedł on przez żadną kontrolę językową i stylistyczną. Cudnowski miesza terminy: „litera”, „głoska” i „zgłoska”, gdy w istocie chodzi mu o najmniejszą jednostkę fonetyczną, o głoskę. Z upodobaniem używa wyrażeń cudzoziemskich w błędnym brzmieniu (*mis-en-scène, last but least*) itp. Zdarzają mu się lapsusy w rodzaju „przedstawienie widowiska”, co jest typową tautologią czyli masłem maślanym. Zdradza skłonność do nadużywania znaków pisarskich, szafowania przymiotnikiem „genialny”, do egzaltacji stylu („jestestwo”, wżeranie się” zwłaszcza w mózg i onoże jestestwo). Ale koniec końców są to drobiazgi.

Gorsza od tych łatwych do powściągnięcia przekroczeń stylistycznych jest zupełna swawola w zakresie konstrukcji pamiętnika. Przedmówca chwali w nim „pogodzenie zasady względnej chronologii z zasadą zespołów tematycznych, autobiograficzności z przedmiotowością treści”. Choć jest to zbyt uczone nazwanie prostej rzeczy, można by się z tym pogodzić, a nawet upatrywać w tym dobre strony. Ale pierwszy tom urąga nawet takiemu swobodnemu założeniu. Dwa rozdziały dotyczące ostatnich lat ubiegłego wieku i jeden odnoszący się do najpierwszych lat bieżącego wieku są przedzielone olbrzymim wstrętem na poły polemicznym, na poły historycznym. Po lwowsku krewki pamiętnikarz rozprawia się w nim z dwoma autorami książek o Jaraczu: Wroczyńskim i Strausem, którzy pominęli jego osobę jako organizatora tury objazdowej w r. 1927. *Per longum et latum* (70 stron) rewindykuje tę swoją zasługę. Przy sposobności podaje interesujące informacje o Jaraczu, o jednym z najbardziej dramatycznych momentów jego kariery, o jego patologicznym alkoholizmie, ale niemniej jest to świadectwo braku dyscypliny i u pamiętnikarza i u wydawcy.

Reszta książki ma dwojaką wartość. Mniej ważkie wydają się partie ściśle autobiograficzne, choć i one zawierają niemało szczegółów instruktywnych i malowniczych, np. o Makuszyńskim i Kleinerze (chrzczono go w 9-ym roku życia w kontusiku i przy karabeli!). Znaczną wagę mają partie o charakterze nie ściśle osobistym, ale ogólniejszym.

Z pierwszej części „Niedyskrecji” wyłania się plastyczny, chwilami urzekający obraz Lwowa na przełomie stuleci — jako miasta teatralnego.

Cudnowski jest sam jego tworem i typowym okazem. Urodził się w starym teatrze Skarbowskim, chyba jednym z nielicz-

nych teatrów świata, który był jednocześnie domem do miesz kania, a także ośrodkiem życia społecznego i towarzyskiego (za jego czasów mieściła się tam ,,Café du Théâtre'', dawniej odby wały się nie tylko szumne reduty, ale i burzliwe posiedzenia sejmu galicyjskiego). Miał wśród rodzeństwa bujnie rozrodzone go aż do ewangelicznej dwunastki kilkoro ludzi teatru. Wśród nich siostra Róża Cudkówna, jako Rosa Duce śpiewała na sce nach niemieckich i była primadonną opery w Zagrzebiu, jako Rosa Merola, żona kompozytora i kapelmistrza, wchodziła w skład *Grand Opera Company* w San Francisco. To ona ponos główną odpowiedzialność za teatromanię najmłodszego brata Teraz zawdzięcza mu wydobycie na światło swojej błyskotliwej a tajemniczo i dziwacznie zakończonej kariery.

Poprzez pamiętnik Cudnowskiego przebija prawdziwa obse sja teatralna, opętanie teatrem. W gronie kolegów, wśród któ rych był Makuszyński, nie tylko wystawia ,,Zbójców'', ale listen do dyrekcji teatru skutecznie prostuje błąd reżyserski w zawo dowej inscenizacji tego utworu. Zna nie tylko tzw. ,,banty'' Skarbkowskie, najtańsze, stojące miejsca na IV piętrze pod su fitem, odpowiednik warszawskiego ,,paradyzu'' czy późnolwow skiej ,,jaskółki'' i ,,końskiej loży'', zna również na wylot cał zakulisie, jego wygląd i funkcjonowanie. Dzięki temu otrzymu jemy niezmiernie sugestywny opis dziewiętnastowiecznego tea tru. Jeszcze za chłopięcych lat pamiętnikarza poszedł on na eme ryturę (za mojego dzieciństwa mieściło się tam ,,Kino Lew'' — kto by dziś tak nazwał kinematograf?). Emeryta zastąpił w r. 1900 nowy teatr wzniesiony według wzorów wiedeńsko-berliń sko-paryskich nad zasklepioną rzeczką Pełtwią.

Każdego opętańca, narkomana teatralnego, niemniej ni miejsce urzeczenia pociągają jego oficjanci — aktorzy. Książk Cudnowskiego jest w tym zakresie prawdziwą kopalnią. Przy nosi bezlik szczegółów anegdotycznych, kilkanaście sylwetek znakomitych aktorów takich, jak Kazimierz Kamiński, Roma (,,naprawdę genialny aktor''), Feldman i Gostyńska, którym Cudnowski przydaje ten sam epitet, Fiszer i Żelazowski, Bedna rzewska, Stachowiczówna i Mrozowska, później żona bankier Toeplitza, uczona podróżniczka i geografka. Poza jednym, żad ne z tych nazwisk nie występuje w cennej serii ,,Monografi czołowych artystów scen polskich'', co usprawiedliwia uraz zdradzającą się w stwierdzeniu pamiętnikarza: ,,Warszawa był i jest zdolna do wyolbrzymiania talentów''. Do pomniejszani tych, które wzrosły poza jej obrębem.

Portrety Cudnowskiego są mniej wnikliwe, mniej pogłębion niż galeria składająca się na ,,Świat aktorski moich czasów Adama Grzymały-Siedleckiego, brak im wycieniowania, litera kiego szlifu, ale poważnie wzbogacają wiedzę o aktorstwie po skim z przełomu XIX i XX w. W tym seansie spirytystycznym na który ściągnięto zapomnianych a godnych pamięci, zupełn osobliwością jest ,,Teatr Miłośników Sceny'', zespół amatorsk

działający od r. 1899 i skutecznie konkurujący z teatrem zawodowym. Był on pepinierą aktorów, z której zaczerpnął nawet Reinhardt. Ciekawe, że dwaj jego aktorzy lwowskiego rodowodu występowali w Niemczech pod polskimi pseudonimami: Gesang jako „Gottowt", Wiesenberg jako „Mariewsky".

Miarą wyznaczającą natężenie atmosfery Lwowa jako miasta teatralnego obok sceny dramatycznej była opera. Mieściła się pod tym samym dachem, funkcjonowała kilka miesięcy w roku, ale zdobywała się na osiągnięcia godne wielkiej stolicy. Cudnowski jest doskonale zorientowany w jej szczególnym mechanizmie. Umie wywołać ludzi, którzy poruszali ten mechanizm. Taki Ludwik Heller, który z urzędniczka kolei wyrósł na rekina teatralnego o tytanicznej pracowitości, świetnym węchu i żelaznej ręce. Taki Aleksander Bandrowski, który zaczął w operetce skarbkowskiej, zdobył sobie na świecie sławę jako tenor bohaterski i właśnie we Lwowie otworzył epokę Wagnera w Polsce. A przy tym jedyny — bo i takie szczegóły Cudnowski notuje — aktor z brodą...

W jego ujęciu walka między Hellerem a Tadeuszem Pawlikowskim o nowy teatr lwowski w r. 1901 ma charakter gigantomachii, w której uczestniczy całe miasto. Sprowadzeniem sztuki na ulicę, pomiędzy sprawy powszednie, obchodzące wszystkich Lwów przypomina — Paryż.

„W dniu wyboru jednego z obu kandydatów gorączka Lwowa dochodziła do zenitu. Tłumy lwowian zapełniły korytarze, schody, podwórze, bramy ratusza, a nawet południową część rynku, debatując zawzięcie na temat wyboru. Porobiły się grupy omawiające walory kandydatów... Nie brakło starców ani młodzieży obojga płci. Nawet lwowscy baciarze nie omieszkali dać znać o swoim istnieniu".

Najcenniejsza w „Niedyskrecjach teatralnych" jest relacja z lwowskiej premiery „Wesela". Odbyła się ona w trzy miesiące po prapremierze krakowskiej, w maju 1901 r. Poprzedziła ją fama niezwykłego wydarzenia („Choć jeszcze we Lwowie nieznane — stwierdza Cudnowski — „Wesele" stanowiło *clou* rozmów nie tylko w szkołach, lecz nawet w tramwajach i domach prywatnych"). Pawlikowski rozporządzał nieporównanie lepszym zespołem niż Kotarbiński w Krakowie. Prób osobiście doglądał Wyspiański. Reżyserował Solski, który choć nie był wybitną inteligencją i miał znikomą kulturę literacką, przecież górował nad Walewskim, realizatorem „Wesela" w Krakowie, intuicją a przede wszystkim niebywałą dynamiką, siłą napędową, zdolnością zarażania innych swoim zapałem.

Dzięki temu wszystkiemu lwowskie „Wesele" przewyższało o niebo krakowskie, było nieporównanie bliższe wizji autorskiej. Stwierdził to sam Wyspiański w obszernym liście do pani Pareńskiej: „Ani się mogłem domyślić, że tak pójdzie „Wesele", jak tu pójdzie".

Cudnowski bardzo sugestywnie odtwarza aurę otaczającą to przedstawienie, opisuje swoje przeżycia, gromadzi wiele szcze-

gółów dotyczących wykonania. Można mu wierzyć, że umiał cały tekst teatralny ,,Wesela'' na pamięć, widział je pięć razy, pojechał zobaczyć je w Krakowie, pielgrzymował do Bronowic, by na własne oczy oglądnąć kolebkę i rzeczywiste miejsce akcji fascynującego dzieła. Trochę wątpliwości budzi odstęp sześćdziesięciu lat dzielący jego relację od premiery lwowskiej (Siemaszkowa, krakowska ,,Panna Młoda'', po połowie tego czasu popadła w grube rozminięcia się z prawdą).

Pewne okoliczności przemawiają za, inne przeciw świadectwu Cudnowskiego. Wzmacnia jego pozycję jako świadka to, że niedługo po młodzieńczym arcyprzeżyciu sam grał w ,,Weselu'', że jako kierownik sceny przemyskiej wystawił je dwukrotnie tuż przed, i tuż po pierwszej wojnie światowej, korzystając oba razy z usług Jana Nowackiego, który w pamiętnym przedstawieniu był ,,Panem Młodym'' i już na próbach grał tak że podobno zasłużył sobie od Wyspiańskiego na dziękczynny pocałunek w czoło. Ostrożność nakazuje to, że zapamiętany przez Cudnowskiego tekst kurdesza różni się od wersji niewątpliwie autentycznej, którą Leon Płoszewski zaczerpnął z egzemplarza Solskiego (,,Dzieła zebrane'' t. IV. str.300). Jeszcze nieufniej nastraja chybka pamięć, którą pamiętnikarz przechwała się raz po raz. ,,Byłem obecny na ostatniej próbie świateł...'' — twierdzi na str. 404 swoich ,,Niedyskrecji'', a ze szczegółowej relacji, dwieście stronic wcześniej wynika, że jako 17-letni uczniak asystował z kabiny elektrotechnika przy zwykłej próbie i to tylko pierwszego aktu a całe widowisko zobaczył dopiero na premierze...

Mimo tych wątpliwości i zastrzeżeń rozdział o ,,Weselu'' przedstawia największą wagę i ma największe walory lekturowe. Udziela się z niego atmosfera wypełniająca teatr lwowski w ten pamiętny wieczór:

,,To co się na widowni działo po skończeniu drugiego aktu, jest naprawdę trudne do opisania. Cały dygocąc rozglądałem się po widzach III balkonu, nie z ciekawości — na to byłem zbyt roztrzęsiony — ale ogarnęła mnie jakaś wspólnota z nimi, coś jakby zachwyt, a może lęk przed Nieznanym, zresztą czy ja wiem, jak to nazwać. Przecież oni szaleli tak samo jak ja, a może nawet więcej — tyle razy byłem na tylu sztukach na trzecim balkonie, a i dawniej w starym teatrze znałem galerię jak swoje własne buty, ale takich twarzy rozognionych nigdy nie widziałem. Z naszej galerii wionął ku lożom i reszcie widowni jakiś wspólny, gorący dech przy równoczesnym chórze okrzyków i słów, zrazu jakby nieartykułowanych ale za chwilę wyraźnych: ,,Toż to geniusz! to wielki człowiek!'', a potem przy akompaniamencie oklasków i tupotu nóg jak nie wrzasną: ,,Autor! Autor! Wyspiański! Wyspiański! Wyspiański!''. I szła kurtyna raz po raz do góry i na dół, i wychodził do ukłonów Solski w towarzystwie Stachowiczówny, Tarasiewicza, Nowackiego i innych, a Wyspiańskiego ani widu...

,,Powtarzało się to kilka razy, Solski przy ogłuszającej wrzawie jakby coś widowni tłumaczył, że Wyspiański nie chce, czy nie może wyjść na scenę, ale widownia nie tylko nie ustąpiła, lecz jakby jakiś nagły sukurs ją wspomógł — zawrzała taką burzą, mało, takim wściekłym huraganem oklasków i okrzyków, jakich nikt przedtem ani potem we lwowskim teatrze

nigdy nie słyszał. Na widowni wzięli górę nieustępliwi, którzy domagając się autora zarazili dosłownie całą widownię i to bez żadnego wyjątku...

„Gdy po przeszło pięciokrotnym opadnięciu kurtyny okazało się, że widownia nie ustąpi — ukazał się wreszcie Wyspiański, prowadzony, a raczej ciągniony przez oboje Solskich i Stachowiczównę. W tej chwili zasypał proscenium z balkonów i lóż deszcz kwiatów, a zaraz potem zaczęto wnosić olbrzymie wieńce i wspaniałe kosze z kwiatami, które złożono u stóp wieszcza... Pamiętam dobrze, iż m.in. wniesiono coś w rodzaju liry, na tle której widniały z białych i czerwonych róż ułożone wielkie inicjały. S.W. Ktoś z widowni zawołał: „Niech żyje Wyspiański, następca wielkiej trójcy!" — a cała widownia: „Niech żyje!!!..."."

Jeszcze większe znaczenie mają szczegóły wykonawcze, opis pojedynczych ról, pojedynczych momentów przedstawienia. Jest to cenny przyczynek do jeszcze nienapisanej teatralnej historii „Wesela". Cudnowski przytacza niektóre partie tekstu opatrując je szczegółowymi uwagami reżyserskimi, stwarzając przykład partytury scenicznej: „Postarałem się utrwalić nawet poszczególne *staccata, acceleranda, ritardanda* i muzyczne pauzy, albowiem uważałem i uważam „Wesele" za utwór nie tylko dramatyczny w scenicznym tego słowa znaczeniu, ale także muzyczny". Trudno odmówić słuszności temu uważaniu. Trzeba cenić dowody, które je wspierają.

Cudnowski nie zadowala się rolą pamiętnikarza, ale puszcza się też na zuchwałe hipotezy. Jedna z nich dotyczy scenicznego kształtu „Wesela" w Krakowie, który przypisuje nie reżyserowi Walewskiemu, ale Wyspiańskiemu. Sprawa nie jest prosta i nie kwalifikuje się do kategorycznego rozstrzygnięcia. Wyspiański zarzekał się pani Pareńskiej: „Sam żadnych instrukcji nie dam". Ale zapewne je dawał, co najmniej wyrażał zgodę na taką czy inną inwencję reżysera. Płoszewski, który szczegółowo zbadał krakowski egzemplarz teatralny przyjmuje, że „niektóre uwagi sceniczne zaznaczone ręką reżysera wywodzą się z pewnością z pomysłów autora i przeszły do druku". Niektóre, nieutrwalone w tekście drukowanym, przechowała tradycja sceniczna. Ale ścisłego podziału własności nikt dziś nie potrafi przeprowadzić.

Zupełnie bezzasadne jest domniemanie Cudnowskiego, że w Wyspiańskim tkwił materiał na pisarza rodzajowego, na komediopisarza mieszczańskiego. Nikt nie był dalszy od tego, nikt nie był bardziej organicznie do tego niezdolny niż wizjoner, któremu marzył się „teatr ogromny", który tworzył ten teatr na przekór wszystkim ograniczeniom sceny pudełkowej.

Jeszcze jeden rys typowy dla autora „Niedyskrecji teatralnych" stanowi namiętna diatryba przeciw wrocławskiej inscenizacji „Wesela" w 1957 r., zajmująca 25 końcowych stronic książki. Ma ona aspekt ogólno-teoretyczny. Cudnowski, dla którego przedstawienie sprzed 60 lat jest ciągle żywym przeżyciem, formułuje skrajny pogląd, że pra-premierowa inscenizacja jest „jedynie miarodajna" — zawsze i wszędzie. Przyjęcie tej zasady oznaczałoby zamrożenie twórczej inicjatywy inscenizacyjnej. Przyjąwszy taką zasadę należałoby za każdym razem na-

wracać do ,,jedynie miarodajnych'' realizacji ,,Antygony'' z r. 441 przed Chr. i ,,Hamleta'' z r. 1601 po Chr. Nawet gdybyśmy wiedzieli jak one wyglądały, nie byłoby to możliwe i celowe z tej przyczyny, że dziś zarówno ,,Antygonę'' jak ,,Hamleta'' gramy w innym teatrze, niż te, w których się oba utwory urodziły. Stosując zasadę ,,jedynej miarodajności'' do dzieł bliższych i bardziej określonych w kształcie scenicznym tworzylibyśmy eksponaty muzealne a nie żywe wcielenia. Każde nowe wcielenie winno i może być oceniane tylko w świetle celowości artystycznej — jako próba dobrego smaku, pokory wobec inscenizowanego dzieła, szczerości inscenizatora wobec siebie.

Mimo niedostatków kompozycyjnych, pretensjonalności stylu, zapędów polemicznych i teoretycznych ,,Niedyskrecje teatralne'' Cudnowskiego są książką cenną i ciekawą. Ukazuje ona w autorze, poprzez autora w całej epoce i w określonym środowisku gatunek, o którym pamięć nie powinna zaginąć, który zasługuje na miejsce w historii naszej kultury. Można ten gatunek określić własnym terminem pamiętnikarza: *homo theatralis leopoliensis* — lwowski człowiek teatralny.

Tymon TERLECKI

"Na linii życia i śmierci"

Pierwotny tytuł opowieści miał brzmieć: ,,Jako w niebie tak i na morzu''. Tytuł ów własnowolnie zmieniono w Wydawnictwie Morskim w Gdyni. O czym piszę? O nowym i cennym debiucie emigranta w marynistycznej literaturze polskiej. Autorem książki ,,Na linii życia i śmierci'' (1) jest były kapitan żeglugi wielkiej, obecnie mieszkający w Melbourne, gdzie prowadzi sklep z giętymi meblami; jest żonaty z Angielką, od lat nie mówi po polsku, nie bywa wśród Polaków, a nawet od nich stroni. Bo pisze.

Marian Bielski był w Szkole Morskiej uważany za dobrego polonistę, w czasie wojny i po niej pisywał dla zabawy krótkie felietony do prasy żołnierskiej i do ,,Okólnika'' Związku Marynarzy, do tych prób nie przywiązywał żadnej wagi. Pływał już na wiele lat przed wojną, pływał w czasie wojny w konwojach, pił — jak to marynarz — i kochał się nie raz i nie dwa, zaglądał śmierci nie raz i nie dwa w oczy, topił się i znów wyruszał z konwojem do Kanady, do Stanów Zjednoczonych, był i w Murmańsku i na Środkowym i Dalekim Wschodzie, dzielił losy M.S. ,,Sobies-

(1) Marian Bielski, *Na linii życia i śmierci*, Wydawnictwo Morskie w Gdyni 1961. Okładkę i stronę tytułową projektował Ryszard Królikiewicz. Redaktor: Alina Walczak. Redaktor techniczny: Maria Stępińska. Korektor Maria Mowińska. Stron 260, z objaśnieniami wyrażeń marynarskich i cudzoziemskich na końcu książki.

kiego", „Tobruku", „Zagłoby" i „Kościuszki" — i oto w wiele lat po wojnie i swych przygodach poczuł przymus pisania.

Wydaje się, że jego debiut w języku polskim jest zapewne i łabędzim śpiewem w tym języku, gdy Bielski lepiej czuje się w angielszczyźnie i w chwili obecnej ma już trzy maszynopisy powieści u londyńskich i nowojorskich agentów wydawniczych. Jedna lub dwie powieści zapewne już wkrótce pojawią się na rynku. Te trzy książki to: angielska wersja „Jako w niebie tak i na morzu" (nie tłumaczenie tylko, lecz rzecz na nowo pisana) — „Żołnierze bez broni" (znowu o marynarce handlowej podczas wojny) — i „Bałtowie" (Bałtami zwano w Australii tuż po wojnie wszystkich emigrantów, jako że pierwsi zjechali tu Litwini i Łotysze; jest to powieść o życiu emigrantów w Australii).

Rozmawiałem wczoraj z Marianem Bielskim, zawiózł mnie doń jego kolega marynarz, z którym Bielski widuje się raz na dwa — trzy lata. Czemu pisze po angielsku? Kilka jest tego powodów: lepiej czuje się i pewniej w angielszczyźnie, liczy, że w ten sposób więcej przysłuży się Polsce, wydaje się też mu, że w ten sposób prędzej i z większym sukcesem dostanie się na rynek. Bielski to jak gdyby kosmopolak Bobkowskiego. Perypetie maszynopisu wysłanego na sugestię rodziny w Kraju do wydawnictw krajowych wpływają raczej zniechęcająco na kontynuowanie pisania po polsku i drukowania w Kraju. Honorarium stamtąd się nie wydobędzie — pomógł tylko w ten sposób rodzinie, gdyż za książkę otrzymała 40.000 złotych — maszynopis wędrował od wydawnictwa do wydawnictwa, były tylko oszałamiające obietnice i listy z zachwytami, wreszcie ktoś w Wydawnictwie Morskim zajął się tą książką emigranta. Niestety samowolne skróty i przeinaczenia, o których nie tylko nie pisano przed oddaniem książki do druku, ale nawet i potem nie uważano za stosowne autora choćby grzecznościowo poinformować, typowo polskie nie odpisywanie na listy — nie nastrajają przychylnie. O metodach korsarskich cenzury i redaktorów krajowych pisano już nieraz, lecz Bielski od lat nie czytał gazet polskich ani emigracyjnych, ani krajowych. O literaturze emigracyjnej i o emigracyjnych możliwościach wydawniczych — nie wiedział. Oto sylwetka pisarza i dzieje jego dzieła.

Przyszłość okaże, czy Bielski wybije się w literaturze angielskiej lub amerykańskiej: a włada wspaniałą angielszczyzną z jakimś dziwnym urokiem zarówno w piśmie jak i w mowie. Po polsku mówi czysto i kulturalnie, że aż mogę mu zazdrościć, choć ciągle wśród Polaków się obracam i używam tego języka obecnie codziennie. Dziś obchodzi nas tylko jego pierwsza polska książka i o niej chcę pisać. Debiut jest cenny, miejscami wprawia czytelnika w podziw i w drżenie: chyba nikt jeszcze nie opisał tak krajobrazu morza. Sam trochę o morzu pisałem i po prostu zatykało mnie nieraz z wrażenia. Opowieść o życiu i śmierci marynarzy statku „Wisłoba" zastanawia i zadziwia celnością opisu, kadencją zdań, naturalnością dialogu kund marynarskich, takich opisów walk i zatonięć nie powstydziłby się nikt u Anglików i u Francuzów, acz czasem (rzadko zresztą) jakiś fragment zadrażni nieporadnością, czy tylko wyświechtaną poprawnością, by znów za chwilkę oszołomić aż do wypieków, co będzie dalej z nimi? Czy drobne te usterki są winą autora, czy też poprawiaczy na peerelowe widzimisię — trudno dziś orzec, skoro jedyny maszynopis pozostał w kraju, Bielski kopii nie ma.

Na zakończenie rozmowy z Bielskim spytałem go, jak to się stało, że nie mówiąc od tylu lat po polsku, napisał książkę w tym właśnie języku. Zastanowił się i odpowiedział: „No, cóż? Te elektrony polskości działają ciągle w człowieku i niesposób się spod ich wpływu wyrwać; nie chciałem tego zresztą. Odizolowanie się od polskości na co dzień pozwoliło mi na skoncentrowanie się i tym skwapliwsze nachylenie się nad polszczyzną we

mnie. Słuchałem jej i badałem ją, wolny od natrętnych i głupich i tanich rozmów w tramwaju, na ulicy, czy w domu, kiedy troski i problemy codzienne mogą skazić język i gmatwać wizje tego, co chcę wyrazić słowem. To chyba jest bardzo ważne".

Myślę, że Marian Bielski na przekór swym własnym słowom jeszcze napisze niejedno po polsku. A w angielszczyźnie życzę mu sukcesów choćby na miarę Pietrkiewicza, gdyż ma dane na to. Posiada też tak w warunkach emigracyjnych potrzebną cechę cierpliwości i uporu, a których to przymiotów wielu naszym literatom brak. Bielski nie mówi o swym pisaniu, nie traci czasu na kontakty i pół czarnej, czy telefony, nie myśli o sobie Bóg wie co — a pisze. Właśnie cierpliwie pomimo niesprzyjających warunków — pisze.

Andrzej CHCIUK

"Niedaleko Damaszku"

Czasem niedaleko, czasem w samym, a często w różnych punktach Syrii i Libanu szuka autor — Jan Knothe — były urzędnik reżymowego poselstwa w Damaszku, a prawdopodobnie z zawodu inż. architekt, — tematu do swoich reportaży i esejów. Jest ich około pół setki, wszystkie właściwie b. dobre, a wśród nich kilkanaście naprawdę pięknych, jak na przykład trzy dygresje historyczne o królowej Palmiry — Zenobii, o Lady Hester Stanhope i o Aleksandrze Wielkim, czy też szkice architektoniczne o starym zamku krzyżowców Crac de Chevaliers, o Palmirze czy Baalbecku, a wreszcie pełne humanitaryzmu, ale i pogody obrazki o polowaniu na gazele i na bociany.

Na aktualne tematy polityczne Syrii wypowiada się autor dwa razy tylko i to z jak największą rezerwą, podając dwie kontrowersyjne opinie odnośnie unii egipsko-syryjskiej, których nie komentuje.

Pomyłki rzeczowe w tekście są minimalne. Na przykład autor nie rozumie dlaczego w Syrii spotkał się z sympatiami dla Polaków. Nie wie widocznie, albo nie chce wiedzieć, że na terenie Syrii od roku 1939 do 1944 działała misja skupu zboża, francuska, lecz mająca w swoim składzie kilkudziesięciu oficerów polskich z tzw. II grupy. Również w Syrii organizowały się i przez Syrię przejeżdżały do Libanu, a z kolei do Palestyny oddziały Brygady Karpackiej zatrzymując się nawet w szeregu punktów na pewien czas. Autor mógł znaleźć na skałach przy drodze między Damaszkiem a Bejrutem tablicę pamiątkową tej Brygady. Wreszcie uchodźcy polscy przewinęli się przez Syrię w swej wędrówce z Syberii do wolnego świata.

Autor zbył kilku słowami romantyczną postać Ojca Maksymiliana Ryłło, delegata apostolskiego w Syrii i Libanie w latach między 1836-1839, który stworzył podwaliny pod uniwersytet św. Józefa w Bejrucie.

Informacje o maronitach podane przez p. Knothe są całkowicie fałszywe. Maronici nigdy nie zerwali unii z Rzymem w odróżnieniu od wszy-

*) *Niedaleko Damaszku*, Jan Knothe, Iskry, Warszawa 1961. Str.. 225 × fotogr.

stkich innych wyznań na Wschodzie. Również po prostu nie wypada mieszać melchitów, to znaczy greko-katolików, z prawosławnymi. Święty Jan z meczetu Omajadów w Damaszku, gdzie jakoby znajduje się jego głowa, nie jest identyczny z Janem Chrzcicielem.

Pan Knothe poruszył wreszcie temat bardzo delikatny, a mianowicie sprawę księdza polskiego w Damaszku. Ksiądz ten, ojciec Franciszek Tomasik. zmarły w bieżącym roku, przebywał w ciągu ostatnich kilku lat we włoskim szpitalu w Damaszku, po długoletnim kierowaniu polskim gimnazjum w Libanie. W szpitalu tym utrzymywał go zakon ojców Salezjanów, do którego należał, a stan jego zdrowia był konsekwencją ciężkich przeżyć na Syberii, dokąd wywieziony był przez bolszewików w roku 1939. Znając ks. Tomasika nie można wątpić, by o tych sprawach życzliwemu autorowi — zamilczał. Autor jednak oszczędził nam opowiadania o tych smutnych sprawach. Dodając jeszcze kilka słów do oceny książki, trzeba podkreślić że strona obyczajowa, będąca tematem większości reportaży, jest doskonale oddana. Autor manifestuje wyraźną sympatię i zrozumienie dla Arabów dając wielokrotnie dowód dużej osobistej kultury, pogody i humoru. Czyta się tę książkę z dużym zainteresowaniem i łatwo, gdyż przynosi ona szereg spostrzeżeń zupełnie oryginalnych, a trafnych wprowadzając doskonale czytelnika w atmosferę Wschodu.

Z książek wydanych w Polsce o Bliskim i Śr. Wschodzie w ciągu ostatnich lat — tę książkę można zakwalifikować jako najlepszą i naprawdę godną przeczytania.

Z. ZAWADOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

MICHALSKI (Stanisław) *Bij Żyda!* Poezja aktualna. Str. 48. 48. (Nakł. Zrzeszenia Poetów Prześladowanych im. Borysa Pasternaka, Montreal, 1961).

WOLIKOWSKA (Izabella z Lutosławskich). *Roman Dmowski — człowiek, Polak, przyjaciel.* Str. 304. (Nakł. Komitetu Wydawniczego w Chicago, USA. druk w Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, czerwiec 1961, cena dol. 4,50).

MACZEK (Stanisław). *Od podwody do czołga.* Wspomnienia wojenne 1918-1945. Str. 304. Obwolutę projekt. Andrzej Mal czewski, z portretem autora. (Wyd. Tomar Publishers, Edinburgh, 1961. Cena w opr. płóc. 36/- lub dol. 5,50; w opr. luks. 42/- lub dol. 6,25).

URSYN (J.M.). *Alexandre.* Roman. Str. 238. (Wyd. Editions Albin Michel, Paris, 1961).

BRANDYS (Kazimierz). *Lettres â Madame Z.* Souvenirs du Temps Présent. Traduit du polonais par Anna Posner. Str. 267. (Wyd. Ed. Julliard dans la collection „Les Temps Modernes" dirigée par J.-P. Sartre, Paris. 1961).

HAGNAUER (Roger). *L'Expression écrite et orale.* Introduction de Maurice David. Str. 287. (Wyd. Les Editions Ouvrières, Paris, 1961, cena 9,45 NF.).

Listy do Redakcji

Sydney, dn. 16.9.1961 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z głębokim oburzeniem przeczytałem w lipcowym numerze „Kultury" atak p. S.K.J. na jednego z najwspanialszych ludzi, z jakimi dobry los pozwolił mi się w życiu zetknąć. — Kazimierz Rusinek, jeden z przywódców podziemnej organizacji w obozie koncentracyjnym w Mauthausen (n.b. nie wiem czy jeszcze w jakimś obozie koncentracyjnym istniała organizacja podziemna, która miała pochowaną broń!) ocalił życie wielu współwięźniom. Ocalił i mnie życie z narażeniem własnego. Rusinkowi również mają do zawdzięczenia swe życie żydowscy chłopcy, którzy w wieku 11-13 lat zostali przywiezieni z getta łódzkiego do Mauthausen „na wykończenie".

I oto charakter tego wspaniałego człowieka próbuje się podważyć na podstawie tego, że kiedyś komuś dał w twarz i jeszcze go na dodatek za to publicznie przeprosił.

Zapewniam Pana, Panie Redaktorze, że jeżeli fakt opisany jest prawdziwy, to na pewno nie strachem się Rusinek kierował, bo uczucie to jest mu obce, a i setki współwięźniów stanęłyby za nim ławą.

Pozostaję z głębokim poważaniem.

Dr Roman ROSSLEIGH



Chicago, dn. 5.10.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę zwrócić uwagę „Kultury" na pewien fenomen, który moim zdaniem dotychczas nie znalazł na łamach pisma należytego omówienia. Czytając periodyki krajowe zastanawiam się nieraz nad paradoksalnym odrodzeniem idei „pracy organicznej" i próbami rehabilitacji patronów współpracy polsko-rosyjskiej — Wielopolskiego, Dmowskiego. Jeżeli próby te wychodzą z kół „Paxu" nie należy się dziwić, bardziej dziwne jest przejęcie ich przez posłów grupy „Znak". Zapewne „realizm polityczny" wydaje się dziś w Polsce jedyną deską ratunku (czy słomką). Prowadzi to z kolei do refleksji nad skutkami odwrotu od Października czyli nad wpływem

jaki polityka ostatnich lat wywarła na świadomość zbiorową. Prawdopodobnie Partia wystąpiła tutaj jako likwidatorka resztek wiary w socjalizm, wykazując naocznie, że krótkotrwała dyskusja o naprawie ustroju była tylko manewrem taktycznym. Jeżeli tak, to wydobycie z lamusa programów Narodowej Demokracji przez publicystów świadczyłoby o żądaniach publiczności i byłoby zrozumiałe w zupełnej ideologicznej próżni. Tym niemniej „realizm polityczny" oglądany z dystansu posiada liczne słabe strony. Szedł on w Polsce zwykle w parze z konserwatyzmem: Rosja występowała jako gwarantka zamrożonej społecznej struktury. Co prawda rzecznicy „trzeźwości" stawiali na kapitalistyczną dynamikę, pozwalającą krzątać się dokoła własnych gospodarczych spraw. Dzisiejsi obrońcy „trzeźwości", akceptując z musu nową strukturę zamrożoną, nie mogą na to liczyć, jako że zdają sobie chyba sprawę ze spętania wszelkiej społecznej inicjatywy. Być może w powrocie do Dmowskiego wolno dopatrzyć się równoległości z przemianami w Rosji, gdzie doktrynalna forma jest coraz bardziej wypełniana szowinistyczną wielkorosyjską treścią. Tak czy owak, fenomen jest niepokojący, jak każdy zresztą objaw porażki.

Nie neguję bynajmniej, że losy Polski na długo są związane z losami Rosji. Takie stwierdzenia nie implikuje jednak przyjęcia haseł rażących swoim minimalizmem i ubóstwem. Zamknięcie się w skorupie Narodu i raz jeszcze szukanie pociechy w przeszłości, w Chrobrym, w cyklach historycznych Kraszewskiego, w malarstwie Matejki czy karmieniu dzieci strawą duchową w postaci filmu „Krzyżacy" — te logiczne konsekwencje programów „biologicznego przetrwania" nie mogą i nie powinny wywoływać naszego zachwytu.

Kreśląc te uwagi dalekie od mojej zawodowej specjalności mam nadzieję, że zabiorą na ten temat głos historycy i publicyści.

Edward ŻULIŃSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca : INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant : Jerzy Giedroyc.
Dépôt légal : 4e trimestre 1961

ULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », rano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking use, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
ELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue eph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20.	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** talpava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Franciszek ha-Paprocki,** rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao ulo. Tel. : 34.18.59.		5 dol. am.	9 dol. am
RANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w egarniach polskich w Paryzu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 sterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
ZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc, Holon, olow Nr. 40	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., onto 3, Ont. lub c/O **Polish Voice,** 1089 Queen St. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave.). de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Ra-nski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 829; **M. Krôl,** 328 Boyd Avenue, Winnipeg, Man.; **wiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., . : LE 1-2491; **Olgierd Kiernowski,** 36 Bermuda Ave., onto 18., Ont.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, . 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablon-str. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, nève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV ckholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U. S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, enectady, N.Y. ; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** St. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew etynski,** 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; **S. arczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **. Dziewanowski,** 41, Katherine Rd., Watertown, ss.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, o. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin-d Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford race, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 6 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 nphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book orting C°, Inc.,** 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y., **Trojanowski,** 134 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. **Sas-Babczynski,** 1819 B.W. Commonwealth Ave, ambra, Cal.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
/. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, tersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
/LOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, nt. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

TOM LXV BIBLIOTEKI "KULTURY"

PAWEŁ HOSTOWIEC

ESEJE DLA KASSANDRY

Wybór przedwojennych i powojennych esejów autora „Notatnika niespiesznego przechodnia" — odznaczonego w bieżącym roku nagrodą „Kultury" za najlepszy esej.

Str. 300. Cena egzemplarza 15 NF (22/-; $ 3)

TOM LXVI BIBLIOTEKI "KULTURY"

ALEKSANDER HERTZ

ŻYDZI

W KULTURZE POLSKIEJ

Str. 288 Cena egzemplarza 15 NF (22 sh.; $ 3,00)

PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA POLSKI

Część pierwsza

Obejmująca okres od zarania Państwa Polskiego do r. 1506 to jest doprowadzona do przełomu Średniowiecza i czasów nowożytnych.

HISTORIA POLSKI Pawła Zaremby jest próbą syntezy dziejów Polski na tle rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego Europy.

Cena egz. 20 NF (30 sh., 4,25 dol.) Str. 600 plus indeks

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 3,50 NF